Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

XV. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

nakładem i staraniem

G. Kohna.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)

Cena 1 złr. 80 ct.
dla wszystkich prenumeratorów z wyjątkiem prenumeratorów stale w Samborze i Przemyślu zamieszkałych.

SAMBOR.
Z drukarni Schwarza i Trojana.
1892.





Wydawnictwo
na cele dobroczynne samborskie.

XV. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

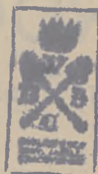
wydawana

nakładem i staraniem

G. Kohna.

Cena 1 złr. 80 ct.
dla wszystkich prenumeratorów z wyjątkiem prenumeratorów stale w Samborze i Przemyślu zamieszkałych.

SAMBOR.
1892.



W SAMBORZE.
Z drukarni Schwarza i Trojana.

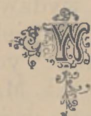


MÓJ STOSUNEK LITERACKI

z śp. Władysławem Zawadzkim.

Pośmiertne wspomnienie,

(z ryciną tytułową.)



sobotę dnia 10. Stycznia r. 1891. zawarł powieki do snu wiecznego Władysław Zawadzki, człowiek o pracowitości niezmordowanej, o zasłudze, nie dającej się słowami objąć, człowiek, o którym tomy możnaby napisać i pisano rzeczywiście w najrozmaitszych gazetach i czasopismach o nim, ale wszędzie niewiele. Nie roszczę sobie pretensji do streszczenia wyczerpującego życiorysu nieboszczyka

tam, gdzie inni tego zaniechali, gdyż nie poczuwam się w sile; ale bodaj kilku słowy wspomnę o nim.

Według podań familijnych śp. Zawadzki urodził się w Hajworonce na Podolu galicyjskiem 1824, w młodych latach przeniósł się do Lwowa, gdzie uczęszczał do szkół średnich a następnie na wszechnicę. W młodym, najmłodszym już nawet wieku budził się w nim talent literacki, którego z początku wypróbowywał w najrozmaitszych kierunkach, następnie zaś wszystkie te kierunki mniej więcej zarzucił, oddając się jednemu: kierunkowi estetyki i krytyki. I w tym kierunku nie ma też równego sobie. Dosyć, jeśli z pomiędzy nawału prac podobnych przytoczę jego „Literaturę galicyjską,“ arcydzieło, które dotąd nie zostało doścignione, a które obejmuje okres 76-cioletni, t. j. od pierwszego rozbioru Polski aż do roku 1848.

Ożeniony z Anielą Zimmermanówną, miał w niej współpracowniczkę i towarzyszkę życia wierną, która go pojęła należycie i poniekąd była pomocną w zajęciach literackich. Po części przyzwyczajenie wrodzone mu do pracy literackiej, po części braki materjalne zniewalały go do bezustannej pracy. Był też prawie aż do ostatniej chwili życia swego korespondentem czy raczej referentem literackim pierwszorzędnych pism warszawskich; założył księgarnię we Lwowie; był członkiem czynnym Towarzystwa gospodarczego lwowskiego, a gdzie się tylko rozchodziło o jaką czynność patrjotyczną, ogół polski szerzej obchodzącą, tam z pewnością spodziewać się można było jego współudziału.

Ci, co księgarstwo mają tylko za interes pieniężny, z pewnością jego czynność wydawniczą uważać będą za nieudałą spekulację; człowiek rozumny inaczej sądzi. Kto jako księgarz wydawał takie cenne rzeczy, jak Pajgerta poezje, jak Magnuszewskiego dzieła, ten i jako literat i jako księgarz dobrze się zasłużył ogółowi. Księgarnia nie popłaciła i wkrótce została zwiniętą; ale to samo wydarzyło się także innym, którzy więcej byli literatami, niż księgarzami.

Osobiście poznałem śp. Zawadzkiego wówczas, kiedy koło literatów polskich, na których czele stał Kornel Ujejski, wydać miało „Sobótkę,“ książkę zbiorową na cześć ś. p. Seweryna Goszczyńskiego. Do komitetu redakcyjnego oprócz Kornela Ujejskiego należeli wówczas Bronisław i Władysław Zawadzcy, Agaton Giller, Klemens Kantecki, Władysław Bełza i Władysław Ordon.

Jak wiele zmieniło się w tym przeciągu czasu ośmnastoletnim, (1874—92)! Najprzód umarł jubilat Seweryn Goszczyński, na którego cześć książkę wydano; Bronisław Zawadzki przeniósł się do Warszawy; umarli po kolei Klemens Kantecki, Agaton Giller, na końcu Władysław Zawadzki; Władysław Ordon, choć żyje, uważany może być za umarłego!

W „Sobótce“ jeszcze odezwał się „do pieśni swojej“ Władysław Zawadzki, budząc reminiscencje z roku 1863:

„Pieśni! płomieniem na świat wybuchaj!
Śpiące wulkany obudź, rozdmuchaj!
Niechaj świat gore! — Z popiołów w chmury
Wzleci ptak życia promiennemi pióry!“

Jakaż różnica ogromna między uczuciem młodocianem, objawiającem się w tych wierszach a przesyceniem, odbijającem się w obliczu starca 66cioletniego, wracającego z ostatniej a bezskutecznej wycieczki kuracyjnej z Zakopanego!

Widywałem się we Lwowie bardzo często ze św. pamięci Władysławem Zawadzkim, którego światła rozmowa była mi ustawiczną zachętą do pracy dalszej, którego wskazówki miały dla mnie wartość niepospolitą a któremu byłem obowiązany i z tego powodu, że uskutecznił z całą umiejętnością mu właściwą zmiany niezbędnie potrzebne dla umożebnienia druku pierwszej mojej pracy polskiej.

Nie każdemu znany będzie szczegół, że Władysław Zawadzki jako współredaktor miał także udział w piśmie „Zgoda,“ poprzedzającem o kilka lat lwowską „Ojczyznę“ i działającem na równi z „Ojczyzną“ w duchu pojednawczym.

A zgoda i spokój i łączność w spólnej pracy, łączność w idei narodowej — to były ideały praco-

witego, cichego a tak pięknego życia niezrównanego estetyka i krytyka! Myli się jednak, ktoby twierdził, że w Zawadzkim była krew rybia i że uczucie piękna przytłumiło w nim uczucie godności osobistej! O nie! Zawadzki — to Polak starej daty, a nie krzykacz i blagier i frazesowicz, jakich teraz mamy krocie. Onby ręki do uścisku nie podawał odstępcy; onby w twarz pluł denuncjantom i sykofantom, których praca krecia nie zgadzała się z jego ideałami obywatela kraju.

To też, gdym mu listownie doniósł o zamachu na moją cześć, dokonanym przez jednego z tych niewdzięczników, z tych psiuków o wytartem czole, którym drogę do sławy utorowałem a którzy potem w dowód niewygasłej wdzięczności swojej obrzucali mię błotem z rynsztoku swoich myśli — wtedy odpisał mi pełen szlachetnego oburzenia śp. Władysław Zawadzki, potrącając także mimochodem o niektóre kwestje literackie, mające dla niego wyższe znaczenie.

„*Lwów*, 8. *Stycznia 1881.*
Chorążczyzna 13.

Szanowny Panie!

Najpiękniej Panu dziękuję za przysłanie mi swego poematu „Miłość Giaffara“, który z prawdziwą przyjemnością otrzymałem jako dowód przychylnej pamięci Pańskiej. Szkoda że Pan nie obrałeś sobie za przedmiot poematu treści narodowej, co by mu było samo już przez się wiele wartości dodało.

Z oburzeniem odczytałem zakomunikowany mi przez szan. Pana w liście odpis nikczemnego paszkwilu napisanego na pana w „Sanie“ przez B. F. (Benedykta Filipowicza.) Gdybym miał pod ręką jego dramat, napisałbym krytykę, którąby mu w pięty poszła. Jeżelibyś Pan sobie tego życzył, w takim razie chciej mi przysłać jeden egzemplarz do przejrzenia, a ja pomimo braku czasu, znajdę sobie chwilę

dla skarcenia jak należy niedojrzałego pisarka, który poważa się rzucać błotem na ludzi, pracujących szczerze i dobrze myślących.

Ponawiając podziękowanie za przysłane dziełko, łączę wyrazy prawdziwego szacunku i proszę podczas bytności we Lwowie nie zapomnieć o mnie. A niech Pan nie bierze sobie do serca takich nędznych paszkwilów, jak ten w „Sanie," lecz patrzy na to z pogardą i lekceważeniem takiem, na jakie zasługują!

Z poważaniem

W. Zawadzki."

Podziękowałem Zawadzkiemu serdecznie za jego uprzejmość i — poradziłem sobie z moim przeciwnikiem bez obcego pośrednictwa.

Zamachy na moją cześć literacką powtarzające się odtąd prawie bezustannie, przytępiły na końcu moją wrażliwość i zrobiły mnie nieczułym. A jeśli przecież w wnętrzu coś zabolało, to poszedłem do starego Zawadzkiego na pogawędkę, na poradę i smutek wtedy jakoś się zgubił, odleciał!

Żywego a nawet nieco wesołego usposobienia miał śp. Zawadzki zawsze jakieś zwroty zajmujące i żartobliwe na zawołanie, któremi przygłuszał niekiedy tak swoje, jak i obce bole. I tak, gdy go z powodu uroczystości Sobieskiego prosiłem o artykuł dla mego „Rocznika," nadmieniając przytem, że liczę na jego pomoc, jak na Zawiszę, — nadesłał on mi wprawdzie artykuł, ale nieco spóźniony z powodu choroby autora, a dodał od siebie, że gdyby choroba owa pasmo jego dni przecięła była —, wówczas napróżno wyczekiwałbym pracy, której Zawisza z pewnością by mnie nie nadesłał, choć tak bardzo na jego liczę pomoc.

W ogóle zachęcał mnie stary Zawadzki bezustannie do pracy, był mi doradcą i starał się mojej działalności literackiej nadać pewien kierunek. To doradzał lub odradzał wedle potrzeby, to zwracał uwagę na te lub owe niewłaściwości w pisowni lub wyrażeniu się, a nigdy z szyderstwem, ale zawsze

z głęboką powagą, cechującą znawcę niepospolitego i uczciwego człowieka.

Oceny moich wydawnictw w „Bluszczu“ lub „Tygodniku illustrowanym“ po największej części jego zostały skreślone piórem. I tak pisze on w „Bluszczu“ w „korespondencji zagranicznej,“ umieszczonej w Nrze 41-m z 2-go (14-go) Października 1885 o moim przekładzie poezyj Mickiewicza:

„Przekład poezyj Mickiewicza na język niemiecki.

Skąpą wiązankę dzisiejszych nowin literackich zakończę wzmianką o książce, wprawdzie niemieckiej, będącej wszakże swą treścią w ścisłym związku z literaturą naszą. Jest to przekład niektórych poezyj Mickiewicza, dokonany przez Kohna. P. Kohn, oddający się z zamiłowaniem literaturze polskiej, wydawca wychodzących już od lat kilku „Roczników Samborskich,“ pisma zbiorowego, z którego dochód na cele humanitarne poświęca, postanowił zaznajomić czytelniczy świat niemiecki z pięknościami poezyj Mickiewiczą, w którymto zamiarze wydał mniejszą książkę, przychylnie przyjętą przez krytykę niemiecką i ze wszech też miar godną uznania. P. Kohn przełożył „Ballady,“ „Wallenroda,“ „Grażynę,“ „Pana Tadeusza“ — słowem wszystkie prawie główniejsze dzieła Mickiewicza, a przekład jego po większej części odznacza się wiernością, oddającą ducha oryginału dokładnie, nietylko co do treści, ale także co do formy, w rytmie i właściwościach wiersza. Mamy już kilku tłumaczy, którzy mniej więcej szczęśliwie pracowali nad niemieckim przekładem Mickiewicza. Przekład Kohna posiada zalety nieustępujące tamtym, a miejscami przewyższające poprzedników. Kohn odczuwa ducha poezyj mickiewiczowskich, a przytem włada wybornie językiem niemieckim; posiada zatem dwa niezbędne główne warunki dobrego tłumaczenia. Prawda, że miejscami, gdzie zbyt trudno przekład mu przychodził, pozwala sobie małych zboczeń, zastępując myśl oryginału swoją własną łatwiejszą do wyrażenia. Jakkolwiek nie dzieje się to często, jest to jednak wielkim grzechem przekładu, uważamy bowiem każdą myśl, każde słowo Mickiewicza za relikwią literacką, której naruszać nie wolno; a jeżeli

celem przekładu było dać poznać Niemcom Mickiewicza w całej jego treści i blasku, to podobne licencje są tem bardziej nie do przebaczenia. Pominąwszy te usterki, w ogóle biorąc, przekład Kohna wiernie oddaje ducha i formy oryginału, z którego względu praca jego odpowiada zadaniu i jest w swoim rodzaju pożądanym nabytkiem.“

Tu mała pomyłka wkradła się w tekst oryginału; nie przetłumaczyłem bowiem „Pana Tadeusza“, który też z tego powodu figurować nie mógł w moim zbiorze tłumaczeń mickiewiczowskich.

Ostatnią razą widziałem śp. Zawadzkiego, kiedy zajęty przygotowaniami do druku dzieła mego: „Polska w świetle niemieckiej poezji“ — przyrządzałem odpis mojej „Pauliny“ do druku i takową mu czytałem. Choć mocno osłabiony skutkiem zdradzieckiej choroby, na którą daremnie ulgi szukał był w Zakopanem, słuchał mię przecież uważnie, doradzał do niektórych zmian i opowiadał mi, że oczarowany niepospolitym urokiem powieści Gaudy'ego, sam jako biegły tłumacz przed laty usiłował przetłumaczyć ją na język polski. Przetłumaczył zaś rytmem różniącym się całkowicie od mego, bo dziesięciozgłoskowym trochejem i wydał w druku, ale tylko pojedyncze ustępy.

Było to ostatnie nasze zetknięcie się; tem boleśniej raziła mię wieść o jego śmierci, nie przypuszczałem bowiem, że tak rychło nastąpi.

Włodzimierz Stebelski, który go niedługo przeżył, umieszcza w warszawskim „Tygodniku illustrowanym“ z 24. Stycznia 1891 ciepło i zajmująco streszczoną biografię śp. Zawadzkiego wraz z portretem autora. My ten sam portret, udzielony życzliwie przez rodzinę poety redakcji wydawnictwa samborskiego — umieszczamy w odmiennej nieco pozycji. Zawadzki z olimpyjskim spokojem swoim, przedstawiony tu siedząc w fotelu i trzymając w ręku numer najświeższy lwowskiego „Dziennika Polskiego.“ Portret ten — nie wiedzieć z jakich przyczyn — uznany został przez moskiewską cenzurę za „niecenzuralny“.

Sambor, 25. Stycznia 1892.

G. Kohn.

Cisza nocy letniej.

Tak cicho wkoło, tak miło wkoło,
Noc rozpostarła swe cienie,
I tylko gwiazdki świecą wesoło,
O Boże! daj mi natchnienie!
Wiatr mile szumi, liściem powiewa,
Łagodne tchnienie przynosi,
A myśl już moja śpiewa i śpiewa,
K'niebu się wznosi i wznosi.
Patrzę i patrzę, a tam wysoko
Wciąż płoną światła tak mile,
I księżyc swoje świetlane oko
Ukazał w pełnej już sile.
A wkoło niego chmurki złotawe
Tak otoczyły go wiankiem,
Jak kiedy świecą zorze jaskrawe
Przed wschodem słońca, porankiem.
Lecz chmurki pierzchły jak mgliste zorze,
A księżyc od nich ucieka,
Płynąc przez śliczne błękitu morze,
I patrząc na nie zdaleka.
Świeci tak jasno i tak przenika
Świetlaną swoją potęgą,
Moc światła jego w mą duszę wnika,
I myśli snują się wstęgą.
I cisza wkoło, noc piękna, tkliwa,
Jak piękne moje marzenie,
Tylko świerszcz polny czasem przerywa
Tej cudnej nocy milczenie.
A świerszcza tego jabym słuchała
Noc całą prawie bez końca,
I w księżyc jasny jabym patrzała,
I w złote gwiazdek tych słońca.

A tchnieniem wiatru się unosiła,
Falując w cudnym przestworze,
I rozkosz nocy wiecznie bym piła!
Jak wielkim jesteś, mój Boże!

Olga Lisówna.

Czy pamiętasz?

Czy pamiętasz owe chwile,
Ową jasną noc majową,
Gdzie uniesień było tyle,
Gdzieś ty „kocham“ rzekła słowo....
Czy pamiętasz owe chwile,
Szał rozkoszy, upojenia,
Czasu skrzydełka motyle,
Łzy radości i westchnienia?
Dziś róż, kwiecia znikła chwilka,
Znikły gmachów złudnych cienie,
A zostało wspomnień kilka
I wśród cichych łez — westchnienie...
Czasem tylko poprzed oczy
Rój marzeń, jak przeszłość zbladła
Wśród łez się jawi przeźroczy,
Jak senne ginąc widziadła....

Aleksander Telakowski.

Do klasztoru.

W pięknej dolinie cicha wieś leży;
Wśród pól zielonych wije się dróżka,
A po tej dróżce podróżna bieży:
Wtem tuż przy drodze spotka staruszka.
Kobieta młoda, pięknej urody,
W imię Chrystusa staruszka wita;
Rumieniec wstąpił na jej jagody,
Znużona drogą staje i pyta:
„Powiedźcie, ojcze, czy do klasztoru
Daleko jeszcze! Idę od rana,
A dzień już chyli się ku wieczoru —
Jam tutaj obca, wieś mi nieznana.“
— „Ot, monasteru tam białe mury
Widzisz na wzgórzu, a tędy droga.
Przejdź most na rzece u stóp tej góry:
Jesteś w klasztorze! Idź w imię Boga!
Albo poczekaj — klasztoru brama
Nikomu nie otwiera podwoi,
Chyba sierocie: tyś widzę sama.
Lecz może żyją rodzice twoi.“
„Słuchaj mię, starcze! Ojca straciłam
I matki nie mam; nie dziw, jeżeli
Dziś zawiedziona ten świat rzuciłam —
Bogu chcę służyć w klasztornej celi.“
— „O moja córko! śluby zakonne
Związek małżeński zastąpić może!
Z Bogiem chcesz zawrzeć związki dozgonne,
A tyś tak jeszcze młoda, mój Boże!
Z murów klasztoru nieraz do świata
Dusza powraca! O! to nieszczęście,
Gdy kto w świat duszą z celi ulata:
Ten nie w klasztorze znajdzie swe szczęście“. —
„Ojcze, raz w życiu tylko kochałam
I to pięknego bardzo młodziana,
Co kochać znaczy, raz tylko znałam —
Kochałam wiernie, byłam kochana!

Raz jednak spojrzał mój ukochany
Na jakąś dziwnie piękną dziewicę:
Zapomniał o mnie, o swej kochanej;
Bo tamta miała piękniejsze lice.
Już mnie nie kocha! Takie me życie. —
Zostaw mię, starcze, zostaw w tej wierze:
Dla niekochanej kobiety w świecie
Jest tylko cela tam w monasterze.“

Lwów, 1891.

Kazimierz W. Kalinowski.

Odpowiedź.

— „Nie — rzecze stary — dla niekochanej
Wyższe są cele, wyższe zadania.
Cierpiących niechaj osładza rany
I uciśnionych niechaj zasłania.
Nie w kontemplacji pędzić jej życie,
Nie czas w klasztornej marnować celi,
Pracą na marzeń niech stanie szczycie,
Pociechy niechaj biednym udzieli.
Niech do pracowni ducha prowadzi
Ten lud znękany i opuszczony,
Niech przewodniczy bożej czeladzi,
Do serc boskiemi niech mówi tony!
Niech opiekuńczym będzie aniołem
Dla bliźnich swoich, dla swoich braci,
Pracę z innymi niech dzieli społem,
Bogacąc innych siebie wzbogaci.
I przejdzie smutek i błyśnie szczęście,
Którego nie da cela w klasztorze;
Dziewica, którą mija zamęźcie,
Miłością ludu szczęsną być może.“ —

Stanisławów, 7. Września 1891.

G. Kohn.

Do dziewczęcia.

Przez

Janinę Antonowiczównę.

Gdy o życiu śnisz, dziewczyno!
Roisz przyszłość w lat zaraniu,
Myśli twoich skry ogniste
Motylową drogą płyną;
Śnisz o pierwszem twem kochaniu
I upajasz serce czyste
Nadziejami wszech-rozkoszy,
O toś wtedy najszczęśliwsza!
Roisz, marzysz, śnisz na jawie,
Żadna troska snów nie spłoszy,
Żadnać boleść nie tknie żywsza,
Ziemia niebem dla cię prawie.
I nadchodzi chwila złota,
Pokochana kochasz szczerze,
Duszę z duszą miłość łączy,
W kwiecia woni, w listków szmerze
Pieśń o szczęściu w duszę sączy. —
Wtedy dziewczę idź za głosem
Twego serca, twej miłości,
Idź za szczęsnym życia losem.
Kochać można raz w młodości,
Bo gdy przyjdzie lat południe,
To o miłość będzie trudniej. —

Na trzeci dzień Maja 1891.

Poglądam się w przeszłość: uroczą tę ziemię
  Gołębie a znojne zaorywa plemię. —
Aż oto gołębi lud ciśnie a gnębi
Brać własna, co ślepa swą pychą.
    I płocho się rządzi potomstwo to butne,
    Krwią bratnią, krwią własną pomiata rozrzutne,
    Nie słyszy, jak gromy tej pysze znikomej
    Na zgubę wołają, na lichą. —
Aż oto ta burza, co groźbą huczała,
Zjawiła się straszna: i wrogów nawała
Wężowym pierścieniem, przemocy brzemieniem
Obwiodła, przypadła na naród.
    I pany zbudzone spojrzały dokoła
    I w proch swe dumne poniżyły czoła,
    Zapóźno ujrzały owoce zakały —
    Już śmierci rozpotężniał zaród.
Lud zrywa się ze snu, rozwiera źrenice
I w dłonie rozżalon zbladłe chowa lice,
I bije we dzwony i woła strwożony
Do walki, do krwawej, śmiertelnej.
    Lecz nim się z wrogami obcymi rozmierzy,
    Nim zginie we walce, lub drogę zabieży
    Najezdnej przemocy — on z własnej niemocy
    Wydźwignie się jedny i dzielny.
I stanął dzień jeden tak jasny, świetlany,
Iż błogą radością koi dawne rany;
Iż koi a pieści te wszystkie boleści,
Co naród je zcierpiał niebogi. —
    I zbyło się pychy rycerstwo zbyt dumne
    I przyszłej wielkości oparło kolumnę
    Na szarym tym ludzie, co dotąd szedł w trudzie,
    Lecz nie szedł na boje, na wrogi.
I zeszły się dłonie w bratniem uściśnieniu,
I ten, co nikczemny chadzał w pognębieniu,

Co pełznął deptany — dziś drugim zbratany
Z niewoli wstał ciężkiej, głębokiej.
I była to radość tak krótka i czysta,
Jak owa różana światłość promienista,
Co jeszcze w wieczorze na niebie rozgorze,
Nim nocy ją zgaszą pomroki.
I czasy nadeszły smutku kirem czarne
I bolem a krwawą rozpaczą ciężarne,
I naród w mogile legnął w życia sile,
Przemocą do grobu zepchnięty.
Lecz ponad mogiłą stanęła kolumna,
Co w niebo się patrzy tak harda, tak dumna,
Iż poznasz z jej czoła, iż głosi i woła,
Iż chowa skarb życia zamknięty.
Bo oto na owej kolumnie wyryta
Narodu puścizna jasnym blaskiem świta
I głosi tym wiekom, co z mokrą powieką
Nad grobem, nad wielkim tym staną:
Iż naród, co umiał w godzinie swej śmierci,
Gdy chciwe go wrogi już rwały na ćwierci,
Sam idąc w niewolę, nie bacząc na bole,
W wolności uderzyć hymn wielki; —
Iż lud ten upadnie, lecz zginąć nie może
I chociaż wróg srogi go natknie na noże,
Wyleje krwi morze i kości rozorze,
On wstanie z krwi każdej kropelki.
Więc patrząc i widząc ów dzień najszczęśliwszy,
Ten Maja dzień trzeci — to bolu się zbywszy,
Rozgłośnie wam wieszczę: nie zginął on jeszcze
Ten naród, choć żywcem grzebany.

Tarnów, 3. Maja 1891.

Zygmunt Bytkowski.

Głosy niemieckich poetów,
sympatyzujących z Polską,
o rocznicy 3-go Maja.

Rocznica 3-go Maja, która zwalczywszy zakorzenione tak głęboko stare przesądy, nierządom wiekuistą usiłowała kłaść tamę; rocznica ta tak ważną odgrywa rolę w życiu porozbiorowem Polski, że naród, chlubiąc się jej owocami, w wiernej i wiecznej zachowa ją pamięci.

W stuletnią rocznicę nadania konstytucji uważałem za rzecz właściwą, przytoczyć zdania poetyczne o konstytucji 3-go Maja, wypowiedziane przez Niemców, przychylnych sprawie polskiej.

Nie nastręczyło mi to zbyt wielkich trudności, gdyż pomiędzy nagromadzonemi dotąd przezemnie sto kilkunastu mniejszemi lub większemi utworami poetycznemi Niemców na cześć Polski, koniecznie i o konstytucji jaka taka musiała się znaleźć wzmianka, inaczej bowiem zbiór nie byłby wyczerpujący.

I znalazłem też podobne ustępy, które poniżej podaję, ale jest ich bardzo mało. Mogłoby to nawet zdziwić czytelnika, że konstytucja nie w wyższym stopniu zaprzątała duchów liberalnych, myślących a sprzyjających Polsce wśród cudzoziemców, podczas gdy imiona Sobieskiego i Kościuszki tak często w tych niemieckich „Polenlieder“ się powtarzają, że prawie osobną z nich rubrykę utworzyć można.

Już Seume w swojej „Parentacji“ niejasną czyni wzmiankę o rocznicy 3-go Maja; pewien anonim w swojej „Pieśni kościuszkowskiej“ odnosi się także do konstytucji 3-go Maja, ale dosyć niewyraźnie, dosyć nieśmiało. Pisze o niej:

„Bo wolności laszej młodociany krzew
Wzrósł ku niebu, szczyty przewyższając drzew.

Gdyby chmury, wiatrem przerzedzone,
Prysły obłęd i despotów gniew.“

Ale młoda konstytucja widocznie nie cieszyła się sympatjami Moskwy i jej zauszników. Autor bowiem do tryumfu pieśni miesza głos przestrogi:

„Wielkie działań pole!
Bo w najbliższem kole
Głos syreni nęci,
Więżąc ludzkie chęci,
Wkrada się do serca usłużnością swą,
By wolności święto sprofanować krwią.
Ujdź anarchio, zgub się z oczu naszych,
Twój syreni śmiech nie nęci nas.“

Że wśród ogromnej plejady przychylnych Polsce niemieckich pieweów ani Platen, ani Herwegh nigdzie o konstytucji 3-go Maja najmniejszej nie czynią wzmianki, to z wszelką słusznością mogłoby zastanowić czytelnika. Nie zapomnieli jednak o niej Gaudy, Holtei i Ortlepp, wszyscy trzej niepospolicie uzdolnieni poeci, wszyscy trzej sympatyzujący szczerze z Polską.

Najobszerniej i z największym zapałem o konstytucji 3-go Maja rozwodzi się Gaudy w swojej powieści epicznej: „Paulina.“ Skarciwszy w słowach płomienistych i pełnych szlachetnego oburzenia zdradę Targowiczan, która Polskę wiodła na brzeg przepaści, woła on:

„Lecz jeden jeszcze dzień jaśnieje,
Polska zapisze go w swe dzieje:
Dzień, w którym z nową już postacią
Na nowo się odrodził naród,
I starych wad znikł w otchłań zaród,
Co przepaść tworzył między bracią.
Zapór zapadły się ostatki,
Dzielące synów jednej matki,
Zapadły się i waśń jałową
Czarowne uśmierzyło słowo.
To słowo swą cudowną siłą
Noc nieprzejrzystą przerzedziło.
Wolności słońce znów się budzi,
By znowu odżyć w sercu ludzi,

A myśl ją ludzka pojąć zdolna:
Powstała Polska z boju wolna!“

Holtei w patrjotycznej swojej fantazji, zatytułowanej: „Ostatni Polak“ a przedstawiającej w osobie trzykrotnie w głowę ciętego szaleńca Polskę po trzech rozbiorach, mówi o rocznicy 3-go Maja:

„Nie dowierzaj wiośnie! i w Maju
Jeszcze nie rzadkie przymrozki!
Choć trzeci dzień Maja dla kraju
Blask szerzył w około boski;
Choć zewsząd kwiaty woniały,
Sen był to nazbyt zuchwały.
Już po śnie! Zimą przerwane
Ustały drzemki wiośniane.“

A Ortlepp w wzniosłej pieśni: „Matka i dzieci“ pisze z wielkiem namaszczeniem i serdecznie odczutym bolem o rocznicy 3-go Maja, żałując, że tak była krótkotrwałą i że miejsca ustąpić musiała uciskowi i reakcji:

„Próżno się wiosna uśmiecha,
Czasy im wróżąc łaskawsze,
Serce za Majem ich wzdycha,
Który pogrzebion na zawsze!
Wówczas to pieśnie krążyły
Wpośród narodu ochocze,
Dzisiaj pod wiekiem mogiły
Śpią te złudzenia urocze.
Dziś nieszczęśliwi swe blizny
Włóczą gdzieś na świata krańce,
Dziś pozbawieni Ojczyzny
W oddali błądzą wygnańce!“

W innym znowu utworze, a mianowicie w fantazji, zatytułowanej: „Widzenie“ a naśladującej tonem, nastrojem i treścią Zedlitza: „Nächtliche Heerschau“, pisze Ortlepp o rocznicy 3-go Maja:

„Oto burza, która światom
Grozi straszna i złowroga,
Że się nie ocali atom,
Gdy się burza zerwie sroga;
Lecz gdy burza ta ustanie
I gdy zniknie noc z przestworza,

Wtedy będzie znów świtanie,
Będzie Maj i wiosna hoża."

Ale cały poemat, z którego niniejszy ustęp wyjęty, niekoniecznie spodoba się Polakowi: Ortlepp bowiem bijąc pokłony przed wielkością Napoleona, każe jego cieniom polską sprawę wskrzesić i odświeżyć pamięć 3-go Maja. Jest to hołd, za daleko posunięty.

Na zakończenie podaję jeszcze w tłumaczeniu dowolnem „Polaka pieśń majową", napisaną przez anonima a mieszczącą się w Schanza i Paruckera „Deutsches Liederbuch", wydanem w Lipsku w roku pamiętnym wielkich przewrotów i rewolucyj dziejowych — 1848.

Polaka pieśń majowa.

Bracia! spieszmy tam na pole
Ścieżką kwietną, bujną błonią!
Zabijajmy serca bole
Czarem wiosny, kwiatów wonią!
Luby Maj, błogi Maj
Od zimy uwolnił kraj!
Nową przyoblekłszy postać
Maj nam klejnot dał tak drogi.
Martwym któżby mógł pozostać,
Gdy się czas przypomni błogi?
Boże daj! Boże daj!
By nam zakwitł taki Maj!
Lecz praw umiał nas pozbawić
Wróg w dniu zemsty hiobowym,
I nie wolno nam już prawić
O klejnocie narodowym.
Smutny Maj, smutny Maj,
Gdy nie wesół lud, ni kraj!
Lecz wolności znów sztandary
Wieścić będą wrogom straty;
Przodków nam zapewni stary
Miecz zwycięztwo jak przed laty —

Wolny Maj, wolny Maj
Ziemię niech przemieni w raj!
I znów twarz rozpromieniona
Blaskiem świateł i promieni,
Męztwo rośnie w głębi łona,
Skroń się w wieńców lśni zieleni.
Od tyranów wolny kraj,
Niech pozdrowion będzie Maj!

Sambor, 1891.

G. Kohn.

WRÓŻBA,

obrazek sceniczny w jednej odsłonie.

Napisała

Janina Sedlaczkówna.

OSOBY:

Grybosz — „Dziadusiem“ zwany, kozak, który w czasie Koliszczyzny ocalił rodzinę Wieniawskich i stał się jej opiekunem.)

Jadwiga
Zofia, jej siostra } Wieniawskie.
Suchorzewska, żona posła kaliskiego.
Janek, jej sześcioletni synek*).
Józef Potocki, narzeczony Jadwigi.
Marynia, służąca.

(Rzecz dzieje się w domu Wieniawskich w 1791 dnia 3. Maja.)

---

*) Ta osoba w razie potrzeby może być opuszczoną.

SCENA I.

(Pokój pięknie umeblowany — „Dziaduś“ naprzeciw kominka siedzi w fotelu i drzemie; na kominku trzaska wesoło ogień, Jadwiga stoi obok biurka i przegląda dziennik.)

JADWIGA.

Piękne rzeczy pisze ksiądz Bohomolec w swoim „Monitorze“. Ten wspaniały artykuł o sejmie z pewnością napisał książę Adam Czartoryski, o to gotowam się założyć. (Odkłada dziennik.) Do skończenia sesji jeszcze mamy godzin kilka, jeśli dobrze mi powiedziano, bo któż zresztą obrachować może dokładnie, kiedy się to dzisiejsze posiedzenie skończy. Wiem, że nieraz sesje przeciągały się i do nocy. Ach! jakżebym rada dowiedzieć się czegoś ztamtąd. Jakże mi mocno serce bije. O, żeby to już wiedzieć, czy nasi zwyciężyli w sejmie, czy też może... Chryste uchowaj, by wrogowie mieli przeszkodzić zbawiennemu dziełu. Nie, to się nie stanie, dobre musi zwyciężyć.

GRYBOSZ (budząc się.)

Prawda, prawda gołąbko, dobre prędzej czy później złe pokonać musi.

JADWIGA.

Ach dziadusiu! Nadzieją mi dusza wzrasta. O pewno, pewno nasi będą, muszą być górą! Tak, tak; lada chwila pewno nadbiegnie rozpromieniony pan Józef i o wszystkiem da nam znać.

GRYBOSZ (z lekceważącem poruszeniem ręki.)

Ten pan Józef, moja ty gołąbeczko... coś, przyznam ci się, że dziwnie mi jakoś wyglądał, gdy był u nas ostatnią razą, pamiętasz?

JADWIGA (z zapałem.)

Ale czemużby nie? Pewno był zajęty bardzo sprawami sejmowemi. Pamiętam, pamiętam, był jakiś nie swój. O pamiętam dziaduniu.

GRYBOSZ (niecierpliwie.)

Alebo przeciwnie moja duszko! Ja bo co innego na myśli miałem. Kto wie, widzisz, kto to wiedzieć może... on trochę podejrzany....

JADWIGA.

Co dziaduniu?! ty wątpisz o nim? Mógłżebyś zwątpić o jego charakterze, o jego prawości?

GRYBOSZ.

Otwarcie powiadam moje dziecko, że powątpiewam i bodajby to było nieprawdą, że ta jego zacność siedzi tylko na końcu języka. Pomyśl sama, jak to on się od niedawna skłania ku tym, którzy są poplecznikami Moskwy bądź tajnymi, bądź otwartymi. Pewne pogłoski mówią nawet... no! ale ja tam pogłoskom nie wierzę!

JADWIGA (zaniepokojona.)

Co, co? Kończ dziaduniu, pogłoski mówią... że..

GRYBOSZ.

Że ten pan Józef z Rosji subwencje bierze.

JADWIGA.

Wielki Boże! On? — Józef?

GRYBOSZ.

Uspokój się dziecko drogie; wszystkiemu zaraz

wierzyć nie trzeba; wolno tylko przypuścić, że w pogłosce połowa prawdy się mieści.

JADWIGA.

Dziaduniu jedyny! I tożby miało być pocieszeniem dla mnie? Dla mnie, która pragnie, aby charakter tego człowieka był nieskazitelny; dla mnie, którabym rada widzieć go cnotliwym, wielkim; obywatelem, służącym wiernie Polsce i ginącym za nią chlubnie. Wszakże takim tylko być może mój oblubieniec. Nieprawdaż?

GRYBOSZ.

Rozumie się; zgadzam się z pragnieniem takiem jedynie i wyłącznie. Ale Jadwiniu bądź mężną i gotową na wszystko. Nie łudź się zbytnio, ani też zatruwaj sobie duszy nadto czarnemi widmami.

JADWIGA (smutnie.)

Mój Boże! A ja tak wierzyłam w prawość jego i w cnoty obywatelskie tego człowieka!

GRYBOSZ.

Nie powątpiewaj jeszcze o wszystkiem, coby na jego korzyść przemawiało, ale ostrożną w tej mierze być nie zawadzi.

JADWIGA.

Dałby Bóg, aby pogłoski były płonne a obawy całkiem bezpodstawne! O, ktoś idzie, słyszę jakieś kroki; może się przecież czegoś pewnego dowiemy.

SCENA II.

(Wbiega Zofia.)

ZOFIA.

Co za radość! co za wesele w całej stolicy!!

Ludzi jak mrowia wszędzie, a każdemu śmieją się oczy i usta, czoło jakby jakieś blaski siało. Niezwyczajne to rzeczy. Zamek królewski obłężony przez mieszczan i szlachtę. Skupiają się tam wszyscy i wołają jednozgodnie: „Wiwat król! wiwat naród!! wiwat wszystkie stany!!!“ Po chwili znowu powtarzają jakby długie echo słowa, wypowiedziane przez króla w sali sejmowej: „Król z narodem, naród z królem!“ — Potem mieszają się z sobą najróżnorodniejsze okrzyki i jedno tylko uczucie wśród nich rozpoznać można.

JADWIGA.

Cóż? cóżto takiego? mów Zosieńko!

ZOFIA.

Jedno — a tem jest uczucie niepodległości!

GRYBOSZ.

Dałyby to nieba; lecz niezawsze można pierwsze objawy uniesienia brać za rękojmię prawdy. Czy to tylko naprawdę owe radosne okrzyki są zwiastunami niepodległości? O, bo wy nie wiecie, jak to trudno wyrwać się nam z tych szponów wroga, co nas uchwyciły i dławią śmiertelnie. A wszakże potrójna obroża trzykroć od jednej takiej silniejsza. Któż nam zaręczy, czy po tem pierwszem rozdarciu kraju naszego nie nastąpi drugie i trzecie?

JADWIGA (z przerażeniem.)

Chryste uchowaj! Zmiłuj się nad nami!

ZOFIA.

Cóż za okropności dziaduś nam wróży! Tego chyba nie przeżylibyśmy!

GRYBOSZ.

Obym był puszczykiem fałszywej a nie przedzgonnej wróżby! Wszakże ja dla swego narodu życia, życia w pełni wolności i szczęścia a nie śmierci pragnę! (Zakrywa twarz dłońmi i milczy.)

JADWIGA (przyciszonym głosem.)

Zimno mi się robi od tych słów okropnych, — co mi gdzieś aż w najtajniejszą głębię duszy zapadły. Zosiu, czy ty wiesz, co to znaczy? Dziadek ma jakieś złe przeczucia; wiesz przecie, że on się prawie nigdy nie myli w przeczuciach i wróżbach.

ZOFIA.

Jednakże staruszek nasz dużo złego widział, wiele nieszczęść przeżył i dlatego tak mu trudno w szczęście uwierzyć. Nie martw się moja jedyna siostrzyczko. O!? słyszysz? Biją z moździerzy i armat! Dzwony się ozwały! To jest prawdziwą wróżbą naszego zbawienia! (Biegnie ku dziadkowi i klęka przy nim obejmując jego ręce.) Dziaduniu, słyszysz? No, rozjaśnijże czoło; tam ci już tyle zmarszczek osiadło. Patrz weselej, pogodniej! Dziadusiu kochany, salwy biją!!

GRYBOSZ.

Dobrze już dobrze, moja ty pieszczotko. Zawadzają ci moje zmarszczki? Wiek i wypadki boleśnie poorały mi skronie. Jadwiniu, pójdź i ty do mnie; tak mi cię trzeba mieć blisko przy sobie; zdaje mi się, że to mój najświętszy obowiązek stać przy tobie, jak dobry, ostrzegający głos Anioła-stróża. Chodźże tu moja gołąbko. (Jadwiga przyklęka tak samo u jego kolan jak Zofia. Dziadek gładzi jej włosy.) Biedne ty moje dziecko! Ale ty umiesz być mężną, nieprawdaż?

JADWIGA.

Jak na Polkę przystało.

GRYBOSZ.

To pięknie. Wierz mi, że nie ma dla szlachetnych ciosu takiego, któryby nie przemienił się później w gwiazdę zbawienia. Bądź mężną: wy kobiety wiele przecierpieć w życiu musicie, a jednak łamać się wam nie wolno; stójcie jak granit, bo wam wiele jeszcze do spełnienia pozostało: wszak od was zależy przyszłość, od was! Słusznie mawiał wielki Wernyhora: „Kobiety, a zwłaszcza Polki, mogą wszystko, jeśli tylko chcą.“

JADWIGA. (d. s.)

Co znaczą te słowa dziadka? Cóż mnie tak strasznego czekać może, ażeby mi tyle męztwa dodawać trzeba? I to dzisiaj, w dniu powszechnej radości narodu i jego chwały? (Do Grybosza.) Dziaduniu mój, lękam się czegoś okropnie!

GRYBOSZ.

Stary Grybosz kocha was moje dzieci. Kocha was bardzo, bo co trudem i cierpieniem nabyte, to nam bardzo, o bardzo nam drogie! Żywo przypominają mi się one straszne chwile Koliszczyzny. Strach wspomnieć! Kędy spojrzysz, tylko noże i piki widzisz hajdamackie, wszędy okrucieństwa, krew i ogień. Wy małe dzieciaki wówczas sierotami zostałyście: matkę wam porwano, ojciec zginął i wyrzucono was jak pisklęta z własnego gniazda. Pochwyciłem was i cudem prawie ocaliłem. Kryliśmy się długo po lasach i pustkowiach. Szalało wszystko. Cała kozączyzna zapalona pożogą buntu. Wielkim był nasz Wernyhora. On, mój opiekun jak ja dzisiaj wasz; on, jak prorok, jak mąż świątobliwy, patrzał na to morze łez i krwi ze zgrozą i wstrzymywał piorunującem słowem od podłości, od dzikich okrucieństw. Widział upadek

a przecież nie zwątpił, bo ten tylko jest wielki, kto w najgroźniejszych chwilach wiary w przyszłość nie traci a im więcej gromów weń uderza, tem silniej wstaje nadzieją.

JADWIGA.

A ty dziaduniu, wierzysz w nasze wybawienie?

GRYBOSZ (z mocą.)

Wierzę!

(Słychać hałas.)

ZOFIA (patrząc w okno.)

Co to za wrzawa? Od strony zamku gwar się podnosi niesłychany; lud jak fala płynie ulicą.

JADWIGA (j. w.)

Niepojęte! Co to być może? Czy to zapowiedź naszego zwycięztwa?

SCENA III.

(Wchodzi służąca.)

SŁUŻĄCA.

O mój Jezusieńku! co też to się dzisiaj dzieje! Złote wesele w całem mieście. Ludziska aż płaczą z ochoty.

ZOFIA.

A tobie nie przyszła chętka zapłakać z nimi z radości?

SŁUŻĄCA.

Cieszyłabym się, żeby jeno wiedzieć, poco i dla czego?

JADWIGA.

Albożto nie wiesz?

SŁUŻĄCA.

Coś tam trochę zasłyszałam; podobno to panowie cosik wymyślili sobie i uradzili na pożytek swój i dlatego się cieszą; ale co też biedakom z tego przyjść może? Pewno jak zawsze, tak i teraz będzie jedno wielkie nic!

ZOFIA.

Mylisz się moja kochana, nie na własny pożytek radzili panowie, ale na wyratowanie z niedoli całego narodu, więc i biednym będzie teraz o wiele lepiej.

SŁUŻĄCA.

Chwała Panu Bogu! Chociaż tak prawdę powiedziawszy, to i teraz u dobrych państwa człekowi jak w raju a u złych prawdziwe piekło, ot jak naprzykład u tego straszliwego starosty z Kaniowa — opowiadał mi o tem pachołek od starosty. Straszne rzeczy, aż włosy na głowie dębem stają.

ZOFIA.

Na szczęście nie mamy takich dużo.

JADWIGA.

Czyś ty Maryniu miała jaki interes, żeś przybiegła tu do nas?

SŁUŻĄCA.

Ależ rozumie się! A to dopiero ze mnie gapa nielada! Zapomniałam nawet powiedzieć, że przed chwilką przyszła tu pani Suchorzewska, okropnie zdyszana i natychmiast kazała mi szukać panny Jadwigi.

(W tej samej chwili wchodzi Suchorzewska z synkiem, a służąca zaraz po jej wejściu wymyka się z pokoju.)

SCENA IV.

SUCHORZEWSKA (mocno wzruszona.)

Jakichże czasów dożyłam! (Rzuca się na fotel.) Jadwiniu! co mnie za hańba, co za ból i wstyd spotkały! Mąż mój zmysły już traci i jak przedtem w dobrej wierze tak i teraz łączy się z wrogami; oni go zupełnie usidlili. Teraz doszło już do tego, że jawnie współdziała ze zdrajcami Ojczyzny. Do wszystkiego namawia go ten bezecny Branicki. On stał się ślepem tego hetmana narzędziem. Gdyby mu hetman kazał i królobójcą zostać (co dotąd u nas niesłychane), uczyniłby to. Własnego syna chciał teraz zabić w obliczu wszystkich zgromadzonych stanów.

JADWIGA.

Jakto? Własnego syna?

SUCHORZEWSKA.

Tak.

ZOFIA (przystępując do Suchorzewskiej.)

Droga pani! proszę się uspokoić przedewszystkiem; jesteś tak wzburzona, że odchorować to możesz: wyglądasz pani blado, twarz twoja przerażeniem przemawia. Uspokój się dobra pani — proszę o to — a potem opowiesz nam wszystko.

SUCHORZEWSKA (p. chw.)

Okropne rzeczy! Jak tu żyć teraz z tem piętnem hańby? Rozważcie same. Rada byłam obaczyć tryumf dobrego nad złem i dlatego udałam się do zamku, do sali posiedzeń na galerję. Poszłyśmy wespół z marszałkową Małachowską. Ona szczęśliwa! Mąż jej stał się chlubą narodu! na rękach go noszą! Z karety jego młodzież konie wyprząga i sama, własnemi rękoma go wiezie wołając: „Niech żyje cnota!“ Wzięłam z sobą synka, ojciec powiódł go na dół, aby się lepiej przypatrzył wspaniałemu tronowi króla. Odczytano nową ustawę, a wszyscy wołali jednogłośnie: „Zgoda! zgoda!“ Wtedy mąż mój pierwszy wystąpił z opozycji i zakrzyknął: „Nie ma zgody!“ Myślałam, że mu ten okrzyk piersi rozedrze! Domagał się bezustannie głosu, ale mu dać nie chciano. Gdy nareszcie marszałek dał mu głos, wtedy rozpoczął mowę bezładną, pomieszaną, namiętną przeciw wszelkim naprawom rządu a konstytucję nazwał zamachem stanu i burzycielką wolności. Wszystko, co mówił nieszczęsny obłąkaniec polityczny, wiem, że pochodziło z poduszczenia nikczemnego Branickiego i Kossakowskiego. (Milczy.)

ZOFIA (p. chw.)

I cóż, cóż się dalej stało?

SUCHORZEWSKA.

Kiedy widział, że mowa jego żadnego skutku nie osiąga, wpadł w jakiś szał okropny, porwał syna, podniósł go w górę a stanąwszy na środku sali zawołał: „Wiem ja, że nietylko na Rzeczpospolitą, ale i na najpierwszego jej obrońcę, na mnie jest sprzysiężenie, lecz nie dbam o nie i zabiję własne dziecię tu na miejscu wśród obrad sejmowych, aby nie dożyło niewoli, którą ten projekt krajowi gotuje!“ — Ledwo zdołano mu wyrwać płaczącego malca.

JANEK.

A ja się tak okropnie bałem; tatko był bardzo straszny wtenczas, kiedy mnie chciał zabić.

SUCHORZEWSKA (tuli go.)

Nie, nie, tatko byłby ci nic złego nie zrobił!

GRYBOSZ.

Jakto daleko prowadzi zaślepienie: aż do występku. Gdyby nie dzisiejsza nowa ustawa, nigdy już nie dźwignęłaby się Polska. Upadnie ona, zniknie prawie, ale żyć będzie i jak ukryte zarzewie znów w jasny a świetny płomień buchnie.

JANEK (wpatrując się w niego.)

Święte słowa pana!

GRYBOSZ.

O, ty mój dobry chłopcze! chodź tu, chodź, niech cię uściskam; stary jestem, nie mogę wstawać. (Janek przybiega do Grybosza, on go głaszcze, całuje i rozmawia półgłosem.)

JADWIGA (do Suchorzewskiej.)

Zatem pani byłaś świadkiem wszystkiego, co się działo w sejmie?

SUCHORZEWSKA.

Dopóki z Jankiem nie wybiegłam.

JADWIGA.

Musisz pani zapewne coś wiedzieć i o panu Józefie?

SUCHORZEWSKA.

Niestety, moja Jadwiniu.

JADWIGA.

Jakto?

SUCHORZEWSKA.

Stał przy partyi nieprzyjaciół i gardłował na zgubę narodu. Ale... niech im wszystkim Bóg odpuści, bo oni nie wiedzą, co czynią. Ciemni, zaślepieni!

JADWIGA.

Więc aż do tego przyszło? Boże mój, Boże!

SUCHORZEWSKA.

Daruj! dotknęłam cię boleśnie. W swojem nieszczęściu zapomniałam, że mogłabym mimowoli kogo zranić, przebacz mi.

ZOFIA.

Siostrzyczko! upamiętaj się! Prawda, że to dla ciebie cios bolesny, ale gdy naród cały raduje się, powiedz, godziż się tobie jednej nad własną płakać sprawą?

JADWIGA.

Dobrze mówisz. O, jakże słabe mam serce. Nie! płakać tej straty nie będę! To byłoby z mojej strony niegodnie — ale to boli, dotkliwie boli! (Ukrywa twarz w dłonie.) I jam mogła kochać tego człowieka? (Po chwili.) Lecz jestżeś pani tego pewna, że takim był dzisiaj w sejmie Potocki?

SUCHORZEWSKA.

Jak cała partja Szczęsnego i Branickich.

JADWIGA.

Ach mój Boże! I ja... ja kochałam tego nędznika! Dziaduniu, ty mi tego nigdy nie przebaczysz!

GRYBOSZ.

Dziaduś niejeden ból już przeżył i ten zawód zresztą nie był nieprzewidziany. Ale nie martw się tylko, moje dziecko! Lepiej, że cię to dotknęło teraz, aniżeli miałoby się stać wtedy, kiedyby już był twoim mężem.

JADWIGA (siadając na krzesło.)

Słusznie. Lepiej, że teraz. Ból taki gryzie jak żmija w sercu, lecz mi wstyd, przyznawać się do takiej słabości.

ZOFIA.

Nie wstydź się siostrzyczko; daj Boże tylko, żebyś to potrafiła znieść bez szkody. Przyniosę ci krosna, jeśli pozwolisz; może zajęcie rąk uleczy boleść duszy.

JADWIGA.

Dobrze, dobrze, wiem, że pracą koją się najdotkliwsze cierpienia. Koją? Nie, — tylko przygłuszają. Czas mię jednak uleczy ze wszystkiego.

SUCHORZEWSKA.

Odwagi, odwagi, moja Jadwiniu! Tobie życie przyniosło wpierw ciernie, potem dopiero należne odda kwiaty.

(Zofia odchodzi a w drzwiach spotyka Potockiego, który ją wita posuwistym ukłonem.)

ZOFIA.

Bezczelny! (Wychodzi.)

SCENA V.

POTOCKI (d. s.)

Nie pojmuję! Co się tej dzierlatce z ust wymknęło? Co to znaczy? Do kogo to zastosowała? (Głośno.) Czołem Waćpaństwu! Wracam ze sesji sejmowej, jeszcze cały wzburzony jak Katon lub Alcybiades! A, pani Suchorzewska! Czołem, czołem, do stópek się ścielę. I jakże się Jejmość z synkiem wydostała? Siarczyste, doprawdy były obrady. Ale co tam! Szkoda tylko, żeśmy się pobić dali, a mimoto dać nie możemy tamtej partyi za wygraną. A, ten Małachowski! Gdyby takich marszałków więcej było, toby wnet wszystkie stare przywileje poobalali a wraz z przywilejami poobrywaliby nam głowy. Jejmości małżonek, to człek nie byle jaki, chwat, co się zowie.

SUCHORZEWSKA.

Uchowaj Boże od takich! A przecież mniej podły od innych zdrajców, boście mu szaleństwami głowę nabili.

POTOCKI.

Gorżko Jejmość pani posłowa przemawia; za ostro, na honor, za ostro!

SUCHORZEWSKA.

Kto honor i cześć wrogom Ojczyzny zaprzedał, ten ma już tak miedziane czoło, że doń i gorzej przemówić nie zawadzi, ale nic mu już ubliżyć nie zdoła. Nie słowem, ale plwaniem w twarze wasze, zaprzedańcy!

POTOCKI.

Do diaska te morały!... (Suchorzewska odwraca się doń plecyma i patrzy w okno, Potocki idzie ku

Jadwidze, chce jej rękę pacałować, ale ta groźnym ruchem wstrzymuje go.)

JADWIGA.

Precz!

POTOCKI.

Co to znaczy, panno Jadwigo?

JADWIGA.

To znaczy, że najemników Moskwy znać nie chcę.

GRYBOSZ.

I niech domu tego nie plugawią obecnością swoją, progi nasze niech mu będą odtąd murem nieprzebytym.

POTOCKI.

Muszę Waszeci powiedzieć na swoje usprawiedliwienie rzetelne, że tylko stanąłem po stronie słuszności. Waść tak samo byś postąpił.

GRYBOSZ (podnosząc pięście.)

Ja? ja, wychowaniec Wernyhory, co Ojczyznę kochał jak świętą Marję? ja?! Wyznaję, że takich apostatów jak Waść, to bym pozabijał zaraz na sejmie nawet. Gardłem zapłaciłbyś mi za odstępstwo od dobrej i godziwej sprawy i mówię Waści, że przypłacisz.

POTOCKI.

Obaczymy! Lecz powiedźcie proszę, co dysputy sejmowe mogą mieć do spraw narzeczeństwa? Panno Jadwigo, zadecyduj sama.

JADWIGA.

Nie wymawiaj pan już tego słowa, przestałam być pańską narzeczoną od chwili, gdy ruble moskiewskie do twej weszły kieszeni. Dowiedz się pan, że u nas Ojczyznę kocha się ponad wszystko i wszystkich. Precz! mówię.

POTOCKI (błagalnie składając ręce.)

Ulituj się Jadwiniu, patrz, błagam na kolanach (przyklęka), pomnij na miłość naszą serdeczną...

JADWIGA.

Z tej mi dla Waćpana jedno uczucie pogardy a za zdradę Ojczyzny przekleństwo pozostało.

POTOCKI (powstając.)

Jesteś pani twardego serca i nieugięta jak Spartanka.

SUCHORZEWSKA.

Jak Polka!

JADWIGA (rozkazująco.)

Zejdź mi pan z oczu! Wstrętny jesteś; robisz wrażenie pełzającego a zdradliwego gadu.

POTOCKI (z gniewem.)

O pani! miarkuj się, bo mnie zemścić się nie trudno, a jeśli zechcę, to i żoną moją zostać będziesz musiała.

JADWIGA (szyderczo.)

Moskiewska dla Waści stosowniejsza, bo i trzosem milszym brzęknie; dla Waćpana dźwięczy milej rubel niż nasz tynf lub grzywna. Dla marnej mamony upodliłeś się! A to bezecnie! (Milczy.) O, byłabym

pana złotem obsypała, byłabym oddała wszystkie klejnoty, żeby cię tylko od upadku uchronić. Dziś zapóźno. Idź więc daleko odemnie przedajniku i niech cię więcej moje oczy nie oglądają. Idź do carycy a ztąd precz!

POTOCKI (upokorzony, z głową spuszczoną powoli idzie ku drzwiom.)

Stało się! Beatus qui tenet, powiedział Wenet, a ja tu wszystko straciłem i bodaj, że nie odnajdę tego już nigdy w życiu! — (Wychodzi.)

SCENA VI.

JADWIGA (ponuro.)

Stało się, stało! A mnie rozdzierała się dusza, gdym go potępić i wygnać od siebie musiała. Ale rzecz skończona.

SUCHORZEWSKA.

Mężną jesteś i dzielną, Jadwiniu. Niech cię Bóg błogosławi. Postąpiłaś tak pięknie, jak nasz nieśmiertelny Rejtan, który, kiedy wszedł dnia jednego do domu swej narzeczonej i zobaczył na ścianie świeżo zawieszony portret cara, opuścił dom jej ojca na zawsze i od małżeństwa odstąpił, chociaż pannę bardzo kochał.

JADWIGA.

O dobra pani! mnie chwalisz a ileż sama hartu duszy posiadać musisz, gdy w ciebie wzmierzył stokroć boleśniejszy cios, a ty nie uginasz czoła, nie upadasz. Jakżeż okropne teraz twoje życie, biedna pani.

SUCHORZEWSKA.

Prawda. Mąż mój prędzej czy później opamięta się i pokutować będzie gorżko, ja z nim pokutę podzielę! Ale jedną mam przecież pociechę, oto że naród mój obudził wszędzie cześć i poszanowanie a jeśli mu zginąć przyjdzie w losów kolei, to przynajmniej z chwałą zginie!!

GRYBOSZ.

I nie zginie! Wiedział to Wernyhora i prorokował a ja wam wróżby jego powtórzę i niech zostaną w sercach i głowach na wieki: „Polskę na szmaty rozszarpią obce ręce i długie lata będzie się łzami skrapiać, krwią broczyć i na łożu śmierci ze śmiercią walczyć. Nareszcie upadnie, ale zmartwychwstanie!“ — Płakał stary Wernyhora do swej Ojczyzny a wołał proroczo: „Polsko! Ojczyzno moja! Biedna twoja dola na teraz! Hojnie się przeleje krew synów twoich, wysokie mogiły wzniosą się z ich kości, spustoszenie, rozpacz i bujny smutek pociągną się po tej ziemi. Trzy postronne sępy trzy razy ciebie rozszarpią i upadniesz. Na niczem spełzną usiłowania polskich synów, król twój dzisiejszy, jak zaczął tak skończy, płaszcząc się na dworze moskiewskiej carycy. Ojczyzno! długo jęczyć będziesz pod jarzmem obcych; część twoich dzieci wywiozą w niewolę na bezludne obszary; druga pójdzie w dalekie kraje, żebrać pomocy krwią i słowem dla nieszczęśliwej Matki. Po długich latach zjawi się olbrzym zachodu i zabłyśnie nadzieja dla Polski. Polacy walczyć będą ze swymi wrogami, ale ta nadzieja zajaśnieje i błyśnie jak spadająca gwiazda z nieba. Jednak ci, co ją rozszarpali, powiedzą: Jest Orzeł biały, jest królestwo polskie — i ludzie słabi łudzić się tem będą a nawet błogosławić mordercom Ojczyzny, ale zły car, chciwy przelewu krwi swoich poddanych, zasiądzie na tronie Jagiellonów i pokaże, że blichtr nie jest prawdą. Naród polski powstanie we wszystkich częściach polskiej ziemi, ale zabraknie mu na ładzie, zgodzie i człowieku; jak dawniej, tak i teraz upadnie. Polacy jedni jak orły po spustoszeniu gniazda polecą na wędrówkę

daleką; drudzy na wygnaniach i niewolach smutne dnie liczyć będą. Polska nasiąkła krwią swoich dzieci, użyźniona ich trupami, długo znosić będzie ciężar ciemięzców, aż nareszcie nadejdzie czas, kiedy Anglik sypnie złotem, Francuz wesprze, Muzułmanin konie napoi w Horyniu. Polacy liczni jak drzewa litewskich borów, jak ziarnka piasku u brzegów Wisły, jak burzany stepu, powstaną i walczyć będą z wrogami. Pierwsze zwycięztwo odniosą w jarze Hańczarychy, drugie koło mogił Piasta i Perepiatychy, trzecie przy siedmiu mogiłach, czwarte i ostatnie między Reszczowem a Jańczą. Dniepr całkiem krwią się sfarbuje, potaszczy o porohy roztrącać trupy wrogów. Od Karpat po Niżowe stepy nie będzie ani Niemca, ani Moskala na polskiej ziemi. I Polska będzie wielka, potężna po wieki wieków!“ (Pada na fotel.)

(Zasłona spada. Muzyka gra marsz Dąbrowskiego.)

„Jam jest“,

przez

Zencna Młota,

wyjątek ze zbioru patrjotycznych poezyj tegoż autora, wydanego pod tytułem: „CIERNIE.“

„Jam jest.“
Ewangelia św. Jana. XVIII. 6.

Jam jest, co śpiewam pieśń
Żywota — ludy, wam!
Jam jest, co strząsam pleśń
Z narodu żywych plam.

A mojej pieśni moc
Ziści wam ducha chrzest,
Światło rozpędzi noc:
Jam jest!
Jam jest zabójcą ciał,
A stworzycielem dusz!
Przezemnie przewiał już
Ludzkich pożądań szał!
Ja myśl zamieniam w czyn,
W grom każden ducha giest;
Boć wielkich Ojców syn
Jam jest!
Jam jest na straży cnót,
Ze mnie brać macie wzór —
Stoję u waszych wrót,
A pierś mam jako mur.
We mnie dłoń boską znać,
Mnie prawdy obmył chrzest,
Choć świat przestanie trwać,
Jam jest!

Z CZASÓW
CHMIELNICKIEGO i SZWEDÓW.

Spisał

SZCZĘSNY MORAWSKI.

Chmielnicki odezwami podburzał chłopów przeciwko szlachcie, wywołał powstanie Podhalan i Pogorzan na Corstynie (r. 1651.) Jezuita ks. Mikołaj Cichowski między ludem rozszerzał wieść, że Arjanie czyli Bracia polscy djabła za Boga mają. Jątrzył tem i oburzał

chłopów i szlachtę nawzajem (r. 1652.) Szwedzi wtargnęli, wojsko hetmańskie musiało odstąpić Ukrainy a Chmielnicki na pozostały zastęp ogromną siłą napierał aż poza Lwów i Gródek (r. 1655.) Rozstrój społeczny był ogromny, położenie rozpaczliwe.

Dzieje one, dzieje niedoli spisał po łacinie i wydał Sądeczanin Kochowski, naoczny i w wojnie udział biorący świadek. Księga wielka i gruba, ale łacińska i to często zawile łacińska, więc mało znana, chyba z wyjątków wydawanych bez podania źródeł. Akademii nauk przystałoby, dać nakład na tłumaczenie i wydanie; ale Akademia dotąd niemiała czasu i sposobu. Może ta kiedy! może za innego przewodnictwa stanie się, co aż ohyda, że dotąd się nie stało.

Jako dodatek dorywczy tej księgi, podaję niniejszem kilka szczegółów, znamionujących społeczeństwo owych czasów niedoli i rozpaczy.

Sądeczyzny i Pogorza onych czasów dzieje szczegółowo są spisane i gotowe do wydania... jeżeliby się znalazł nakładca, lub nabywca.

Stanisław Warzycki, kasztelan krakowski.

1655 kasztelanii krakowskiej wsie: Pcim, Stroża, Krzeczów, Lubień, Krzców i Tęczyn do grodu sądeckiego zanoszą żałobę na Ur. Stanisł. Warzyckiego kasztelana krak. o ucisk:

Że Marszałka niejakiego dawniej już kazał zagrabić.

R. 1654 zabrano mu 40 bydła, a siedmiu kmieciom z Krzeczowa kasztelan kazał zabrać bydło, domy rozebrać a czterech z nich w Myślenicach więził o głodzie. Z nich Klimunta Szyszkę dał męczyć, aby zeznał, którzy obstają przy prawach swoich?

Potem zjechawszy do Tęczyna, dwa browary gromadzkie piechocie swej rozburzyć kazał, drzewo z nich do dworu swego do Lubnia zabrał i kotły browarne, garnce i naczynie wszystko.

Pisarza z Pcimia Jana Karpalskiego, który radą i pomocą wsiom tym bywał, chcąc pojmać, wysłał nań 10 harników. Lecz ten przestrzeżon wszystkiego w Pcimiu, odbieżał i do Węgier umknął. Więc Wny

kasztelan z dworem do Pcimia zjechawszy, kazał dom zburzyć, chudobę do Lubnia zagnać.

Niechętnych sobie zgromadziwszy kazał przysięgać: jako nie będą obstawać przy prawach swoich... poczem zaraz ciężary nieznośne nakładł.

Kmieciom każe dawać po złp. 36, a kanonikom po złp. 5, a gdy ci uciekają do wsiów innych, gospodarzom, od których zbiegli, każe płacić należytość. Od gromady gwałtem wyciąga ospy, gęsi, kury na św. Marcin; czego nie zwykli byli dawać. Do robót zniewala. Ilekroć zjedzie, każe dawać legominy żołnierzom, a częstokroć każe stawiać sobie i żywić harników liczbę pewną z wsiów wyprawować na usługi swe. Od owiec jałowych każe płacić po groszy 2, a od 20 owiec jagnię. Owsy, kury, jaja, które dawali na burgrabiego, każe sobie dawać. Role porozdwajał i dwoje z nich bierze, tak iż tego czynszu wymyślonego po 36 złotych, bierze złp. 72 na rok.

(*Grod Sącz księga 127 str. 66.*)

Marszałkiem zwan Stanisław Łętowski właściwie Nowopolski z Łętowni osiadły na Podhalu sołtys w Czarnym Dunajcu, który już r. 1628 stawał na czele chłopów, marszałkował sołtysowi Dzielskiemu i zasadzał się na starostę nowotarskiego Komorowskiego; potem r. 1651 Napierskiemu na Czorstynie marszałkiem był i pułkownikiem czerniawy chłopskiej z Podhala i dóbr kasztelanii krakowskiej, w czem mu pomagał Radocki, nauczyciel szkoły w Pcimiu, co odpokutowali śmiercią w Krakowie.

Synem będzie wspomniany marszałek w Pcimiu, którego grabił kasztelan. Za śladem Radockiego szedł pisarz Karpalski z Pcimia, który przed harnikami kasztelana musiał uciekać na Węgry.

Kasztelan pod Myślenicami miał Grodek (dziś Grodzisko nad Rabą), kędy przebywał czasami i dziwaczył wyniosłością. Był to człek wojenny do króla przywiązany, do Szwedów nie przystał, owszem pierwszy ich wypędził z twierdz Pilcy i Krzepic a do Dankowic ich nie wpuścił. Nie dziwo, że karcił poddanych Podhalan, skoro pierwsi pomagali Napierskiemu.

Nienawidził Arjan i Żydów, Arjanom koło Pilcy spalił zbór narażając się na zemstę Orzechowskiego, dowódcy piechoty krakowskiej, która doń strzeliła dwa razy, lecz obie kule oparły się o obraz blaszany Matki Boskiej, który nosił na piersiach.

(*Pamiętnik O. O. Reformatów w Zakluczynie.*)

Nad Rabą koło Gdowa. Stadnicki, Stokowski, Gurowski.

Stanisław ze Stadnik na Gruszowie i Kwapince Stadnicki, komornik lelowski, miał dwie córki zamężne: Krystynę za Gurowskim Stanisławem i Zofią za Brzezińskim Stanisławem w Zalesianach pobliskich.

Gruszów i Kwapinkę dzierżawił Stokowski Stanisław z Rozmuszowic, a obecnie w zastawie długu 500 złp. miał je odebrać Gurowski; czemu Stokowski sprzeciwiał się najusilniej. Zachodził się od gniewu, gdy woźny grodzki uskutecznił zdatę Kwapinki. R. 1655 (2. Marca) w niedzielę głuchą Gurowski jechał do kościoła w Gruszowie. Stokowski udał się tam także, przystąpił do wychodzącego z kościoła Gurowskiego, w obec ludzi wiejskich obrzucił go słowy obelżywemi, pytając raz po raz:

— To ty mnie chcesz wyrzucić z dzierżawy?... Myślisz, że ja się dam wyrzucić?... o! nie dam! nie dam!... już ja wiem, co uczynię!!....

— Cóż uczynisz?... odparł spokojnie Gurowski— a spokój ten do ostateczności roznamiętnił Stokowskiego, który poskoczył i uchwyciwszy za piersi ręką lewą, prawą wzniósł ku niebu, wołając z całego gardła:

— Przysięgam, że cię zabiję!! przysięgam Bogu! Gdzie cię zdybię, tam cię zabiję!

Nazajutrz Gurowski wyjechał, a we dworze w Kwapince została żona jego z siostrą swą Brzezińską; trzech kmieci Kolocz, Kuszczyk i Łaska strzegli dworu, zawierali bramę. Wtem przypada Stokowski z szwagrem swym Ignacym Różańskim i Walentym Szczawińskim, szwagrem Lubomirskiego Konstantego, starosty sądeckiego z służby drużyną liczną. Wściekły gniew swój wywarli na opierających się kmieciach biednych: Różański z sługami bił ich kijmi od stóp do głów.

Obie panie widząc pokrzywdzenie niewinnych, przybiegły w pomoc; lecz trudna walka niewiast z kupą mężczyzn rozżartych. Panowie Stokowski i Różański oderwali je od sług bijących, których się czepiały: przy którem szamotaniu nie obeszło się bez zadraśnień do krwi. Podobną chłostą zagroziwszy kmieciowi każdemu, któryby śmiał służyć p. Gurowskiemu — odjechali.

(*Castr. sandec. L. 127. p. 128.*)

Gurowski wróciwszy odesłał panie do Zalesia, sam zaś pojechał do p. Werbskiego Jędrzeja do Grabia, gdzie właśnie stała piechota Lubomirskiego Konstantego, starosty sądeckiego, któremu podstarościł Werbski Pilawita 35letni a katolik nabożny.

Nazajutrz p. Gurowski z jedynym sługą Głaszczykiem Jędrzejem a za nimi 40tu piechurów zbrojnych z rotmistrzem swym Mikluszem i porucznikiem ciągli ku Kwapince. Brzeziński obaczywszy wojsko, zabrał swe panie, pospieszył naprzeciw szwagrowi Gurowskiemu. Rotmistrz z porucznikiem rozstawiwszy piechoty częścią u chłopa podle dworu, prowadzili drugich w ogród dworski. Brzeziński jednego tylko miał z sobą sługę: również jedyny sługa Gurowskiego odebrał konie i odwiódłszy trzymając stanął na uboczu. Poczem samoszost do sieni udali się: rotmistrz z porucznikiem, Gurowski, Brzeziński i żony ich.

We drzwiach izby zastali dwu sług Stokowskiego, którzy we drzwiach obok siebie stanąwszy nie chcieli ich puścić do izby, zasłaniając się rozkazem pana swego. Więc Gurowski kazał przystąpić piechocie: przemocą wzięli i związali czeladź oną, krom której nie było żadnej innej. Poczem weszli do izby.

Wtem samotrzeć nadjeżdża Stokowski, staje na podwórcu a obaczywszy piechotę, pyta:

— Czyjściewy lud?

— Tego pana, co i wieś — kiepkując odrzekł stary piechur.

— Komuż wy służycie? — poprawił się Stokowski.

— Jego Mości panu staroście, i on nam tu kazał pójść.

Dano potem znać do izby, że Stokowski przyjechał, a Gurowski zaraz wyszedł na podwórze, gdzie go Stokowski zagadał gniewnie:

— Ażali to twoja majętność panie Gurowski, żeś tu śmiał gwałtownie nastąpić?...

— Moja!... dziedzictwo mej żony....

Stokowski nie mówiąc więcej dobył szabli, więc też dobył i Gurowski, natarli na siebie i ścięli się raz.... dwa.... a za trzecim Stokowski w prawą rękę zaciął Gurowskiego. Ranny broniąc się ustępował ku sieni a Stokowski tem raźniej napierał nań. Już go miał dopaść... gdy z sieni dano ognia: Stokowski zachwiał się i padł trupem. Z sieni zaś odezwał się rozkaz do piechoty, aby strzelano. Piechota w podwórzu stojąca, natychmiast jęła strzelać na obu panów drużbów nieboszczyka (Różańskiego z Szczawińskim?), którzy jednak uciekli zdrowo.

Brzeziński stał w progu z parą pistoletów, lecz nie strzelał. Gdy wszystko ucichło, zostały we dworze panie obie, zwłoki nieboszczyka złożono na mary i poniesiono do Grabia; panowie wszyscy i luda wiejskiego nie mało w drużynie pogrzebowej poszli — służba pozostała przy koniach.

Z Grabia wróciwszy p. Brzeziński zawołał gromady i przykazał im, aby nikomu posłuszeństwa nie czyniły, tylko sobie. W kilka dni wdowa Stokowskiego Zuzanna z Różańskich zabrawszy zwłoki męża, zawiezła do Krakowa do grodu, gdzie je okazała wnosząc żałobę. Był przestrzelon dwiema kulami, jedną w bok lewy koło serca, drugą poniżej gardła. Obie kule na wylot przeszedłszy, za skórą tylko uwiązgły. Kula w piersi wyszła pod pachą prawą. Pan Różański przejeżdżając mimo dworu Kwapinki, w polu pod ogrodem przydybał i pochwycić kazał woźnicę p. Gurowskiego i jako spólnika zabójstwa oddał do grodu.

Równocześnie Gurowski z żoną i siostrą jej wnieśli żałobę do grodu sądeckiego: o napaść przy kościele w Gruszowie i najście dworu w Kwapince. Woźny grodowy oglądał rany draśnięte obu pań i kmieci, zbitych kijmi. Pan Stanisław Stadnicki zaś

(komornik lelowski) wobec grodu krakowskiego zeznał: że w długu 500 złp. i popłatku (posagu?) Stanisławowi Gurowskiemu zięciowi swemu, puszcza Gruszów i Kwapinkę wraz z przypadającą na obie wioski solą suchedniową wielicką przez czas dzierżawny.

(*Castr. sandec. L. 127. p. 128 — Castr. cracov. oblat. L. 81. Rellat. 1... 6.*)

Miklusz rotmistrz Lubomirskiego Konstantego, zwał się Podoliński, pochodził z Podolina spiskiego, również z Spisza przeważnie była piechota jego, na której czele tenże starosta sądecki górami obchodząc Nowy Sącz wywabił zeń Szwedów i dopomógł do zdobycia miasta 13. Grudnia 1655.

Miklusz odtąd był ulubieńcem jego i mieszczan nowosądeckich.

Nad Kamionką rzeką koło Nowego Sącza... Rzeszowscy... Wąsowicz.

W Mszalnicy, wsi i folwarku dzierżawca zastawny Jędrzej Rzeszowski pola niektóre oddzierżawił Stanisławowi Karskiemu.

Przy końcu dzierżawy zwaśnili się z sobą. Karski niechciał odsiewać pól, a Rzeszowski słudze swemu Kozłowskiemu kazał na folwark wprowadzać bydło i konie, t. j. odbierać folwark. Właśnie wprowadził konie, gdy samotrzeć z synem i z Kaźmierzem Wąsowiczem przypada p. Karski. Niebawem kazali wraz z końmi ustępować Kozłowskiemu i to wyrazy wcale niedobieranemi; a gdy tenże zasłania się rozkazaniem pana swego a jako szlachcic odpiera obelgi, rzucają się nań i bijąc kijmi jego i syna jego wypędzają z folwarku, wyganiają konie i dają rozkaz zabijania bydła, gdyby jakie wprowadzono.

Naprzeciwko folwarku za potoczkiem wiekowa pani Agnieszka Rzeszowska z dworku swego widząc zajście odezwała się w obronie sług. Rozjątrzeni przymówkami przypadli do dworu i lżyli ją. Oburzona zwraca uwagę ich, że niewielka rzecz lżyć niewiastę w nieobecności męża..... niechby no przyszli, kiedy w domu mąż i syn a okażą odwagę!...

Dotknięci do żywego ustąpili na folwark a doczekawszy się panów Rzeszowskich ojca i syna, przyjechali konno i zbrojno, przez sługę swego wyzywając na rękę.

Lecz pan Rzeszowski nie miał ochoty do szkód poniesionych dokładać jeszcze i zdrowia. Więc nahałasiwszy odjechali, a sprawa wytoczyła się wobec grodu.

(*Castr. sandec. L. 127, p. 254.*)

Wąsowicz Kaźmierz, bratanek Krzysztofa sławnego pułkownika dragonii, brat Stefana, miał folwareczek w Nowym Sączu na przedmieściu. Karski w lipcu 1655 zaciągnął się do hajduków spiskich Lubowieckiego Stefana podstarościego na Lubowli, którego Czarnecki mianował komendantem placu w Krakowie.

(*Ossolińskich Archiw. Mss. 326, p. 1.*)

Wąsowicz zdaje się dopomógł do zdobycia Nowego Sącza, gdzie mieszkał r. 1656 kumując często szlachciankom tamże schronionym, których mężowie walczyli z Szwedy jak: Pieszczarowski z Buczyny, Krupka Krzysztof rotmistrz powiatu sądeckiego. Później był rotmistrzem piechoty nawojowskiej i pogromcą zbójców r. 1664. Jan Wąsowicz r. 1657 był dowódcą załogi Nowego Sącza. Rzeszowski Jędrzej wojował pod Lubomirskim Konstantym, wyszczególnił się pod Krakowem, gdzie w obozie r. 1657 uzyskał darowiznę dóbr po Arjanach Pileckich.

Nad Dunajcem. Kotkowscy.

W Olszynach powyż Wojnicza Stanisław i Mikołaj Kotkowscy bracia, różnowiercy gorliwi od r. 1643 w ciągłych zatargach żyli z plebanem ks. Wawrzyńcem Ziają Przyborowskim, który prawnie dochodził posagu kościoła, zabranego poprzednio. Kotkowscy nie chcieli wrócić pól, ani kmieci, a na wyroki sądowe odpowiadali prześladowaniem sług i poddanych plebańskich, co się poważyli wychodzić

do roboty na one pola sporne. Sługi stron obydwóch byli wykonawcami woli panów swych: Ur. Gibicki ze strony dworu, Wojciech Prus zaś karbownik plebański ze strony księdza. Nienawidzili się też, wzajemnie lżąc: Gibicki katoliki a Prus heretyki. Kilka razy przychodziło do bitki pomiędzy nimi i ich robotnikami a ksiądz Ziaja ciągle skarzył.

W połowie Stycznia 1655 na jarmarku w Wojniczu zjechali się Gibicki z Prusem, a skoro się zoczyli, wszczęły się obelgi zwykłe: Prus ufny w spokój pospolity pod okiem kasztelana wojnickiego, nieszczędził heretyków i nauki ich.

Gibicki zapamiętały od gniewu odpowiedział mu obelgą katolicyzmu a mianowicie księdza Ziai, a rozjątrzony przymówką Prusa, wypalił doń z pistoletu w pośrodku ciżby targowej. Kula przeszyła mu oba uda. Gibickiego zajadłego, otoczonego służbą, nie śmiał się nikt imać, Prus zaś odleżał 11 tygodni, a ksiądz Ziaja zaskarżył „ictu globi e piffide“ ranion wierny sługa jego.

(Castr. Sandec. L. 127, p. 45.)

Nad Dunajcem. Chwalibogi, Garlicki, Gliński.

Wielowiejski z Wielowsi i Szczeblina Stanisław r. 1614 kalwin zagorzały we wsi swej Wielkanocy wystawił zbór z cmentarzem, na którym się grzebali kalwini krakowscy pod opieką onegoż. Sąsiadował mu Chwalibóg Jakub z Janowic przeciwległych, pisarz grodzki sądecki, r. 1622 dobrodziej świeżo w Zakluczynie osiadłych księży reformatów, katolik nabożny, doznający cudów na grobie błog. Kingi. Mimoto łączyły się rodziny obie i żyły w zgodzie.

Wojciech Wielowiejski ożenił się z Chwalibogówną: kalwin z katoliczką. Bracia Chwalibogi wydzielili jej część przynależną i obie rodziny w jednym dworze mieszkały w zgodzie bratniej. Z Wielowiejskim nawet Janem, bratem Wojciecha, byli w zażyłości mimo że był kalwinem gorliwym, a Jędrzej Chwalibóg na kupno Roztoki pożyczył nawet pieniędzy od niego. Radzi też byli odwidzinom jego, chociaż w przedmiocie wiary zacięte z nim staczali spory.

Bo Wielowiejski jak ogółem kalwini ówcześni najusilniej potępiając Arjaństwo, temsamem wyzywali katolików do walki, skoro broniąc tajemnicy Trójcy świętej, przecież nie łączyli się z Rzymem.

Było to we wtorek wielkanocny r. 1655. Wielowiejska Anna matka z synem Janem przyjechała w odwiedziny do dzieci, które ją czekały z obiadem pospołu z pany Chwalibogami. Przedmiot jadła święconego dostarczył wątku do sporów religijnych a Jan Wielowiejski bezwzględnie występując przeciwko obrzędom katolickim uraził Chwalibogów.

Nie taili urazy wyznając się katolikami dobrymi i jako ludzie wojenni wyznali otwarcie, że czas by było ukrócić bezkarność różnowierców.

— Jakto? może bić lutry?

— Tak! bić lutry! boć już przebiera się miarka... Bóg będzie karał obojętność naszą!....

Wielowiejska matka wstając od stołu przerwała przymówki groźne: przemilczano dzień. Szarą godziną siedzieli mężczyzni razem milcząc, aż w końcu Wielowiejski Jan przystąpił do rzeczy pieniężnej:

— Panie Jędrzeju! raczcie mi też oddać dług mój!

— Nie mam!...

— Co to znaczy: nie mam?....

— To znaczy, że nie mam!... skoro będę miał, toć oddam!...

— Co to znaczy: skoro będę miał? Przy pożyczaniu mówiłeś, że mi oddasz niebawem, teraz inaczej... Skoro będę miał! cóż to za mowa?...

— No! to skoro będę chciał!...

— Czy to tak uczy wasza wiara katolicka?..... bo u nas słowo rzecz święta, grzechem łamać je.......

— Waszmość mnie nie ucz religii i nie ubliżaj mi w domu moim......

— Nie ubliżam i nie uczę... i owszem sam radbym się nauczył... możebym się i nawrócił, gdybym widział, że u was wiara nie zasadza się na czczych mowach i obrządkach...

Chwalibóg Jędrzej nie mógł się już pohamować.

— A ty lutrze poganinie... jeszcze mi tu w moim domu będziesz na wiarę następywał!..... Broń się!.....

Dobył szabli i natarł.

Wielowiejski też dobył szabli, zastawił się spokojnie i odcinał z namysłem, lecz nigdy napróżno; niezadługo Chwalibóg musiał ustępować.

Marcin Chwalibóg przypada na to i nuż dobywszy szabli wspomagać brata: samowtór przykro przycinali...

— Pojedynkiem zdrajce! pojedynkiem!...

Lecz oni nacierają tem zacieklej. Wielowiejski ustępując w tył do drugiej izby, utyka na progu, odsłania głowę....

Chwalibóg Marcin ciął!... przez głowę i twarz ukosem aż po gębę!... Wargi kawał odpadł... wypadło 4 zęby z dołu i 4 z góry, przecięta kość jagodna aż w podniebienie... Padającego Jędrzej zasię ciął przez policzek lewy, przez szczękę aż po gardło...

Na ziemi leżący zastawił się nogą: dostał cięcie poniżej kolan... kości chrupły!...

Zastawił się nieborak pięścią, w której niedołężnie szablę trzymał: otrzymał cięcie w pięść i przez palec i draśnięcie po pod oko...

Nie ruszał się więcej.. lecz nie był zabity, jeno usieczony ciężko.

(*N. Sącz, grod. ks. 117, str. 136.*)

U wpływu Łososiny do Dunajca lewy brzeg stanowi wzgórze, zwane Cisowiec.

Prześliczna to knieja ongi, otoczona w koło Białką, Łososiną, Dunajcem i potokiem Wytrzyską, obejmuje z jakie półmile czworoboczne, a mieści w sobie dwie wioski: Połomią i Łęki. Cisowiec stanowi część puszczy, niegdyś „Dobrocieszy“ piastowskiej, o której mieszkańcach pierwotnych pisze Długosz, że byli „sama szlachta, kmieć żaden,“ a wszystko z rodu św. Stanisława.

Połomia leży na wirchach, kędy wichry puszczę połomiły, a Łęki w dolinie nad rzekami. Cisowca grzbiet główny ciągnie się wzdłuż Łososiny ponad Łęki przez Połomią ku Parkoszówce. Południowa onego kończyna zwie się Zubraczką (dziś Żebraczką, skoro pamięć puszcz i żubrów zeszła istotnie na że-

braninę...) od żubrów, które się pasały po łąkach, kędy dziś wieś Łęki, podczas gdy zwierz drobny „parkoty“ swe miał za Połomią.

Na Połomiu dziedziczył Chwalibóg Zygmunt, na Łękach zaś Gliński Mikołaj: jeden i drugi porywczy do broni, jako zwykle mieszkańce gór lesistych. Obadwaj mieli dzieci dorosłe, co nie przeszkodziło, że Gliński wdowiec sięgnął i otrzymał rękę Kasi, nadobnej córki sąsiada swego na Połomii, dobrał sobie i sługę wojennego w osobie Niemca Pawła z Witowic, kędy z czasów dawniejszych osiadło kilka rodzin niemieckich różnowierczych; bo i sam był ewangelikiem. Łęk część wydzierżawił Gliński Garlickiemu Samuelowi z Chronowa, sam zaś osiadł na drugiej części.

Niebawem rozpoczęły się zwady między dziedzicem a dzierżawcą, rozpoczęte jako bywa przez poddane i przez sługi.

Na Pstrągowej zagrodzie siedziała jakaś ulubienica Garlickich, którą nienawidził Niemiec on, że wzgardziła miłością jego. W zaślepieniu namiętności chciał ją zabić: 2-go Lipca 1655 przyszedł na Pstrągówkę z rusznicą nabitą a obaczywszy niemiłą, złożył się, strzelił — lecz chybił. Kobieta sierdzista łży słowy ostatniemi uchodząc do dworu, kędy ją goni Niemiec zapalczywy. Garlicki wychodzi, karci napastnika, grożąc panem Glińskim. Na to odpiera Niemiec, że pan jego wie o tem i będzie go bronił, że Garlickiemu samemu gotów uczynić podobnie, a pan Gliński jeszcze go wynagrodzi dobrze.

Tu Niemiec nie szczędził obelg Garlickiemu a to od siebie tak dobrze, jakoteż imieniem Glińskiego. Garlicki w uniesieniu odpowiada, że wybije i jego i pana Glińskiego, jeżeli mu nie dadzą spokoju... byle się pokazali!! Gliński, gorączka i zawadjaka z ust Niemca słysząc ujmę odwagi swej, nazajutrz zaraz zjeżdża sam do Łęki z Niemcem wraz. Z rusznicą nabitą podjeżdża aż pod browar i stanąwszy na grobli, wyzywa:

— Garlicki! a no jestem! Pójdźże teraz i bij mnie jako się odgrażasz!.... Wychodź, niecnotliwej matki synu! ale gotuj sobie śmiertelną koszulę!...

Ale Garlicki nie wychylił się z dworka, więc Gliński w zarozumiałości swojej kazał Niemcowi strzelać jakoby na znak zwycięztwa. Ale i to upokorzenie nie wywabiło Garlickiego.

Gliński miał już odjeżdżać, ale Niemiec zwrócił uwagę jego na szczegół, że Garlicki może pojedynkiem stanie do walki nie z sługą, ale sam na sam. Więc napisał kartkę, wyzywając go pojedynkiem na rękę, aby stanął, jeżeli nie jest pikardem i niecnoty synem!...

I to niepomogło!

Więc Gliński zniecierpliwion spiął konia, wjechał na dworzec z bandoletem nakręconym, zsiadł, wszedł do sieni i przez drzwi zoczywszy Garlickiego strzelił. Ale spaliło tylko na panewce; poczem odjechał.

Garlicki sądząc że już koniec napaści, wyszedł nazajutrz w pole do robotników. Od wypadku jednak wziął sobie widełki do siana i dobrze zrobił. Bo za płotem ukrywając się zabiegał Niemiec z dobytą szpadą w dłoni chcąc mu drogę zastąpić zdradziecko i pchnąć go niebaczkiem. Opatrzność jednak czuwała nad nim.

Miał Garlicki brata Sobestjana, dziedzica Gosprzydowej, chorego już od roku prawie. Nie mogąc gospodarować, ani sobie miejsca znaleźć w cierpieniu, przyjechał on do niego dla zmiany powietrza i wody; lecz tu jak tam leżał i stękał niedomagając widocznie. Z łoża swego przez okno dojrzał on chory Niemca poza płotem skradającego się ze szpadą. Trwoga o życie brata dodała mu sił nadspodziewanie. Zerwał się z łoża i biegnąc szybko, woła zdala:

— A pilnuj się bracie!....

Samuel zwracając się przeczuciowo, widełkami machnął w bok. To go ocaliło; bo ani wiedząc o tem, odbił Niemcowi szpadę, przyłożoną do boku i dostał tylko letkie pchnięcie w lewe biodro. Niemiec bacząc dwu przeciwko sobie, umykał wołając:

— Ja ztąd nie wyjadę, póki albo nie spalę, albo nie zabiję!...

Gliński słysząc o tem wszystkiem, dodawał mu jeszcze otuchy mówiąc:

— Byłbym ci wynagrodził, gdybyś go był przebił tego niecnoty syna!...

Żona Glińskiego stanęła w obronie Garlickich; bo jej się nie podobało namiętne ono prześladowanie zagrodnicy, gardzącej Niemcem a podobno i panem onegoż, mężem jej. Zazdrość powodowała mową jej. Gliński roznamiętniony, oświadczył wręcz żonie, że milsza mu zagrodnica, niż ona.

Tknięta do żywego temi słowy tonęła we łzach i smutku, a ostatecznie poskarżyła się ojcu.

Chwalibóg Zygmunt nie znał żartów! Zawezwał zięcia swego do usprawiedliwienia krzywdy, wyrządzonej córce jego.

Gliński odpisał, że żona jest żoną jego i gwoli temu opuściła ojca i matkę, nikt więc nie ma do niej prawa. Ale i do lasu Zubraczki nie przysłuża prawo nikomu a najmniej Chwalibogowi.... Więc niechaj da spokój cudzej żonie i lasom cudzym, jeżeli nie chce mieć biedy!...

Chwalibóg oburzony bezwzględnością zięcia, użalił się listownie przed bratem Jędrzejem, a po krótkim namyśle zebrał się do Nowego Sącza, chcąc pogróżkę oną dać wpisać do ksiąg grodzkich.

Gliński przestrzeżony dosiadł konia samotrzeć z Niemcem i drugim sługą jeszcze. Ruszyli na przełaj niebaczkiem i zasiedli pod górą w Radejowicach, oglądając się, czy nie nadejdzie kto z tyłu? Chwaliboga zatrzymał widok Glińskiego i sług. Zapytany jednak nie taił, że dąży do Nowego Sącza do grodu, chcąc użalić się zniewagi swej i córki swej.

Od słowa do słowa jęli się rwać do broni: Chwalibóg dobył szabli i wołając, że to rozbój licowy na drodze pospolitej, chciał uderzyć na zięcia.

Gliński zaś z najzimniejszą krwią wydobył pistolet z olstry, odwiódł kurek i zmierzając w samą głowę, rzecze:

— Ani kroku dalej, bo strzelę!....

Na Niemca zaś zawołał, aby zawracał wóz Chwaliboga a jeżeli czeladź nie usłucha, żeby użył oszczepu.

Powstała wrzawa i krzyki; ale koniec końcem Chwalibóg nie śmiał się zbliżyć a Gliński na wybrzeżu stał z pistoletem odwiedzionym.

Wtem spojrzał z ukosa, nadstawił ucha widocznie zaniepokojony, zasłyszał tentent konia, woła do po-

śpiechu. A tu z lasu od Radejowic drogą wypada Chwalibóg Jędrzej, ów, którego się lękał najmocniej, z szablą na ramieniu a pistoletem w ręku pędzi ku niemu co koń wyskoczy, za nim służba zbrojna liczna.

Gliński nie czekał: ubódł konia ostrogami i skoczył w las; w pośpiechu zgubił pistolet. Za nim skoczyli jego słudzy i samotrzeć pędzili w dół na złamanie karku. Nie połamali karków; lecz strachu najedli się niemało, słysząc pogoń za sobą i z boku. Przepłynęli Dunajec i przebierając się przez grzbiet Ostrejgóry, zmęczyli konie na nic. Ledwo dociągli ku Łękom.

— Toć nam niewypada już chyba, popaść na Pstrągówce — złośliwie zauważał Niemiec.

Gliński mimowoli uśmiechnąwszy się, zwrócił konia i już stępo dociągli w końcu na Pstrągówkę. Weszli do zagrody, kazali sobie dać jeść, co było, konie zaś spętawszy, puścili w owies zielony.

Garlicki bacząc gości tak niespodziewanych, wysełа karbownika swego Walka Głucha, aby wypędził konie z owsa i nie dał robić szkody. Nie wiedząc, że tam jest sam p. Gliński, chciał on zająć konie z pomocą parobków. Woźnica pasący bacząc, na co się zanosi, wcześnie narobił krzyku, wypadł Gliński z rohatyną a widząc Głucha szamocącego się z nim, jął rohatyny drzewcem okładać po krzyżach, głowie i rękach. Nieborak ledwo uszedł z kośćmi całemi.

Spasli i stratowali 6 zagonów owsa, a wypocząwszy sobie, wieczorem odjechali.

Chwalibóg Zygmunt już bez przeszkody w Nowym Sączu do grodu zaskarzył o napaść oną podróżną i jako lica złożył pistolet ów zgubiony, nabity kulą. Jędrzej jednak nie lubił się pieniać; pięść własną przenosił nad prawo i mawiał bratu:

— Z lutrem takim psubratem prawować się?... takżebym nie miał co robić! Bić lutra, psiawiarę!.... to najlepszy sposób..... niech on się skarży na mnie! Ot! Wielowiejski!... nie ma zębów! nie ma czem jeść, ani szczekać! A cóż mi zrobi?..... Wojna nadchodzi! nim się skończy, to on się skończy prędzej!... Tylko śmiało na lutra! Braciszku! dopomogęć z czeladzią!....

Więc się wybrali na Glińskiego: Zygmunt jako teść jechał prosto, Jędrzej z czeladzią zajeżdżał bokiem.

Gliński był na polu ostrożny; konno i zbrojno a przy robotnikach śmielszy.

Więc nie umyka się Zygmuntowi.

— Zsiadaj z konia, niecnotliwej matki synu! bij się ze mną! — woła nań teść, skoczywszy z konia i przycierając szablą.

Ale Gliński nie zsiada, tylko uskakuje w bok po zagonach i śmieje się z teścia utykającego. Tak samochcąc lezie w oczy Jędrzejowi, który nagle przypada z czeladzią. Gliński za późno chce uchodzić. Jędrzej jeździec doskonały, na koniu dobrym dogania go, chwyta za żupan, którego poła zostaje mu w ręku, więc znowu dogania i chwyta za olstrę. Olstra urwana upadła z pistoletem wraz. W końcu chwyta go za szyję, a czeladnik zastępuje z przodu, zatrzymuje konia. Jędrzej pięścią wali Glińskiego w gębę, wołając:

— Bijże się teraz z nim, francie!

Koń Glińskiego spłoszony zamachem ręki, wyrywa się i sadzi z kopyta.

— Bijcie, rąbcie tego niecnoty syna....

Czeladź goni i płazuje z tyłu. Gliński ucieka, wołając ratunku. Żona jego i córki biegną ode dwora...

— Bij lutra!.... strzelaj w niego!....

Ale koń Glińskiego nie czekał: sadził z góry w dół, a za chwilę koń i jeździec znikli w krzakach przy rzece. Nadaremnie śledzono ich, tratując zboża końmi.

Nadbiegła żona Glińskiego:

— Ojcze! co robisz! chcesz mi zabić męża, uczynić mnie wdową, dziecko moje sierotą!...

— Jam się mścił krzywdy twojej....

— Ojcze! nie czyńże mi krzywdy gorszej...

— Głupia jesteś!

Nadbiegają panny Glińskie córki zięciowe, pasierbice córczyne:

— Panie! miej litość! nie zabijaj nam ojca!.....

— Zabić! rozsiekać zdrajcę tego!....

Dziewczęta płaczą, ręce łamią; macocha pociesza je, uspokaja...

Nazajutrz Chwalibóg Zygmunt znowu się zjawił na Żubraczce. Z rusznicami nabitemi jeździł wedle dwora pytając, kędy Gliński? czy u robotników?.... Ale Gliński nie pokazywał się mu.

W dzień, dwa szlachta ruszała na wojnę. Garlicki Sobestjan nie mógł leżąc chory: oglądała go szlachta, z urzędu zesłana, między nią Kossecki Konstanty.

(*Grod sądecki księga 127, str. 430—507.*)

Pieniążek i Ujejski.

Woźny w Nowym Sączu Jerzy Saletrnik jeździł do Rupnowa na oględziny, bo Krzysztof Pieniążek w Rybiu na plebanii od Stanisława Ujejskiego usieczon po palcach i czterykroć w rękę prawą, w Rupnowie leczył się z ran złorzecząc i odgrażając się zemstą.

5-go Lutego Jan Zborowski, dziedzic części Jadamwoli w sprawie własnej, którą chciał zakończyć zgodnie, uprosił ich obydwu jako pośredników, naznaczając miejsce w tejże plebanii w Rybiu. Pieniążek już ozdrowiały nie mógł stłumić zemsty w obec przeciwnika i w obec miejsca, kędy odniósł rany. O sprawie Zborowskiego mało mówiąc, ni z tego, ni z owego dobywa szabli.

— Na kogo dobywasz? — pyta Ujejski.

— Na ciebie! bogdaj cię zabito!! — odwrzasnął i zaraz ciął go w łokieć ręki lewej, którem się zasłaniał, nie mając czasu dobyć broni.

(*Castr. sandec. L. 127, p. 73--305.*)

Wilkoszewscy w obec Szwedów.

Wilkoszewska Zofia żona Jerzego (z Zaborskich 1-ch gód Pukarzewska Mikołajowa), pani na Kobielu mniejszym, Małuszynie, Ciężkowicach i Hucie (alias Torarski kąt) — słysząc o zbliżających się Szwedach, uciekła do dalszych dóbr swoich, w innem województwie położonych. Uciekając nagle, 8 skrzyń ciężko wyładowanych ku przechowaniu bezpieczniej-

szemu kazała zanieść do młyna, a gospodarstwo zdała na sługę wiernego.

Niebawem Stefan i Stanisław Brzescy z Kamockim i drużyną pomocniczą przyjechali do Kobiela, wiodąc za sobą Szwedów. Zarząd dóbr odebrali na siebie, folwarki osadzili załogą szwedzką, z młyna zabrali one skrzynie z rzeczami i szkatułę z papierami prawniczemi. Zabrali też zbóż i sprzętów domowych ile chcieli.

(*Castr. sandec. L. 127, p. 724.*)

R. 1655 z wiosną na trwogę o Szwedach odwołana część wojska z Ukrainy, mianowicie piechota Czarneckiego. Chorągwie też konnicy poczęły się rozjeżdżać po drodze biorąc, co się dało, więc szlachta i księża kędy mogli, bronili.

Tak też uczynił i ks. Pawlikowski, opat Cysterców w Szczyrzycu: uzbroił sługi, rozstawił straże, przykazał, żeby nieprzepuszczały szlachty zbrojnej wojskowo.

Na św. Jan Chrzciciel bywa odpust gromadny w sąsiedztwie, na górze św. Jana uczęszczany przez szlachtę okoliczną. Wybrał się tam p. Jan Wilkoszowski z sąsiedniej Skrzydlańskiej woli, aby patronowi swemu świętemu oddać cześć w kościele góry św. Jana. Prócz sługi Raka, jechali z nim szlachta Kawecki Wojciech z Gruszowa i Jaworski Stanisław w wilią św. Jana.

Czata sług zbrojnych opackich z Sieprawskim Wojciechem na czele zastąpiła im broniąc przejazdu przez wieś. Szlachta oburzona wzięła się do szabel, ale sług opackich było mnóstwo a wspierali ich jeszcze chłopi. Panowie szlachta i prawowity Rak oberwali sińce i rany, więc musieli wracać do Skrzydlnej, gdzie zawezwany woźny grodzki oglądał i opisał rany.

Na odpust ten nazajutrz tamtędy jechał p. Kisielewski Jędrzej z Kisielówki niedalekiej i jako zwykle wstąpił do karczmy. Tam jednak przypadli chłopi uzbrojeni, wypędzili go z karczmy i ze wsi. Więc panowie szlachta wnieśli żałobę do grodu sądeckiego 4-go Lipca.

(Sącz grod. księga 127, str. 370—422.)

Wilkoszowscy wojenni nie zwykli byli ustępować lada komu. Bracia Jan, Jerzy i Aleksander mieli zatarg z Zborowskim z Rupnowa a Lubomirski Konstanty, starosta sądecki podpisał na nich bannicję. W trybunale wygrawszy sprawę powołali do grodu starostę, aby słuchał wyroku zniesienia bannicji niesłusznej.

Samuel Wilkoszowski z Przynasy rotmistrzył przeciw Szwedom obłężonym w Krakowie, przyczem popadł niewoli w obozie pod Tyńcem 13. Lipca 1656, w której przesiedział rok i sześć tygodni. Chorągiew jego uciekła aż do Nowego Sącza a Szwedzi, mszcząc się na Wilkoszewskim, podjazdem wyszli aż do Ponaszy jego za Szczyrzyc, złupili co się dało i papiery wszelkie zabrali, poniszczyli.

Wojowało ich z Szwedyma pięciu: Aleksander, Jan, Krzysztof, Samuel i Jędrzej. Kisielewskich wojowało tamże dwóch i obydwom niepowiodło się w ucieczce: Mikołajowi w tejże utarczce ze Szwedami zabito konia wartości 220 złp. kulą z tyłu nogi prawej, aż wnętrze wyszło; Olbrachtowi zaś 55cioletniemu konia wartości 150 złp. kula raniła w czoło i nogę, że trudno by wyszedł. Obadwaj wrócili do Brzezwy koło Nowego Sącza, gdzie posiadali folwarczki. Sąsiad Bobowski Jan śmiał się z nich, iż uciekali, więc w pozwie do grodu zarzucali mu, iż ani na wojnę nie jechał, ani w potyczce w dzień św. Małgorzaty nie był, a z pistoletami młyn ich najeżdżał.

W Nowym Sączu wybieranie stacji. W Nowym Sączu od chorągwi W° Jaskulskiego strażnika wojskowego wysłani towarzysze Maciej Piegłowski i Piotr Więckowski, stanąwszy w domu burmistrza Rogalskiego, okazali asygnatę na wybieranie chleba z podpisem Stanisława Potockiego, hetm. w. kor. Burmistrz oglądnąwszy podpis kazał zwołać radziec, z którymi wraz podpis uznał za podrobiony i nie dając wiary asygnacie, nieprzyjęli jej. Panowie żołnierze przyznali, że pismo nie jest własnoręczne hetmana, który kazał je napisać p. Baranowskiemu — lecz pieczęć hetmańska.

Rogalski nie dając wiary, rzucił asygnatę na stół mówiąc:

— Większy król niż p. Baranowski!.... Pieczęć taką i my damy sobie wyrżnąć!....

— Więc nie wydacie nam chleba?...

— Nie tylko wam chleba, ale i trawy koniom waszym nie damy!....

— Toć nam przyjdzie pomyśleć samym o sobie!

— My zaś na was wnet domyślemy się czegoś inszego!....

Za chwilkę odezwał się dzwonek ratuszny, a cechy przestrzeżone pospieszyły z strzelbą i orężem a z niemi wraz pospólstwo uzbrojone w co kto mógł. Burmistrz zawezwał ich, aby opuścili miasto, oni zaś odpowiedzieli gotowością obrony, gdyby ich zaczepiono, oraz że poszlą do chorągwi po nową asygnatę własnoręczną.

Na to burmistrz zasadził straż zbrojną przy gospodzie, aby niedopuszczała krzywd wyrządzania, mianowicie zabierania żywności i obroków, a miasto za wartą. Straż ta, chcąc okazać ochotę do bójki i dokuczyć żołnierzom, strzeliła kilka razy pod oknami gospody a panowie wojskowi wzięli to sobie za obrazę wielką.

Wysłali oni gońca do p. hetmana o asygnatę, nie zwykli zaś kupować obroków, wyprawili służbę za sianem. Jakoż niebawem od przedmieścia węgierskiego z sianem jedzie sługa wojskowy, imieniem panów towarzyszy rozkazując otworzyć bramę. Bromny waha się otwierać, bo właściciel siana płacząc wygłasza swą krzywdę; dają znać wójtowi.

Stanisław Olszyński wójt i rajca zarazem, z szablą przy boku jak wszyscy — przybiega i zbadawszy rzecz rozkazuje zwrócić siano zabrane bezprawnie. Na to odpiera czeladnik wojskowy, że służy panu swemu i jego tylko słucha i odgraża się orężem. Wójt obrażony dobył szabli i ciął go.... a gdy tenże nań nacierał, poranił mu i konia i zniewolił do ucieczki.

Nadszedł dzień targowy (w sobotę po Nawiedzeniu N. P. Marji) żołnierze nabrali otuchy widząc szlachtę przyjezdną na targ, więc wystąpili ostrzej.

Lecz znowu zabrzmiał dzwonek ratuszny a rajce z pospólstwem stanęli gromadnie, uzbrojeni w strzelby pod hasłem: „Będziemy bić żołnierzów.“

I byliby dokazali swego, lecz na szczęście wdał się w to p. Proszkowski podstarości nowosądecki, poważany wielce. Przyszedł do gospody zagrożonej a zjawienie się jego zdało się dziełem Opatrzności boskiej. Uspokoił umysły rozjątrzone, a niezadługo nadbiegł i goniec z asygnatą już własnoręczną i kilku zbrojnymi. Więc podstarości już nie odstępował pośrednicząc dalej, bo pan Więckowski jął lżyć pospólstwo i odgrażać się. Stanisław Kopeć zaś, rajca stary poważany, po przedmieściach kazał dzwonić na gwałt, na burmistrza zaś wołał:

— Jeżeli nam nie dasz pomocy, my tych żołnierzy sami wypędzimy! — a zwracając się do wojska wołał: — Jużeśmy tu nie jednego wywłóczyli za nogi, i wam to będzie!....

W obec takiego usposobienia groźnego, panowie towarzysze radzi nie radzi musieli złagodnieć i przyjąć tylko 500 złp. i 6 garncy wina.

Przy wypłacie pytali mieszczan:

— Czy na prawdę bylibyście nas wywłóczyli za nogi?...

— Za prawdę!!.... jużeśmy tu wywłóczyli niejednego!.... — odrzekli.

Panu podstarościemu podziękowało miasto dwoma garncami wina.

(*Castr. sandec. L. 127, p. 489 i Distribut. N. Sącz.*)

Ciężkowice... Rotmistrz dragonii królewskiej.

Adam Czołhański, rotmistrz dragonii królewskiej, dzierżawca zastawny dóbr Ciężkowic, zaraz po odzierżeniu miasteczka wszczął kłótnie z ks. Florjanem Roguskim plebanem... sługi jego pobił, poranił.

Ksiądz obrany w komżę idzie do kościoła prawić nabożeństwo uroczyste znalezienie św. krzyża. Czołhański właśnie rozgniewany na plebana, poczyna lżyć duchowieństwo całe i onego z osobna, zwąc synami matek niecnotliwych. Ksiądz Roguski tknięty obelgą, odpiera: że nieznane mu także „listy urodze-

nia“ pana rotmistrza. Gdyby oparzony skoczył rotmistrz do księdza z laską w ręku podniesioną. Ksiądz stojąc spokojnie wskazał na komżę i stułę i rzekł:

— Bij, jeżeli śmiesz! — a ludzie pospieszyli hamować.

Rozjątrzony Czołhański trząsł się od złości, lżył co mógł i laską księdzu wywijał w około głowy i wedle policzków; nie uderzył jednak. W końcu rzekł:

— Idź teraz popie! ale wiedz, że każę z ciebie komżę zdjąć i kijmi cię zbić!!... (17. Września 1655.)

Dragoni byli z starostwa ciężkowickiego z wsiów pobliskich: Ostrużni, Kipsznej, Boguniowic. Już to z posłuszeństwa wojskowego, już też swawoli, nietylko że chętnie dokuczali plebanii, lecz jeszcze doradzali sposób: szczególnie zaś Janusz dobosz i ulubieniec rotmistrza.

Strzelby długie, t. zw. „kobyły“ dawno już były nabite, trzeba było naboje odświeżyć. Wymyślny dobosz poradził, żeby je wystrzelić w nocy pod oknami plebanii. Spodobał się pomysł i gdy na plebanii wszystko usnęło, 16tu dragonów stanąwszy pod oknami, dali ognia wraz! Ksiądz przerażony trwogą, poskoczył ku oknu a widząc pakuły nabojów tlejące, krzyczał w niebogłosy, że się pali kościół i plebania. Rotmistrz zaś z dragonami śmieli się do rozpuku. Odtąd ilekroć mieli broń wystrzelić, czynili to nocą i pod oknami plebanii.

Ksiądz Roguski przywiedziony do rozpaczy, na kazaniu nieszpornem w uroczystość św. Szymona i Judy zgromił Czołhańskiego i dragonów jego.

Gdy wychodził z kościoła, 16-tu dragonów zastępują mu drogę a dobosz Janusz wzywa, by szedł z nimi. Ksiądz nie chce iść: dragoni Błażej Łabasz i Kania chwytają go popod ramiona a opierającego się biją w plecy obuszkami, w czem im pomaga Jan Sarotka. Szarpiąc szamocącego się przywiedli ku domowi Piotra Michalika. Tu wymknął się im ksiądz, wpadł do sieni i bramę zawarł za sobą — poczem ukrył się w stajni.

Dobosz dał znać rotmistrzowi, który przyszedłszy kazał drzwi odbić: odbili obuchami. Michalik, gospo-

darz domu, chciał im bronić wstępu pytając: jakiem prawem gwałcą dom jego?

— Ja ci się zaś pytam: chceszli żyć przy zdrowiu, albo nie? — krzyknął nań rotmistrz, a Michalik ustąpił.

Ksiądz słysząc głosy, wyłamał okno w stajni, wyskoczył na gnojownię i zabierał się przełazić przez płot obory. Lecz przypadł Czołhański, końcem szpady kolnął go z lekka w rękę a dragoni ciągli za paledran lisami podbity z guzami srebrnemi, a dobosz wołał:

— Bij teraz, bij! —

Ściągli z płota za kark, iż upadł w gnojówkę, paledran zeń zdarli i zabrali, poszturkali i wiodą księdza skalanego i z twarzą obłoconą. Wymknął się im powtórnie, a raczej dali mu się wymknąć, i znów pędzą za nim. Dopędzają wedle szpitala, chwytają wołając:

— A tuś niecnoty synu, popie hultaju!

Czołhański przypadłszy zamierzył się szpadą niby chcąc pchnąć, ksiądz ręką się zasłonił i zranił w dłoń, dragoni zdarli z księdza i kabat a Czołhański wołał:

— Dragoni! w wór go zawiązać i w rzece Białej utopić!!...

Zbiegli się ludzie, hamowali rotmistrza, księdza odprowadzili na plebanją, a gdy i tam nie czuł się bezpiecznym, bojąc się utopienia — obmyśliwszy sposób „wynieśli“ go ukradkiem z plebanii w miejsce bezpieczniejsze.

Ksiądz Roguski zaniósł żal przed trybunał w Lublinie przeciw Czołhańskiemu, którego nazwał przywłoką niewiadomego urodzenia. Żałobę poparto i zapadł wyrok, aby Czołhański zasiadł wieżę, a głowy 20tu dragonów okupując, aby wprzód jeszcze złożył 2000 grzywien (t. j. 520 za rany, 300 za zakłócenie spokoju i t. d.) pod utratą czci. — Lecz Szwed zajął już Kraków i Warszawę... duchowieństwo katolickie nie miało sprawiedliwości...

(Castr. Biec. L. 186, p. 2163.)

W Kamiennej jezuickiej chłopi zbójce.

1. Października 1655. z obozu pospolitego ruszenia z pod Krakowa ujechawszy Ur. Krzysztof Be-

doński zdążał do Rybia nad Łososiną, kędy mieszkał brat jego Aleksander. Nie świadom drogi zapołudniował w Kamiennej wsi OO. Jezuitów w domu knapa (tkacza).

Podczas gdy karmił konia i siebie posilał, przyszli do gospody Adam Kita z Zyznówki (wsi OO. Augustynian u św. Marka w Krakowie) z Sobkiem Puścikiem i Maciejem Batorem z Kamiennej. Oglądali konia i omacali sakwy przytroczone.

Dosiadując konia Bedoński prosił ich o pokazanie drogi do Rybia: wmówili się mu sami, że ukażą i wiodli daleko polami ku lasowi. Bedoński sądząc, że już trafi do Rybia, podziękował im. Myślał, że wrócą: lecz oni idą dalej. Pyta ich więc, przeco idą tak daleko i dziękując za trud, mówi, żeby wracali doma. Lecz odpowiadają, iż im potrzeba do lasu, więc pójdą za jedną drogą.

Gdy wjechali w las, Kita uchwycił go za rękę a Bator z Puścikiem bili kijmi po głowie, zwalili z konia i zabili. Poczem zwlekli z niego suknie i zabrali co było w trokach: sukien dwie parze pieniędze, zabrali konia z rzędem i pistoletami. Łupem podzielili się zaraz a ciało zagrzebli w lesie, gdzie je odszukał Aleksander, brat jego stryjeczny i okazał woźnemu. —

(*Castr. Sandec. L. 127, p. 570.*)

R. 1655. we wtorek 19. Paźdź. Szl. Adam Pągowski syn Bonawentury z wielą sług rozmaicie uzbrojonych, między tymi: Kowalewski, Rudziński i pracowici Stanisł. Strzelec, Jan Kończutka, Stan. Młynarz, Jan Dziad, Sobek i Jan parobcy i inni chłopi z kosami po nieprzyjacielsku wpadli do wsi Kamionnej do dworu OO. Jezuitów i najpierw rozpędzili służbę dworską a potem i poddanych wsi, a kto nie uciekł imali.

Imanego Tomasza Mogilańskiego zabić kosą kazał; którego tylko Opatrzność boska ocaliła.

Zabrali krów 12 i drugich 7 z Krakowa z klasztora na zimowisko przysłane, także 8 organisty plebana i poddanych. Ruchomości kolasę porządną

o 4 kołach kowaną, garniec miedziany gorzałczany z pokrywą i rurami, uzd kilka, koc, siodło. Komorę odbito: chusty białe, buty i kapelusz woźnicy, trąbę wielką łowiecką, miecz, munsztuk, serów 8, stali sztukę, śli parę i inne rzeczy zabrali.

O co w Lutym 1656 do grodu pozywa ks. Krzysztof Kamieniecki jezuita.

(*Castr. sandec. L. 127, p. 609.*)

Piechota.

Czorstyn starostwo naznaczone na zaciąg dragonii oberstera Denhofa wojewody malborskiego. — Dań w Podhajcach 18. Czerwca 1655. Obodziński Samuel pisarz pokojowy hetmana, na własne tegoż rozkazanie.

(*Grod. Sącz. 127, str. 344.*)

Sołtysi starostwa czorstyńskiego: Tyliński Krzysztof, Grzywalski Józef, Mizerski Tomasz, Krośnicki Wojciech, Sromowski Jan, de iisdem... oświadczają:

Że przez częste stacje i pobory wojskowe, więc i podatki państwowe, pozbawieni są koni. Więc niektórzy synów z rusznicami, drudzy zaś sługi na pospolite ruszenie wojenne są gotowi wysłać. —

Krzeczów starostwo... Chrząstowskiego piechota.

1655, 30. Czerwca chorągiew piesza Chrząstowskiego Marka pod wodzą Porębskiego Kaźmierza do obozu dążąc stanęła we wsi Borku o zachodzie słońca: Rościszewski Sobestjan, rządca, na czele poddanych zbrojnych w kosy, drągi, widły, siekiery zastąpił drogę zaprzeczając noclegu; a gdy się chorągiew rozłożyła, napadł, wojaków poranił, Porębskiego samego kosą zacięto, omal nie zabito. Musieli uciekać w pole i tam nocować o głodzie. Piechury: Skotnicki Jakub, Truskolaski Jakub, Dankowiecki Jan, Muszczyński Stanisław okazują rany w rękę, głowę, w ucho, palce podcięte.

(Grod. Sącz, księga 127, str. 487.)

Lanckoroński zabity od chłopów.

R. 1655, 12. Czerwca w sobotę Lanckoroński Stanisław pan na Żarnowcu, Dobieszynie i Turoszówce samowtór z jednym tylko sługą Ur. Jakubem Krzyszkowskim, wyjechali na łowy ze wsi Iskrzynnej, z chartami przy szablach tylko. Przez pola iskrzyńskie szczwając zapędzili się w pola wsi Budzina i po dwu godzinach rozrywki wracali polami, tratując zboża już wysypane w kłos i jątrząc lud.

Były to dobra starostwa lwowskiego a więc Mniszka Jana, który je wydzierżawił Rappowi Justowi, kupcowi z Krakowa, między innemi zastrzegając utrzymywanie w gotowości wojennej po dragońsku — wybrańców na łanach wolnych. A właśnie po łanach onych wybranieckich odbywały się hece one! Właśnie też na uchwalone pospolite ruszenie Rapp wybierał ochotników do dragonii niemieckiej, rozdawał im strzelby i proch. Przystali chłopi z wsi Jabłonicy i Malinówki, najpierw Piotr Pop i syn jego Sawka. Lecz było i innych ochotnych nie mało, a wszystko uzbrojone w strzelby i zaopatrzone w proch i ołów zwyczajnie jako podczas wojny.

Na widok łowów i hec, niszczących plony, krzyknął jeden na drugiego, a niebawem czerniawa zbrojna szła obławą na łowców samych.

Spokojnie i nic złego nieprzeczuwając jadą oni przez wieś Budzin, aż tu Wojciech Karczmarz, gdy jadą wedle niego, strzela z domu swego, a Lanckoroński kulą w czoło draśnięty pada z konia. Od wsi zaś słychać wrzawę groźną: wypada wójt Siemek Władyka i chłopi Piotr Pop z synem Sawką, Tomczów trzej, Ryśko, Bajków dwu, a za nimi z krzykiem czerniawa uzbrojonych w strzelby i kosy nabite z jakich 200 chłopów z wsiów Budzina, Jabłonnicy, Komborni, Malinówki...

Lanckoroński acz ranny i skrwawiony zrywa się i wraz z Krzyszkowskim dopadają chaty pobliskiej, w której się zawierają, puściwszy konie. Krzyszkowski sobą drzwi podpiera, woła i napomina, aby dali spokój.

Ale gdzie tam! jedni kulami strzelając do drzwi, drudzy drzewami wybijając, niewolą ich do schronienia się na górę. Odzywają się głosy litości, lecz ogół przeciwny a najzajadlejsi pytają szyderczo:

— Tak? zostawimy męża za nadry? —

Przystawiają drabinę, lecz Krzyszkowski szablą broni przystępu.

Więc przywódcy rozkazują gospodarzowi, wynosić z domu ruchomości, grożąc wraz z chatą spalić obu przeciwników: jeden z chłopów przyniósł już ognia do sieni.

Lanckoroński chciał się usunąć nieco w głąb i nie uważał, że nie stoi na powale, tylko na drabinie położonej: szczeble przełamały się a on spadł. Rozjuszona tłuszcza wpada nań: strzelają, sieką, kosami i siekierami rąbią... Woła: „księdza!... przebóg księdza!!"... lecz oni zabijają! Krzyszkowski zeskakuje, ale nie obronił a sam posieczon strasznie i pokaleczon. Nieboszczykowi zdarli z ciała pas jedwabny i odpięli szablę. Zwłoki poranionych i Krzyszkowskiego całą noc strzegąc, radzili, czy zakopać w lesie, czy utopić w rzece pobliskiej.

Wdowa Lanckorońskiego: Eufrozyna z Marchocic i bracia Krzysztof kasztelan radomski, Hiacynt kaszt. przemyski, Mikołaj kanonik krak. przełożony oświęcimski zaskarzyli Justa Rappa, dzierżawcę dóbr tych o dostarczenie prochu i broni chłopom, chociaż wiedział:... „że oni z pokarmem macierzyńskim wraz ssą nienawiść przeciwko zacnemu i wolnemu stanowi rycerskiemu... i tak ich swawola urosła, że nie szczędzą i panów własnych za najlżejszym powodem, nie bacząc że pod ich opieką i obroną i z ich własnego majątku żyją z dziećmi swemi — nawodzą zbójce i łotry nocne na dwory ich i życie ich i od nijakiego złego nie mają wstrętu."

(*Castr. Biec. L. 186, p. 2274.*)

3. Sierpnia pogrzebane zwłoki w Bieczu u Reformatów, którym nieboszczyk był wielce życzliwy, kędy też miał gospodę stałą w czasie spraw grodowych równie, jak w czasach trwogi, gdy trzeba było

szukać schronienia bezpiecznego. Tam też w kościele ich dał sobie wcześnie zmurować grób, w którym pod zamknięciem złożył spisaną wolę swoją ostateczną. Przygotował nawet tablice srebrne pod napisy pośmiertne dla siebie i rodziny. Było ich cztery pozłacane, ważące 30 grzywien.

Obaj bracia jego kanonicy wiedli pogrzebowy pochód, okoleni duchowieństwem licznem, mianowicie zakonnikami. Reformaci zwłaszcza zgromadzili się jak najliczniej na wezwanie uwielbianego przełożonego swego, ks. Rychłowicza, a stary braciszek zakonny a niegdyś wojak dzielny, szlachetny Reklewski z krzyżem w ręku szedł na samym przedzie. Krewni Lanckorońskich, jakoteż wdowy z rodu Marchockich, szlachty i ludu rozmaitego tłum nieprzejrzany tworzył zastęp smutny pogrzebowy.

W zapisie ostatecznym wyczytano zeznanie długu 500 złp. klasztorowi Reformatów, więc na spłatę, jakoteż dobrze czyniąc duszy swojej, przekazał im nieboszczyk 1500 złp.; bracia zaś nieboszczyka z przyjacioły wraz nakłonili wdowę, iż zezwoliła tablice one srebrne pamiętnicze oddać na pożytek klasztora a zastąpić je marmurowemi zwykłemi.

(Biecz Archiw. klaszt.)

Szwedzi, Karola Gustawa uniwersał do powiatu Czchowskiego.

— ... „Aby zrywając związki wszelkie z królem polskim, pod Jego się opiekę uciekali i około 20. Października aby z tem słali posły do Warszawy. Z swej strony żołnierzom szwedzkim zakaże najazdów i łupieży dóbr panów szlachty i miast grodowych — także i poddanych. Obiecuje też ubezpieczyć związki z krajami ościennemi (commercia cum finitimis) o ile się da w obec złej doli.“ — Kończy zaś groźbą: — ... „Jeżeli wzgardzicie łaską, od króla się nie odłączycie, nie będziecie żyć spokojnie: bo was uznam za wrogów i dobra zabiorę na skarb mój...“ —

Dań w Kaźmierzu, 3-go Października 1655.

(*Archiw. Ossolińskich Leopol. Mss. 221. p. 114.*)

1655. Chmielnicki pod Gródkiem. Rozbitki wojska polskiego. Chłopi pod Jarosławiem.

Chmielnicki Bohdan na czele kozaków a Szeremet na czele wojsk carskich parli Potockiego Stanisława Rewerę, hetmana wielkiego koronnego. Hasło Bohdana: „za wiarę“ leciało przed nim zniewalając umysły ludu ruskiego nienawidzącego łaciny a chętnie umierającego za obrządek chwały bożej w mowie, zbliżonej do ojczystej. Ze wszech stron, mianowicie od gór Beskidu garnęli się ochotnicy kozaccy a ogół ludu nie tail współczucia w imię hasła: „za wiriu!“

Hetman doświadczony wiedział o tem. Doniósł królowi, że ustępuje przemocy a obawia się łączenia ludu ruskiego z Bohdanem.

We środę 30. Września, więc równocześnie z porażką wojnicką, przyszło do bitwy pod Krasnobrodem u Gródka. Wojniłłowicz pułkownik i namiestnik hetmański na czele pułku swego wraz z pułkami Zamojskiego i Tyszkiewicza trzymając środek wojska, porazili rajtary moskiewskie i zapędzili się za nimi aż w środek wojsk przeciwnych. Ale bacząc przemoc, bacząc też pierzchające oba skrzydła wojska polskiego, musieli się cofać i uciekać.

W bramie Bruchnala miasteczka, hetman osobiście stanął, gotów zwyciężyć lub ginąć. Byłby zginął z ręki Moskwicina, gdyby nie Modrzejowski i rotmistrz tatarski Krzyczycki. Wojsko rozbiegło się po polach gdyby szarańcza; więc uprowadzono i hetmana.

Moskwa w zawody z kozakami szła w pogoń za rozbitkami, rąbiąc lub biorąc w plon. Tabor wojska polskiego wcześnie wysłany przodem, na który padli łupiąc; więc też i noc zapadająca spowodowały zatrzymanie pogoni pod Jaworowem, aby ją ponowić nazajutrz.

Hetman Potocki gorżko narzekał na pospolite ruszenie, że go zawiodło. Wiedział, że nadciągają województwa wołyńskie, bełskie z ziemią lwowską

i przemyską, obsełał napominając do pospiechu; lecz nie pospieszyli, nie przybyli na czas!

Chmielnicki poraziwszy wojsko, zwrócił się przeciw województwom: lecz już nie zastał nikogo. Szlachta rozjechała się, kędy kto mógł.

W Krakowcu ksiądz Ziółkowski Stanisław pleban łaciński, słysząc że pod Gródkiem i Bruchnalem porażono wojsko hetmańskie, nie czekał na stwierdzenie wieści; lecz co miał najlepszego, zabrał do skrzyni okowanej, ostatek w wory i brzemiona, kazał zaprządz wóz gospodarski potężny, nałożyć co mógł i ujeżdżać do Jarosławia. Sam wyjechał tuż w trop, nie czekając na panią Olszowską, rychło się wyguzdra i wybierze...

Wyruszył nocą jeszcze, więc mimo błota ciężkiego zajechał dosyć wcześnie stając gospodą na przedmieściu u Kaffera Walentego. Był głodny, więc złożywszy skrzynie i tłumoki kazał sobie gotować jeść. Kaffer jednak co innego miał na myśli niż obsługę gości: zabierał się do ucieczki przed klęską wojny i już był na wsiadanem. Nie wdając się też w rozmowy długie — bo trwogę miał przed oczyma — wskazał mu dziewkę służebną Zośkę Grygównę, którą usłuży jako będzie mogła, poradził się z księdzem i odjechał. Ksiądz zaś poszedł do miasta do księży wikarych z prośbą o umieszczenie rzeczy, mianowicie skrzyni.

Zastał tam popłoch jako w mieście całem; księża też zabierali się do ucieczki, kędy który będzie mógł. O przechowaniu rzeczy nie było mowy w przewidzeniu, że kościoły i mieszkania księży łacińskich w razie napadu kozaków najprzód pójdą na pastwę. O ucieczce dalszej nie mógł myśleć; bo konie zgonione i woźnica strudzony. Uradzono więc szukać schronienia w mieście u którego z obywateli zamożnych, gdyż oni mają schowki bezpieczne po sklepach swoich. Starszy ksiądz wikary farny zebrał się więc i obadwaj poszli do Wituskiego Wojciecha rajcy, prosząc, aby na schowanie skrzyni plebana krakowieckiego pozwolił jakiej kryjówki bezpiecznej.

Wituski wskazał im podziemie sklepione właśnie próżne, twierdząc, że lepszego schowku nie ma. Nie-

bardzo ono się nadawało księdzu Ziółkowskiemu, lecz cóż było robić, skoro niebyło lepszego?. Na zgryz zasiedli do wina a zgłodniały pleban wkrótce doznał skutków wina na żołądek czczy! —

Podczas tego z Zasania zjawiły się podwody liczne: były to tabory wojska rozgromionego, co zdołały umknąć wcześnie. Dziewka służebna Kaffera na przedmieściu, bacząc to, zawołała na woźnicę księdza, aby ukrył kędy skrzynie i brzemiona złożone z wozu i nieostrożnie zostawione bez dozoru żadnego. Nie było woźnicy, bo poszedł za księdzem. Więc zawarła bramę i furtę zamknęła na klucz i okiennice pozawierała dobrze, bojąc się napaści od żołnierzy. Pleban też posłyszawszy, że wojsko już ciągnie, kwapił się na gospodę swą. „Srodze pijany“ przyszedł za pomocą sługi: a było już dobrze popołudniu! Nałożywszy rzeczy na wóz, wyjechał drogą prosto ku kościołowi panny Marji. Zapytany, kędy się obróci? odrzekł, że pojedzie do Krosna. Nie chciał wyznać prawdy! a on pojechał do miasta i złożył rzeczy w sklepie onym Wituskiego

Niezadługo przyjechała szlachetna pani Olszowska Katarzyna pytając o księdza plebana.

— Nie ma go! przed chwilą odjechał ku Krosnu.

— Och! ja nieszczęśliwa!... cóż ja teraz pocznę biedna sama jedna!... Zostawił mnie sierotę....

Zapłakała, zawróciła i pojechała, pewno ku Krosnu. Z miasta uciekało co mogło: księża uciekli.

Okopisko na Tarnawce.

Tarnawka — jest to przysiołek wsi Husowa, wówczas dziedzictwo Ostrogskich książąt na części Jarosławia. Tarnawka nazwa oznacza grodzisko prastare ogrodzone a zwykle obsadzone żywym płotem tarniowym na sposób po dziś dzień jeszcze używany w Azji małej, w Afryce i u osiedlców puszcz Ameryki, a ongi przed wiekami najpospolitsze w Słowiańszczyznie północnej. Tarnawka husowska nie była osadą utwierdzoną, lecz chronowem, ujazdem, kędy podczas trwogi ludność okoliczna chroniła się z do-

bytkiem. Był to pagórek, wpośród lasów ukryty a obronny. Ciernie prastare, nie pielęgnowane ręką ludzką, powysychały w większej części a przynajmniej nie wystarczały obronie.

Kmiecie dóbr jarosławskich, przeworskich i ostrowskich z Tywonia, Tucząp, Rozborza, Ostrowa, zgoła z wszystkich niemal wsiów okolicznych, wraz z przedmieszczanami i mieszczanami jarosławskimi pouchodzili w lasy husowskie, uwożąc na wozach mienie ruchome, uprowadzając dobytek bydlęcy. Było ich 5 — 6000. Na Tarnawce stanęli taborem, czyli „zamkiem kotczym.“ Z drzew wyciętych poczynili zasieki obronne, które jeszcze okopali w około, zostawiając jeno wjazd wolny. W „okopisku“ tem i „obrębie“ stanęli „taborem“, ustawiając wozy tuż wedle zasiek w kilka rzędów dla obronności, każda gromada osobno w swej dzielnicy — zupełnie po wojennemu.

Kosy ponabijali na sztorc i stali w gotowości wojennej; bo słyszeli już o „rozgromieniu grodeckiem“ i obawiali się napaści! Deszcz ulewny spuścił się, więc jaki taki wychylał się do lasa rąbać „choinę“ i przykrywać nią wozy, na których mieściły się niewiasty i dziatwa prócz mienia ocalonego.

Między innymi Kozieł, gospodarz folwarczny z Tucząp wyszedł na choinę z Szafrańcem Janem, karczmarzem z Tucząp. Rąbali konary jodłowe i świerkowe, nosili i przykrywali wozy.

Z pogromu gródeckiego uciekająca drużyna szlachty rozbitków przeprawiła się szczęśliwie przez San i sądziła być bezpieczną, dopadłszy pagórków lesistych. Wozy uprowadzili szczęśliwie i byliby jechali bez przeszkody, gdyby nie ulewa i tonie po bezdrożach. Za ciężko było na konie, zdałoby się podwód kilka, by ciężary rozdzielić. Lecz zkądże je brać, skoro ludność wiejska zewsząd pouciekała w lasy? Nie było rady! trzeba było odszukać chłopów i koniecznie dostać podwód. Podjęła się tego czata szlachty, panów i dworzan w kilkanaście koni.

Odszukali Tarnawkę onę i na zapytanie ludu odpowiadając hasłem: „swój!“ — bez przeszkody dotarli do okopiska, z którego wyszedłszy naprzeciw ukłonem głębokim przywitał ich Gładysz Wojciech

przysiężnik z Ostrowa, starzec sędziwy lecz odważny.

— Człowiecze!... nie zdobędziemy się tu u was na jaką podwodę i wóz?

— Mili panowie! my ludzie podróżni sami uchodząc z zdrowiem swojem, nie mamy wozów luźnych...

— Pleciesz stary, pleciesz! — i na wozy zdobędziemy się i na co więcej jeszcze! —

Starzec groźnie spojrzał z pod brwi siwych, zacisnął pięście, lecz nie mówił nic. Jadąc dalej u bramy wjezdnej zdybali na straży stojące chłopy z Tucząp. Znowu tedy zagadali, czy nie zdobędą się u nich na kilka wozów?...

— Może się ta panowie i zdobędziecie — uprzejmie odrzekli Tywonianie obrządku łacińskiego, których wieś półmilę od Jarosławia położona jest niejako przedmieściem: więc też znali szlachtę okoliczną i poznali szlachtę od Radymna. Bez przeszkody wjechała czata w tabor, z żądaniem o wozy zwracając się do gromady najbliższej.

Ostrowianie Rusini odrzekli nienawistnie:

— My tu do lasa dla was wozów nie wozimy... dosyć już nadawaliśmy się ich wam.

Wojacy jednak nie myśleli ustępywać, za nadto wdani w łupieztwo ludu wiejskiego: domagali się stanowczo, mianowicie jeden śmiałek, siedzący na koniku niewielkim ale doskonałym.

Szafraniec Jan karczmarz ostrogski właśnie wrócił z lasa z choiną i stojąc na wozie przykrywał chudobę swoją, w czem pomagała mu żona. Oboje rozmawiali z sąsiadem Korniaktem Błażejem. Hałas wszczęty zwrócił ich uwagę, Korniakt obaczywszy wojsko zląkł się i gotował do ucieczki, karczmarka zaś spojrzała i rzekła do męża:

— Dywi! dywi Iwasiu!... ta to nasz kiń, szo toj Lach na nim izdyt...

Szafraniec chwycił kosę nabitą i pomiędzy wozy zbliża się ku wojskowym... Śmiałek ów właśnie odgraża się, że nadjedzie wojska więcej, więc aby nie czekając dali podwód dobrowolnie. Karczmarz poznał konia i rzecze:

— Wej! ty na moim koniu siedzisz!...

— I cóż z tego?

Karczmarz nie mówiąc słowa, ciął go kosą — trup spadł z konia...

— Bij! ryzaj!... — zabrzmiało groźno... chłopi z kosami przypadali zewsząd, wojacy bacząc przemoc straszną ani nie myśleli o obronie, jeno o ucieczce, chłopstwo goniło, zastępywało drogę, rąbało, pan Awedyk podniecał!...

Podczas tego karczmarka obierała trupa, zdjęła szaty aż do koszuli i obuwie i trzos z pieniędzmi, którym był przepasan. On zaś wziął konia jak swego z sakwami i wszystkiem, co na nim było. Zawiódł do wozu swego, uwiązał przy koniach — poczem wrócił do chłopów drugich.

Z zgrozą przyglądała się temu dziewka Anna, córka Koguta z Tywoni.

Szafraniec z chłopami wyszedł z okopiska, a słysząc, że niektórzy z wojaków uciekali, zdjęty obawą zemsty jął przeglądać gąszcze leśne. Niebawem wyśledził biedaka rannego, który się zawlókł i ukrył w krzaki.

— Bracie ratuj!... przywiedź cyrulika... opatrz rany.. pomóż! a wynadgrodzęć dobrze!...

— Wnet będzie cyrulik! — odrzekł karczmarz, podniósł kosę, rąbnął raz, drugi, trzeci — na śmierć. Trupa obrał z wszystkiego, mianowicie z pieniędzy, których znalazł podostatek; poczem go zawlókł w gęstwinę największą w kraj lasu..

Wracając zdybał Kozła, gospodarza folwarcznego z Tucząp. Nie przyznał się do zdobyczy; był tylko w obawie napadu wojska ponownego, więc się kwapił w okopisko i do wozu swego, słuchając opowieści całego zajścia.

Pogoń chłopska wracała właśnie, wiodąc z sobą niedobitka ostatniego, który się był ukrył w kopę siana, lecz wytropion i przywiedzion dla dania sprawy a po części z przyczyny, że poznano w nim dworzanina dworskiego z Zamościa przy Radymnie. Był ranny ciężko.

Wszczął się hałas w taborze, co żywe, wybiegało. Pan Awedyk też dosiadł konia i wyjechał a

chłopstwo wszystko oddawało mu cześć jako wodzowi.

Pokłonił mu się też on nieborak ranny i rzecze:

— Miałem łańcuszek drogi złoty pana mego i krzyżyk do tego i pierścień... Wzięli mi go!... Upraszam łaski pańskiej o uczynienie śledztwa i odszukanie... Miałbym się teraz czem poleczyć, gdyby się wynalazł...

Wtem zbladł i zażądał wody.

Grabek niejaki, uczeń cyrulictwa, pobiegł i przyniósł mu wody, którą jął pić. Podczas tego ów p. Awedyk zawróciwszy konia odjechał na bok pomiędzy chłopów zbrojnych. Prosili za biedakiem, żeby go ocalić i radzili o odszukaniu łańcuszka.

— Głuptacyście!... Jeżeli będzie żyw, może nas wydać! trzeba zabić!...

Ranny nieborak ledwo kilka razy przełknął wody upragnionej, kiedy go porwali i roznieśli na kosach! Poczem dopiero Awedyk jął śledzić, kto wziął łańcuch on złoty? — ale niewyśledził nic. O Szafrańcu tylko gruchnęło zaraz między chłopy, iż mu się dostała zdobycz największa po onej szlachcie wojskowej, wybitej w okopisku. Łańcuch zaś on dostał się chłopu z Tucząp: Bolokowi, bratu leśnego. Zaniósł on go do Jarosławia i za 30 złp. sprzedał mieszcze zamożnej Katarzynie Szczerbicowej Lazurowej, co dzierżawiła w rynku kamienicę królewiczowską. Kupiwszy wzięła łańcuch w rękę, a było go obie przy garście pełne; więc rzekła uradowana:

— Będę sobie panią do śmierci!

Wartał 5000 złp. Chłop głupi opowiedział rzecz Zołnie karczmarzowi, który też wraz był w okopisku. Wkrótce chłop on umarł.

W kilka lat później o kamienicy królewiczowskiej dzierzawę spierając się sądowo z Zołną, słała doń Niewczasika Jędrzeja rzeźnika, aby się przynajmniej zyskiem chciał z nią podzielić.

— Niechaj mnie Lazurowa zaniecha! — odrzekł — raz się ja z nią zgodził! Jeżeli mnie będzie prawem patrzyła, zawiodę ją do Skarbu do Zamościa z tym łańcuchem, który kupiła u chłopa z Tucząp... po żołnierzu zabitym w górach...

Przelękuiona mieszczka udała się do leśnego, którego brat sprzedał jej łańcuch prosząc, by świadczył za nią... Szafraniec zaś, karczmarz z Ostrowa, przeniósł się do Jarosławia, kędy kupił dom za łup dwu wojaków zabitych: więc uzyskał obywatelstwo miejskie i on, co go dotąd zwano Iwanem Iwanowiczem lub Janem Jasicem — pisał się odtąd Janem Szafranowiczem. Zapomniano już o sprawce jego w okopisku, lecz wydobył ją na jaw Grzegorz Legiec, karczmarz z Tucząp przez zemstę, że mu się napierał oddania pożyczonego korca żyta.

Złośliwa Lazurka Szczerbowiczowa, aby nań zwrócić uwagę ludzi, roznieciła sprawę tak, iż przyszło pod sąd gromadzki w Ostrowie i Tucząpach wobec wójta Iwana Zaka.

Legiec zaskarżył Szafrańca o zabicie i złupienie żołnierzy, powołując się na opowieść chłopów, co zboże składali u Lazurowej. Nie chodziło mu o potępienie Szafrańca, jeno o zysk, którym chciał się podzielić z wójtem. Więc po śledztwie wyprowadzając wójta, rzekł mu:

— Panie wójcie! jeżeli Jasic zapłaci dobrze Wam i mnie, tedy ja to com zeznał, wezmę na powrót w gębę.

— Dobrać by to rzecz była! — pomyślał wójt; lecz cóż powie na to ksiądz namiestnik ostrowski, a co gromady obie?

Poszedł więc na poradę do księdza, bez którego jako żak cerkiewny nie chciał nic przedsięwziąć. Ksiądz namiestnik (dziekan), słysząc że Legiec Jura z Rozborza skarzy na Jaśka Jasica Szafrańca, oburzon do najwyższego zawołał:

— Co? ten pies, ten złodziej Jura śmie skarzyć na Jasica?... On złodziej na człeka najporządniejszego w gromadzie, który najwięcej świadczy cerkwi bożej, który pamięta i o mnie słudze bożym, który nieopuścił nigdy służby bożej, lecz owszem dopomagał śpiewając „Czytanie“ i różne pieśni... I owego śmie i poważa się skarzyć, kto?... Jura Legiec?... Panowie gromada! chodźcie no tutaj!... gospodarze! słuchajcie!... Pamiętacie jak to... jeszcze nie byłem „świa-

szczennikiem“, lecz świeckim prostym człowiekiem, jako i wy wszyscy...

— Pamiętama! pamiętama!...

— On! ten sam Jura... psiakrew... suki syn!... on mnie, com miał zostać ojcem namiestnikiem waszym, namazańcem bożym!... on Jura śmiał zadać mi złodziejstwo! On! mnie... że ja złodziej!... Pamiętacie?...

— Pamiętama! dobrze pamiętama!...

— Ja się mu wywiódł „prawem czworzystem“, którem zasadził nań!... Samopiąty przysiągłem, że to nieprawda!... I ten sobaka Jura musiał to wszystko wziąć w gębę swoją niecnotliwą... Musiał włazić popod ławę i haukać jak pies: hau! hau!... i na czworakach musiał iść jak sobaka i gębą drzwi otworzyć, i haukać jak sobaka za moją krzywdę! — Pamiętacie to?...

— Pamiętama! cobyśmy niepamiętała?...

— A tego nie pamiętacie, jak nań samego okazało się złodziejstwo? jak licem wracał korzuch, suknię i fanty inne i winy złodziejskiej jak płacił 10 złp.?... I onemu ma być wiara?... On śmie skarzyć na pana Iwana Iwanowicza Szafrańca!... a czortby duszę jego!... Czy wie kto co złego na pana Iwana?... niech gada!... Uciekaliśmy wszyscy!... broniliśmy się wszyscy, ale nie zaczepialiśmy nikogo... a bronić się, to nie grzech... Jeżeliśmy winni, to wszyscy... Na pana Iwana nikt nie może kłaść winy...

— Nie może!... jako żywo nie może!...

Kozieł, gospodarz folwarczny z Tucząp, zeznał: Że właśnie pod ów hałas, obadwaj byli w lesie rąbać choinę, i wrócili wraz już po hałasie...

Gładysz przysiężnik ostrowski zeznał: Jako oni ludzie swawolni chcieli zabierać wozy i jeszcze co więcej!...

Kornakt zeznał: Że pod on hałas Szafraniec stał na wozie swym tuż wedle niego.

Gromada wszystka ostrowska i tucząpska zeznała: Że Szafraniec od młodych lat zawsze przystojnie się chował.

Sąd przysięgłych miasta Jarosławia, któremu przekazano sprawę, nie uwzględnił zeznania dziew-

czyny Anny Kogutównej i w zupełności przyjął śledztwo wójta gromady Ostrowa. Wyrok brzmiał:

„Lazurowa, że chcąc uniewinnić siebie, wywołała sprawę i w podejrzenie wprowadziła Szafrańca, a niedowiodła, ma odsiedzieć dwie niedziel więzienia ratusznego; dać kary 100 grzywien; zwrócić szkody i nakłady prawe; a w końcu Szafrańca przeprosić w urzędzie!“ —

(Jarosław, księga wójtowska, str. 401.)

Kozacy z Moskwą dotarli do Jarosławia i łupili miasto i kościoły. W księgach chrztu zapisano po końcu miesiąca Września (po łacinie): —

„Tu nastąpiło wtargnięcie kozaków z spustoszeniem największem kościołów i miasta całego. Opróżnione było miasto, więc i kościoły wszystkie przez cały miesiąc Październik i Listopada połowę.“ —

Księgi miejskie dochowały też pamięć:

„Wituski Wojciech i Lorensowicz Jakub rajce jarosławscy ponieśli klęskę w dobrach swych od kozaków po dwakroć... (p. 264.) Uciekając z miasta sieroty śp. Zawiszy, których był opiekunem wraz z kamienicą onych, powierzył on opiece aptekarza Jasiewicza. W sklepie murowanym złożył on rzeczy swe, między innemi księgozbiór spadły nań po zmarłym lekarzu Helznerze. Klucze wziął z sobą a przynajął stróża Jędrzeja, żeby pilnował sklepu. Kozacy nie mając kluczów, odbili sklep i łupili zabierając nawet księgi. Jasiewicz słysząc to, przyszedł ufny w nietykalność osoby swej jako aptekarz wielce potrzebny w czasie wojny. Kozacy jednak niewiele zważali na aptekarstwo jego: rad był, że się im wydostał z rąk. Umknął do Przeworska.

O skrzynce księdza Ziółkowskiego pleb. krakowieckiego zeznał Wituski sam: — „Pozwoliłem mu sklepu próżnego. Wkrótce potem za przybliżeniem się nieprzyjacielskiem, gdy drudzy z miasta uchodzili i ujeżdżali, ja też zdrowia raczej ochraniając ujechałem z drugimi. A z innymi wtem powróciwszy jak telo nieprzyjaciel miasto kila razy porabowawszy ustąpił — takowej skrzynie tylo trzaski zastałem“ —

Zacharkowicz Jan spieniężywszy kupią swą za 60 czerw. zł. — uszedł i nie stracił nic. Jako zeznał później.

Pędzowska Jadwiga zeznała, że jej kozacy rozbili okna, piec i kuchnię...

Winowski: — „Dom mój stary drewniany spustoszon podczas niedawnego wtargnięcia do miasta Jarosławia kozaków i Moskwy, gdy na wieści o smutnej porażce wojsk królewskich większa część mieszkańców uciekała kędy mogła, zaradzając zdrowiu swemu...... Tamże w browarze kocioł browarny od kozaków przecięty na 3 części od wierzchu aż do dna samego...“

Z kozakami łączył się lud ruski z Beskidu pobratymce dragonów sołtysich, w czuchach wołoskich i odzieniu innem, podobni onymże.

Gdy już kozacy ustąpili, wkroczyła piechota sołtysia Lubomirskiego Jerzego i niebawem rozeszła się po mieście sprzedając i kupując... Balicki sługa Lubomirskiego obaczywszy u jednego z nich czarkę srebrną i pieniądze, odebrał mu i zatrzymał samego sądząc, że on z kozaczyzny i nie wierząc drużbom jego. Przywiódł go do p. Jeża Tomasza, rotmistrza dragonii. Z drugiej strony Ferfecki przedmieszczanin przyniósł siermięgę białą i czarną, magierkę i obuwie, odebrane Rusinowi drugiemu. W obydwu jednak obwinionych pan rotmistrz poznał drużbów chorągwi swej piechotnej wołoskiej. Więc wesoło zakończyło się nieporozumienie. Rotmistrz jednak musiał w urzędzie zeznać rzecz całą, a zeznanie wpisano do księgi radzieckiej.

W Dydatyczach pod Sądową Wisznią Grzegorzkowicz dzierżawca umykając wcześnie z zdrowiem i mieniem ruchomem, kotły miedziane piwne i gorzałczane wziąwszy na czółno, ukrył w trzcinie na stawie. Chłop z Wołostkowa imieniem Stefura, przezdradził kozakom: więc spalili wypróżnione stodoły, stajnie i wszystkie budynki gospodarskie folwarczne, przyczem spłonęło 12 chałup kmiecych. Spuścili też staw zarybiony gwoli onych kotłów starych ukrytych.

(*Przemyśl, grod. ks. 383, str. 54.*)

W Buszkowicach, wsi kanonika Sieprawskiego, dzierżawie Malinowskich kozacy z Moskwą, którzy w krajach tych szkodzili, wypaśli z brogów i zepsowali jęczmienia kóp 88.... Poddani podczas kozaków nie robili pańszczyzny, ani później chcieli odrobić....

(*Tamże str. 282.*)

Pod Sanokiem samym w Dąbrowie ruskiej dzierżawie Nehrebeckich, chłopi ustali robić pańszczyznę i nie robili przez kilka tygodni. Hajduka dworskiego Tymka gdy przyszedł do dworu rozkazując na pańskie, Kopij Panko na czele kmieci wraz z sołtysami jak go wzięli pod kije, cudem prawie uszedł zbity i poranion. Chcieli zabić.

(*Sanok, grod. księga 168, str. 1754.*)

W Nowym Tańcu Giełdziński chorąży sanocki umykając przed kozakami, schronił się tam do Stanna Jędrzeja, podkomorzego sanockiego, przypędził też bydła: wołów czabańskich tłustych 4, jałownika 20, koni 6.... Przypadli chłopi jacyś: zabrali bydło z pastwiska. Pokazało się, że to byli poddani Brzeskiego Wacława z Pielli pod Żmigrodem, komornika granicznego. Poddani chorążego odszukali nawet łup u młynarza w Pielli; ale pan komornik bał się czynić sprawiedliwość z poddanych.

(*Tamże str. 1726.*)

Nie czynił zaś sprawiedliwości, bo nie mógł, rad, że samemu dają spokój, gdyż nierzadki był wypadek zbiegostwa do kozaków, nęcących lud ku sobie. Stannowi samemu zbiegło dwoje sług dworskich poufnych: Kraśnicki Jędrzej i Paweł bracia. „Uszli tajemnie nie oddawszy kluczów“ — jako skarżył Dzięciołowski Piotr imieniem podkomorzego a pana swego.

Przybywali też rozbitkowie wojska hetmana wielkiego, roznosząc trwogę i popłoch.

Do Sanoka przybył Siciński, pisarz grodu przemyskiego, donosząc o zbliżeniu się kozaków, ucieczce kasztelana i biskupa z Przemyśla.... Przybył książę Wiśniowiecki z niedobitkami chorągwi swej, którą wodził rotmistrz Margoński.... Przybywało i innych wiela a wszystko zatrwożone....

Mniszek kaszt. sądecki, przerażony trwogą zapomniał o naczelnictwie swem ziemi sanockiej: uciekł w drużynie znajomych...

Dubrawski podkom. przem. a pułkownik Ruszenia pospolitego szlachtę swą zbrojną uprowadzając przed nawałą kozaków, połączył się z Fredrą Zygmuntem i wraz przebierali się do Krosna, dokąd też uciekała szlachta pospolitego ruszenia z całego niemal województwa ruskiego, jakoteż i sędomirskiego od Pilzna, co uciekali przed Szwedem.

Nie dali na siebie czekać i Sanoczanie!

Przybywszy z marszałkiem swym Kozłowskim, niebawem 5-go Października zagaili „Koło rycerskie,“ do którego zaprosili wszystką szlachtę ruską tamże obecną.

Przy obecności Ichmościów szlachty powiatów lwowskiego i przemyskiego — „więc gdyby na sejmiku pospolitym w Wiszni — Ichmość panowie Rady, Urzędnicy, dostojnicy i wiele rycerstwa sanockiego, naonczas w Krośnie zgromadzeni, zasiadłszy wiecowanie rozpoczęli od wyboru naczelnictwa powiatowego w miejsce Mniszka Franciszka, który się wydalił niewiedzieć kędy i któremu czyniono zarzuty gorźkie: jakoby z onego opóźniła się wyprawa wojenna ziemi sądeckiej pod Lwów i Gródek. Więc też wyliczając zasługi kasztelana swego sanockiego: Fredry, okrzyknięto go naczelnikiem powiatu, jako z prawa był naczelnikiem pospolitego ruszenia w powiecie. Pan Mniszek więc kaszt. sądecki i ulubiony królewski senator wypadł z łaski.

JMCP. Zaporski, skarbnik i poborca sanocki, wzniósł potem sprawozdanie z czynności swej poborczej, poruczonej mu od sejmiku sanockiego 27-go Września. Na zapłatę sotni dragonów Fredry mających w Pospolitem ruszeniu przedstawiać szlachtę sanocką, Orzechowski sędzia miał odliczyć 2500 złp.

czopowego, 2000 zaś miała złożyć szlachta w obozie na Tuchorzu pod Sanokiem. Wobec wszystkich Ichmość panów zgromadzonych, żalił się p. skarbnik poborca: „Iż niektórzy obywatele sanoccy, więc też miasta i miasteczka poboru oddawać nie chcą, mając sobie w tem za zasłonę Pospolite ruszenie, które przecie jako wiadomo nie przyszło do skutku.“

Wszyscy Ichmość obecni uznali słuszność poboru, zwłaszcza bacząc, że je oddały wszystkie powiaty inne. Jednogłośnie więc Fredrę zawezwano do wydania obwieszczenia poborowego imieniem całego powiatu sejmikującego.

Obwieszczenie sejmiku szlachty sanockiej.

...W tak gwałtownej potrzebie Rzeczypospolitej IMP. Zaporski skarbnik i poborca ziemi sanockiej.... wnosił przed nami: Iż niektórzy obywatele.... także miasta i miasteczka, na zapłatę wojska poborów dawać nie chcą, a wojsko na borgowej służbie zostaje. Prosimy tedy, abyście WWMość pobory do rąk poborcy dawali. W czem użyliśmy WJP. kasztelana sanockiego, aby się imieniem nas wszystkich podpisał.— Dań w Krośnie 5. Paźdz. 1655.

(*Sanok*, *gr. ks. 168. str. 1672.*)

Prośbie onej sejmikowej do zamożnych panów ziemi sanockiej zwróconej, aby nadać znaczenia i powagi: Fredro dobra onych przeznaczył na leże wojska. A to tem właściwiej, gdyż to nie były dziedzictwa, lecz dobra koronne.

Dragonów swych sotnię pod rotmistrzem Michałem Niemcem, a Hansem chorążym rozłożył: w Głowience, Suchodole, Białobrzegach i Krościenku, dobrach Mniszka Franc. kaszt. sądeckiego. Ruś z Beskidu sanockiego pod dowództwem Niemców, pamiętała o sobie zabierając konie, siodła, zboża — zgoła, co podpadło pod ręce.

ECHA
Z „CZARNYCH DNI.“

(Ustępy z poematu, skreślonego przez autora pod wrażeniem pruskich edyktów bannicyjnych.)

I.
LEGENDA.

Był naród wybrany, od Boga posłany,
By świecił śród ludów pochodnią —
Spokojny i cichy, bez dumy i pychy
Nie bratał się z czartem, ni zbrodnią.
Swobodny, szczęśliwy — kwieciste miał niwy,
Zielone miał bory i lasy,
Miał spichrze, stodoły, w oborze miał woły:
Szczęśliwe to były dlań czasy.
Lecz szatan wciąż czuwał, pokusy podsuwał
I naród zapomniał na Boga;
Uwierzył szatanom, dał pokłon bałwanom,
Z przed oczu mu znikła cnót droga.
Lecz wnet się ocucił, szatana porzucił,
Bo poznał jad jego zatruty,
I ocknął się z pychy, żałował za grzechy,
Na drogę wszedł ciężkiej pokuty.
I sto lat boleje i gorzkie łzy leje
I grzechów okupić nie może:
Wciąż nowe nań płyną nieszczęścia lawiną,
Wróg w sercu obraca mu noże.

Wziął wolną tę ziemię, rozprószył w świat plemię,
O Boże! czyż nie masz litości?
Bez ziemi, bez domu, poskarzym się komu
Na wrogów szatańskie podłości!

II.
ROK NOWY.

Rok za rokiem szybko bieży,
Rok za rokiem szparko płynie,
Jak ten strumyk tam w dolinie,
Jak ta fala u wybrzeży.
Szybko, rączo czas ulata,
Chwila jedna drugą goni,
Jak ta rybka w modrej toni,
Co gdzieś bieży w krańce świata.
Nadziej nowych płyną roje
I zawodów czarne chmury,
Rzadko świecą nam lazury,
Nam nie świeci słońce swoje....
My z dniem każdym, z każdym rokiem
Patrzym w przyszłość za zbawieniem,
Za Aniołem, za zjawieniem
I po niebie błądzim okiem:
Ale darmo — nam nie błyska
Jasna gwiazda na błękicie —
Smutne, chmurne nasze życie —
Tylko żałość pierś uciska!

V.
WYGNANIEC.

Ciemną nocą, czarnym borem
Mroźny wicher wyje,
Kruków stado kracząc chórem
I w bory się kryje.

Drogą pustą po przez pola
Ktoś samotny chadza;
Nie wiem, czy go dobra wola
Po nocy prowadza.
Siwy włos rozwiany w koło,
Łzy błyszczą na oku,
On ku ziemi schylił czoło
I przyspiesza kroku.
Odpędzili go od dzieci —
Kędyż pójdzie stary?....
Tam na niebie gwiazda świeci,
W mgłach widnieją mary....
Skoro jasna gwiazda zginie
I starzec upadnie.....
Już nie świeci — chmura płynie...
On leży bezwładnie!...
Wzdycha jeszcze — nie, nie wzdycha,
Już skonał w zawiei.....
Chmura niknie, wiatr ucicha,
Śnieg w koło bieleje!

VII.

FINALE.

Wrogu drżyj, bo Bóg nam przebaczy,
Błyśnie dzień i dla nas tułaczy —
Lejem łzy — lecz Bóg je osuszy:
Mocą Swą kajdany nam skruszy!
Zeszle grom, co wstrząśnie waszą moc:
Dla nas dzień — wam czarna zejdzie noc,
Czarny kruk zakracze wam na skon:
Wrogu spojrz — tam stado leci wron!....

Bolesław Andruszewicz.

Seume jako poeta*)

(Z PORTRETEM SEUMEGO.)



*) Redakcja „Roczników Samborskich“ z szczerą wdzięcznością i uznaniem ogłasza w łamach swoich tę niepospolicie piękną i wyczerpującą pracę znanego zaszczytnie z swoich prac literackich p. Józefa Czerneckiego, autora i wydawcy biografii Seume'go. *(Przyp. red.)*

Już na innem miejscu (J. G. Seume i dzieła jego) podałem charakter pism Seumego i starałem się ocenić działalność jego literacką na tle kierunków i prądów, nurtujących wówczas w społeczeństwie niemieckiem. Podniosłem mianowicie niezawisłość jego charakteru, która go odróżnia wśród tłumu ślepych naśladowców Klopstocka, Schillera, poetów z okresu „Burzy i Udręczenia,“ wreszcie romantyków, — gdyż Seume sobie samemu wyłącznie zawdzięcza to, czem był i czem został. Tamże skreśliłem także w ogólnych zarysach stanowisko jego i zasługi w literaturze niemieckiej. Teraz zaś pragnę słów kilka poświęcić jego poezjom, zastanowić się nad ich rodzajem i formą, podać ich treść, podnieść ich główne cechy i ich wartość.

Sam Seume nie ma wygórowanego wyobrażenia o swoich poezjach. Ze skromnością rzadką u poetów dobrał dla dwu tomików swoich poezyj, rozprawek, anegdot i aforyzmów (I. r. 1796., II. r. 1798.) skromną nazwę starożytnej monety zdawkowej „Obole“ i nazywa je drobiazgami i próbkami literackiemi. Przyznaje dalej sam (III. 67.), że w jego wierszach mało jest poezji, ale tem więcej czystej prawdy: co więcej powiada, że wierszy jego właściwie poezjami nazwać nie można, ale właśnie to poczytuje za największą ich zasługę. Co bowiem sztuka traci, to zyskuje w nich odczucie prawdziwych stosunków ludzkich. „Po większej części są one tylko wyrazem serca, lub objawem myśli, które może mają uzasadnienie w indywidualności autora i w jego stosunkach, jakkolwiek bardzo wiele uważa za prawdę ogólną.“ (V. str. 11.) W wierszu do przyjaciela Rothego (V. str. 22.) czytamy:

„Mein Ton ist rauh und ungewohnt die Hand,
In meinem Busen strömt kein Götterfeuer;
Und kommt mir auch ein Strahl aus seinem Geisterland,
So hallt, was schnell wie Blitz die Brust empfand,
Nur schwach zurück von der verstimmten Leier.“

Wreszcie wątpi on sam, czy język jego może być kiedy tak gładkim i giętkim, jak sobie tego życzył. Przynajmniej próby wygładzenia za wzorem Wielanda, którego wychwala jako mistrza w wierszowaniu, zacierały zawsze jego własny charakter, więc wszelkich poprawek musiał się na zawsze wyrzec.

Jak z tego widzimy, wolnym był Seume od próżności autorskiej i nie sądził zbyt wysoko o swej twórczości, co właśnie wychodzi na jego chlubę, bo maluczcy duchem nie oceniają siebie z pewnością tak surowo. Że jednak mimo tak skromnego sądu utwory jego były chętnie czytane, tego dowodzą najlepiej trzy późniejsze wydania dawniejszych i nowych wierszów pod tytułem: „Poezje“, ogłoszone za staraniem samego autora (Grimma r. 1800 i 1804, Lipsk 1809.) i dość liczne wydania po śmierci jego.

Zresztą utwory jego poetyczne należą po największej części do zakresu poezji lirycznej; zawierają one wspomnienia i rojenia, żale i tęsknoty, pamiątki i marzenia człowieka, pragnącego dobra ludzkości; wreszcie rozmyślania filozoficzno-religijnej treści, zwykle kosztem poetycznego wykończenia, nader rozwlekłe, tak że o połowę krótsze, mogłyby być o wiele lepsze. Z tego samego już wypływa, że co do treści są to wyłącznie prawie tylko elegje, żale, treny, wspomnienia pośmiertne, dalej ody, pieśni i modlitwy o nastroju elegijnym. Obcą natomiast jest Seumemu pieśń wesoła i lekka, pieśń „Anakreontyków“ — obcą romansa i balada, przez co zakres jego poezji jest nader ścieśniony.

Treść większej części jego poezyj da się ująć w słowa: „Wszystko ludziom dałeś, co dać mogłeś Panie, ale ludzie nadużyli Twej dobroci i wypaczyli Twe dary.“ Skutkiem tego despotyzm i niewola, słabość i przesądy, obłuda i fałsz, płaszczenie się i sobkowstwo, próżność i zarozumiałość, zdrada i chciwość, na całym rozwielmożniły się świecie. Nie dziw więc, że ceniąc w swem sercu godność osobistą i piastując w niem miłość ludzką, boleje nad tem jaskrawem przeciwieństwem rzeczywistości do pragnień i życzeń swego czystego

serca, lub oburza się, smuci i uczucia te na każdym kroku, przy każdej sposobności z całą wyraża siłą, tłumiąc w sobie ból nad utratą własnego szczęścia i nad zawiedzionemi nadziejami. Ztąd pochodzi, że między jego samodzielnemi poezjami widzimy tłumaczenia pokrewnego kolorytu z angielskiego Gray'a: „Elegją na cmentarzu wiejskim“ (V. str. 18.), ze staroszkockiego Osjana „Armina skargi wobec Kirmora,“ wreszcie z angielskiego Dra Younga: „Początkiem pierwszej nocy“, które elegijną swą treścią tak odpowiadały jego nastrojowi.

W części I. na str. 94. powiada:

„Gott der Vater schuf die Erde,
Dass sie uns zum Himmel werde.“

Pan Bóg stworzył ziemię, byśmy na niej znaleźli niebo. Poeta atoli znalazłszy tu piekło zamiast nieba, patrząc na niedolę ludzkości, niedolę u kolebki i u grobu, w chacie biedaka i na tronie, ugina się pod ciężarem zwątpienia i zwraca korne modły do Boga z prośbą o wytrwałość, o łaskę i cierpliwość tudzież o serce wesołe. Wprawdzie doznaje chwil zachwytu; gdy patrzy na dzieła Boga, uwielbia Pana w „Pieśni porannej“ i w „Pieśni wieczornej“ (V. 71. i V. 238.), poi serce rozkoszą bliskiej wiosny (Nähe des Frühlings V. 211.), lecz każdy zachwyt, każde upojenie kończy się spojrzeniem na ziemię, gdzie występek wzrasta a cnota upada i wnet powraca znów smutek głęboki na widok spraw ludzkich (V. str. 71.) tak, że waha się rozstrzygnąć, czy on sam, czy świat jest tak zepsuty:

„Mir wird's so dunkel und abgestorben
Und menschenleer,
Bin ich es, oder ist die Welt verdorben
Rund um mich her?*)“

skoro wszystko wydaje się jemu czczem, pustem i próżnem. Ciasno mu pomiędzy książkami, choć je

---

*) Smutno mi, głucho; wśród ludzi zamętu
Samotne serce me;
Czyżbym to ja już spodlił się do szczętu,
Czy świat w około mnie? (IV. str. 19.)

tak lubi, żal w nim budzą bezpłodność metafizyki (Meinem Freunde H. V. 179) i ciasne granice wiedzy ludzkiej, coraz ciaśniej wreszcie wśród ludzi. Szuka więc ukojenia wśród ciszy cmętarnej:

„Mein Wandelplatz sind lange Todtenhallen,
Wo Fürst und Knecht
Im Arm der Zeit zu gleichem Moder fallen
Und gleichem Recht“ —

spieszy na grób ojca i na grób matki (V. 67. i 161.) Tu na grobie ojca chce szukać światła, odwagi i siły, bo ojciec wśród rozkoszy nieba nie patrzy na nikczemność tej ziemi i syna swego błądzącego w zwątpieniu przestrzegać będzie przed przepaścią, gdyby burze pielgrzymki doczesnej spędziły go z obranej drogi. — Ponieważ zaś śmierć w szczupłem gronie jego przyjaciół obfite zebrała plony i poczyniła w niem znaczne szczerby, przeto spieszy na ich groby, szukać pociechy dla skołatanej duszy, a elegijny smutek rozwiany jest w wierszach, które poświęca ich pamięci. U grobów tedy Herdera, Gellerta, Zollikofera, Oesera, Blankenburga, Weissego, Uza, dalej przy grobie Schillera, „który życie budził w pustkowiu,“ Gleima, którego nazywa przyjacielem, ojcem, nauczycielem, pełnym cnót, odzyskuje chwilowo spokój, pokrzepia nadzieję (IV. 115. V. 98., 120., 145., 175.), mimoto na pociechę swego przyjaciela Sommera (V. 154.), któremu umarli dwaj synowie, nie umie nic innego powiedzieć, jak tylko to, że żaden ciemięzca, żaden uwodziciel, żaden despota nie będzie ich już prześladował.

Ale od czasu do czasu żarem płonie dusza jego, staje się wulkanem, pali gniewem jak lawą i choć to nie pomaga, poeta pragnie, by ten jego szał Bóg pobłogosławił. Niekiedy gorycz jego, zaprawiona ironią, wybucha gryzącym sarkazmem lub gorżką satyrą. Takim jest wiersz pod tytułem: „Guter Rath“ (V. 82.) Na świecie tylko złoto ma znaczenie, reszta jest niczem; ludzkość jest kontrabandą, więc uginaj się, nie ośmielaj się mieć rozumu:

„Sei gross bei Kleinen und bei Grossen klein,
Im Tadel beissend klug, im Lobe fein.
Sei Kuppler; noch in jedem Lande
Erwirbt man klug sich Ruhm durch Schande,

Sei blind mit Fleiss und dumm aus List,
Bis du auf deinem Boden bist.
Sei Frömmler und sei Freigeist nach dem Ton,
Jetzt der Vernunft, dem Glauben jetzt zum Hohn."

Zmieniaj co chwili postać — albo ucz się filozofii, aby głodnym zostać.

W takim nastroju będąc, uczuwał przyjemność w przekładaniu podobnych utworów gryzących z literatury angielskiej i temu zawdzięczamy przekład satyrycznego wiersza: „Noc" Churchilla (V. 219.) Cały wiersz pod tytułem: „Apoteoza" w heksametrach z zakrojem eposu, jest również gorżką satyrą na nadużycia akcyzy, cła i celników (V. 135.) „Siepacze tłumnie czatują u bram i po gościńcach, ażeby samotny biedak we worku nie ukrył trochę soczewicy lub grochu, które pragnie głodnym dziatkom zanieść do miasta na obiad. Nie wolno ci z jabłoni, którą sam wypielęgnowałeś, zerwać jabłka, póki jej urzędnik podatkowy nie zdziesiętkuje. Każdy kęs, każdy napój orzeźwiający w tym systemie pijawkowym musi być opodatkowany przez wiele instancyj; musisz chodzić boso i nago, albo wszystko podwójnie opłacić. Bez pozwolenia nie wolno ci zabić wykarmionego wieprzka." Podobnież wiersz (V. 163.): „Aufmunterung" pociesza młodego człowieka, że nie potrzebuje rozumu ani poczciwości, aby się kobietom podobać, skoro ma złoto, mówi po francuzku, gra na ulubionych instrumentach. Więc którażby mu się oprzeć zdołała? Poeta sam (V. 102. i 105.) nie miał odwagi do zbierania skarbów, aby dziewczę posiąść. Byłby chętnie podjął się bez sarkania wszystkich trudów, lecz ubóstwo było jak powiada cierpko, przeszkodą do jego szczęścia, więc po gorących przysięgach nastała zabójcza obojętność, bo nie miał złota. Oba te wiersze, w których wymienione jest imię Wilhelminy, podają nam dzieje jego miłości i przykrego rozczarowania.

Czasem poeta sam siebie pociesza, że przecież nie wszystko na świecie jest jeszcze tak nieskończenie podłem i złem, jak się wydaje (V. 30.); więcej w tem głupoty, że ludzie chcą uchodzić za coś innego, niż za to, czem są rzeczywiście, bo „każdy dosiada tylko

swego konika" (jeder reitet sein Steckenpferd), lub „każdy dudek ma swój czubek."

„Ein jeder Narr trägt seine Brille,
Ein jeder Mensch hat seine Grille," (V. 40.)

Każdy więc uważa siebie za coś wielkiego i myśli, że sam obraca koła w zegarze wszechświata.

Z rezygnacją godzi się nawet ze zwykłym biegiem spraw ludzkich, wszak „oszukiwać i dać się oszukać, to rzecz powszednia":

„Betrügen und betrogen werden,
Nichts ist gewöhnlicher auf Erden." (V. 44.)

Pesymizm jego, jak widzimy, nie pragnie zatem zguby, zniszczenia, zagłady; nie wzywa ognia i miecza do pomocy, lecz umie nawet pobłażać i wzywa nas do przebaczania, by nam przebaczono:

„Verzeihen wir, damit man uns verzeihe,
Die Menschen sind im Ganzen schon noch gut."

Świat posiada wiele dobrych dusz, podobnych do kamienia niewygładzonego, a z tymi żyć można; w przekładzie zaś angielskiego: „Modlitwy powszechnej" Pope'go (V. 15.) wznosi korne modły do Boga, by go ochronił od potępienia wrogów i pozornych bluźnierców a serce uczynił czułem na bole braci, pobłażliwem dla ich błędów, bo litość, którą im okaże, spodziewa się kiedyś znaleźć u Boga:

„Nie lass' meine schwache Hand es wagen,
Deinen Blitz zu schleudern auf den Feind,
Noch Verdammniss rund umher zu tragen
Jedem, der dein Widersacher scheint.
Lass' mich meiner Brüder Schmerz empfinden
Und den Fehler decken neben mir;
Die Erbarmung, die bei mir sie finden,
Die Erbarmung find' ich dann bei Dir."

Dlatego też ton elegijny przychodzi w dydaktyczny, odpowiadający na pytanie, co wśród smutnych stosunków czynić należy. Więc dodaje „Znękanemu przyjacielowi" (Einem missmuthigen Freunde V. 88.) otuchy, by nie tracił odwagi, nie upadał i wzniósł swe serce do góry. Ludzkość cierpi, to prawda:

„Hier zerstört mit einem Federstriche
Ein Despot die halbe Nation
Und durchgräbt mit einem Sporenstiche
Kühn das Recht von einem fremden Thron"

(aluzja do rozbioru Polski) — tam popełniają najokropniejsze okrucieństwa w imię wolności, równości i religii, a tam człowiek białej rasy, co smutniejsza syn ojczyzny niemieckiej*), uczy, że handel niewolnikami jest słuszny, że wolno wydzierać matkom niemowlęta i rzucać je na pastwę tygrysom, wolno ojców rasy czarnej zakuwać w kajdany, zabijać więziennem powietrzem, strzelać za najmniejszem poruszeniem, jak zbrodniarzy i t. p. Niezliczone są cierpienia ludzkości; wypadki, żywioły, ludzie, wierzyciele, rozkosznicy i rozrzutnicy składają się na nie. To wszystko jednak pochodzi od Boga, ma swój cel; On nadgradza dobrych i karze złych: nie obwiniaj przeto niebios, lecz znoś wszystko cierpliwie i bierz przykład z poety, który tak wiele nieszczęść musiał przetrwać w swem życiu."

Pod tym względem epistoła: „List pożegnalny do Münchhausena" (Abschiedsschreiben an Münchhausen V. 22.) jest niejako wyznaniem jego wiary, jest drogoskazem w podróży życia, wedle którego życzyłby sobie, aby Münchhausen zawsze postępował. Poeta godność osobistą ceni najwyżej, bo wszystko reszta to fałsz i obłuda. Ostrzega on przyjaciela szczególnie przed kobietą, której nigdy nie należy oddawać serca całego. „Niczego namiętnie się nie spodziewać, niczego się nie lękać," jest zdaniem jego podstawą szczęścia, o ile człowiek może być szczęśliwy, skoro szczęścia trwałego nie ma. Wśród ogólnego rozkładu, wśród powszechnej zgnilizny, gdy koronę i kij żebraczy jedna chwila zrównać może, dobry czyn na schyłku życia jest

---

*) Niejaki Meiners, Niemiec, który z różnicy w budowie fizycznej wyprowadzał przeznaczenie czarnych do niewoli. Uwaga Seumego (X. 222.)

najlepszym paszportem do krain nieznanych (Der Pass V. 76.)

Nadzwyczaj uspakajająco działała na niego przyroda, której piękności odwracały w nim często myśli smutne (V. 116., 118., 138.,) i otuchę wlewały w serce skołatane. Lecz ileż to razy urok okolicy wywołuje wprost przeciwny skutek: wyciska łzy, bo w ogólnym upadku i znikczemnieniu świata żal mu wydartej wiary, miłości i nadziei niby utraconego raju, jak to czytamy w „Samotnej Przechadzce“ (V. 115.)

Spokój tedy nie długo bawi a nadzieja znów go opuszcza, gdy daremnie szuka u Europejczyków tej prawości, której doznał u dzikich Huronów (V. 59.)

Jeszcze więcej obiecuje sobie po dalekich podróżach. Wiadomo że „nie z dzikiego popędu“ (I. 106.) nasz pielgrzym pieszo zwiedza znaczną część Europy. Szuka on wszędzie śladów wszechwładnego porządku w pięknościach i okropnościach natury, w gruzach zaginionych narodów, w scenach morderczych swoich czasów... w sposobie myślenia ludzi, swoich braci. Surowy syn natury, o szczerem wejrzeniu, z najtkliwszem, najgorętszem uczuciem prawa, serce swe niosąc na ustach, mógł kochać ludzi, tylko gniewając się i karcąc. A jednak kochał ich, a najszlachetniejsi z jego narodu odpłacali mu tę miłość wdzięczną miłością. Więc żegna groby, żegna piękne ojczyste strony i rodzinne progi, znajomych i szczupłą garstkę przyjaciół mówiąc ze łzami w oczach (IV. 19.):

„Der Nacken brennt, die Wimper glüht; es hebet
Ein Tropfen sich;
Fort, fort, eh' er empor zur Thräne bebet
Ermanne dich“ —

i rusza w świat, wzywając żywioły do walki i obojętnem mu jest, czy w pielgrzymce zabije go Samojeda, lub u stóp Etny morderca. Lecz i tu w obczyznie widok Kapitolu (III. 84.) nastraja go do elegijnego tonu, bo haniebne obrazy przeszłości musi zestawić ze smutniejszymi jeszcze stosunkami czasów swoich. Nędza, ubóstwo, zniszczenie, dzikość, wyuzdanie nastrajają jego lutnię na ton smutny w

wierszu: „Smutek Cerery“ (Die Trauer der Ceres, II. 45.) nie nad utratą córki, lecz nad obecnym upadkiem w porównaniu z przeszłością.

Najmilej bawił się nasz poeta wspomnieniami młodości; są one dlań osłodą i pokrzepieniem w dolegliwościach życia, z nich niekiedy tryska radość niczem nie zmącona i dowcip swobodny, bo wedle wiersza: „Pielgrzymka do ojczyzny“ (Wallfahrt nach der Heimat V. 185) nawet drobnostki są sercu drogie:

„Sei alles so klein und so nichtig,
Dem Herzen ist's gross und wichtig,
Als wär's capitolischer Grund.“

Z humorem i dowcipem wyraża rektorowi Korbińskiemu swą wdzięczność za chwile, które przebył w jego domu tak miło i pożytecznie (V. 76.), ale w końcu z żalem dodaje:

„Hingeschwunden sind sie, die Rosenfarben der [Jugend,
Schön und lieblich und mild.“

Również z humorem opiewa koleje swego wychowania w wierszu żartobliwym: „Bieg życia Jeremiasza Bunkla“ (Lebenslauf Jeremias Bunkels V. 130.), cieszy się w wierszu: „Wider die Ordonnanz“ (Wbrew zleceniu, V. 147.), że w słabości przetrwał śmiało niebezpieczną i wcale bolesną operację. Wspomnienia podobne są jego jedyną pociechą i jedyną ucieczką, gdy po długiej a ciężkiej chorobie znów zaczął przychodzić do siebie. Wiersz jego: „Walka przeciw Morbonie“ (Kampf gegen Morbona V. 169.), napisany po wyzdrowieniu w Lutym r. 1809 a więc jeden z najpóźniejszych dowodzi, że słabość ducha jego nie ugięła i nie złamała, skoro bowiem bole tylko ustały, wracała swoboda i spokój, bo w życiu swojem nie widzi nic takiego, coby pragnął zmazać i zatrzeć w pamięci. Z rozkoszą ogarnia w nim całe swe życie, wspomina z uwielbieniem rodziców i dobrodziejów, chwile spędzone z przyjaciółmi jak Gleim, Weisse, Schiller, Herder, Goethe, Wieland, Klinger i księżna Amalia. Jeszcze raz myślą przenosi się nad Tyber i Etnę, Sekwanę i Newę; twierdzi, że w swej pielgrzymce poznał wiele dusz zacnych, wiele zaznał

przyjaźni. Dziwnym sposobem nie wspomina tylko w tym wierszu ani słowem o pobycie swoim w Polsce. A jednak i tu pod koniec wiersza zamąca jego spokój nagle myśl, że wśród szalejącej burzy politycznej, nie może być Hermanem ojczyzny, gdzie się teraz tak źle dzieje, gdzie się rozlubowano w kajdanach i hańbie a to z tego powodu, że nie ma w niej sprawiedliwości, wolności, nie ma jedności i łączności (V. str. 173.), gdyż pod Baszami, (Bassen) pleni się tylko zniszczenie.

„Unsere Grossen sind zu klein, zu fassen,
Was Gesetz sei und was Nation;
So gedeihet unter stolzen Bassen
Das Verderben, der Verblendung Sohn.“

Ale na to już nie ma rady, bo stulecia składały się na tę głupotę:

„Viel Jahrhunderte des Nebels haben
Uns in ihren Unsinn eingeweiht,
Haben alles bessere Licht vergraben,
Das der Himmel seinen Kindern leiht.“

Tylko tu i ówdzie błyśnie iskra z nieba, ale wnet ją gaszą despotyzm i chciwość; cnota kwitnie tylko w zaciszu domowem, ale nie w ustach ludu. Przywilej wszystko zabija a wolny człowiek czuje się osamotniony. Więc znów kończy westchnieniem o umiarkowanie, o uścisk poważnych przyjaciół, bo wtenczas lżejszą mu będzie wędrówka do nieznanych krain.

W ogóle poezje bez elegijnego nastroju należą u niego do wyjątków. Nawet wyżej wspomnianą 5aktową sztukę „Miltjadesa“ można nazwać udramatyzowaną elegją, bo znajdujemy w niej wszystko, nad czem poeta w życiu publicznem ubolewał i cierpiał, co go oburzało lub goryczą napawało, a sam Miltjades jest przedstawiony nie jako bohater czynu, lecz jako ofiara.

Usprawiedliwiwszy w przedmowie zboczenia historyczne, przyczem okazuje wielką erudycję, przedstawia nam Seume bohatera z pod Maratonu w chwili, gdy ciężko ranny powraca pod zarzutem zdrady z bezskutecznej wyprawy przeciw wyspie Paros;

następnie sąd na niego i śmierć jego. Główną myśl dramatu zdają się zawierać następujące słowa:

„.... Nicht die Todesart
Bringt Ehr' und Schande, wie man sie verdient:
Nicht selten fällt mit Wuth des Henkers Beil,
Wo die Gerechtigkeit den Lorbeerkranz
Zu fordern hatte, Freund, und umgekehrt,“

a więc myśl, którą uwydatnił już tyle razy w innych utworach. Dla poety despotyzm ludu jest tak samo nienawistnym, jak despotyzm tyranów.

Zresztą nie ma w tym dramacie prawie żadnej akcji, ani zawikłania, a nawet charakterystyka osób jest nader mdła. Miltjades nie jest bohaterem tylko ofiarą, która nadto za wiele mówi o swych zasługach i o swej dzielności, ale działa zbyt mało. Nie ma więc ten utwór wielkiej wartości ani poetyckiej, ani artystycznej; nie jest też przeznaczony do grania na scenie, aby wyciskać łzy duszom miękkim, bo sam autor nie pragnie więcej, jak tylko, żeby lepsi znaleźli godzinkę nie zbyt nieprzyjemnego a użytecznego zajęcia i przypuszcza co najwięcej, że jakieś towarzystwo prywatne zechce go na swej scenie przedstawić. Z tego powodu scenerja dramatu przez samego poetę urządzoną została stosownie do tego jak najskromniej. Natomiast świadczy ten dramat o potężnym sposobie myślenia naszego poety, który wśród głupoty i szaleństwa, wśród szumowin i motłochu skarłowaciałego pokolenia widzi jeszcze w ogólnem zboczeniu pierwiastki dobrego. Z drugiej strony jest Miltjades wzorem wzniosłym dla duszy młodzieńca i męża, którzy bez względu na niewdzięczność, jaką świat i właśni rodacy odpłacają często naszą ofiarność, powinni rozgorzeć potężnym płomieniem czystej miłości ojczyzny, bo

„Das Göttlichste für einen freien Mann,
Der Erde Himmel ist das Vaterland“ —

mówi Miltjades i dodaje:

„Seid einig in dem Kampf fürs Vaterland!
Vereinigt trotzen Griechen einer Welt,
Woher sie auch die Sonne schickt. Nur Zwist
Und blinde Selbstsucht gräbt der Freiheit Grab,

Des Ruhms, der Ehre und des besseren Sinns.
Ein Volk, das fällt, fällt immer nur [durch sich.
Gerechtigkeit und Freiheit sind der [Grund
Nur sie allein, zu festem, stetem Wohl."

Wobec tak licznych poezyj o smutnym nastroju, wiersze wolne od przygniatającego smutku dadzą się policzyć; i nie dziw, gdyż tak samo w życiu poety dostrzegamy podobny stosunek smutku i radości.

Takiemi są wiersze: „Ofiara" (Das Opfer, V. 107.), gdzie wielbi Leonidasa jako wzór poświęcenia, „Pienia i Śpiewy," (Die Gesänge V. 148.), gdzie wysławia potęgę śpiewu i w śmierci pragnie pieśni, „Teraźniejszość" (Die Gegenwart V. 240.), gdzie nawet wprost wzywa do użycia świata, kiedy służą lata, wreszcie dowcipne, wesołe i humorystyczne wiersze: „Chaucer do swej pustej sakiewki" (Chaucer an seine leere Börse V. 229.), „Wątpliwość" (Der Zweifel V. 80.), „Podobieństwo" (Die Ähnlichkeit V. 81.), „Kontrakt" (Der Contrakt V. 81.) lub „Pieśń biesiadna" (Das Trinklied V. 79.), w której do stołu bratniego przypuszcza tylko ludzi cnotliwych, z sercem bijącem dla wolności i światła, dla prawdy i ludzkości, z ręką gotową każdej chwili do oręża. Dwa wreszcie listy rymowane (V. 244. i nast.) są wprawdzie igraszką, pełną filuternego humoru, ale nie pozbawione satyrycznych uwag na urodzonych sędziów i nadymających się mnichów (Bonzów).

I w czasie podróży dusza jego, na chwilę oswobodzona od gryzących zmor, chętnie oddaje się myślom wesołym; w wierszu np. „Znijście z św. Gotharda" (Das Herabsteigen vom St. Gotthard V. 157.) wielbi Tella, że się nie ugiął przed despotą i głupotą, w Sycylii zaś tłumaczy z humorem sielankę Teokryta o Cyklopie(I. 141.)

Toż samo, gdy pełen tęsknoty wraca znowu w rodzinne strony, mówi (I. 95.), że Etna ma swe piękności, a kraj u stóp jego swoje rozkosze, ale w ojczyznie własnej lepiej:

„Drum wollen wir singen und kosen
Und froh sein wollen wir.

Singt Freunde, singt: Es leben unsere Rosen
Auf unseren Bergen hier."

Podobnież (IV. 160.) opowiadanie swe kończy powitaniem ojczyzny, której łany droższe mu nade wszystko. Oby tylko spokój (Irene) zapanował w ojczyznie, lub znalazła się siła, gdy tego okaże się potrzeba. Niechaj wolność i sprawiedliwość rządzi, a wtenczas szczęście trwałe wzróść musi.

Jak wreszcie w życiu ten na zewnątrz ponury człowiek o chmurnem czole i smętnym wyrazie oblicza, miał być wedle świadectwa współczesnych w towarzystwie wesołym, dowcipnym, uprzejmym i miłym gawędziarzem, tak też między jego utworami poetycznemi znachodzimy poezje, w których nie ma ani odrobiny zniechęcenia lub oburzenia, a natomiast ton żartobliwy przebija z wielu ustępów i nad całością rozlana jest pewna pogodna swoboda, co dowodzi, że poeta wierzy jeszcze w uczciwość ludzi, nawet z przeciwnych obozów. Do takich utworów wolnych od pesymizmu i goryczy należą dwa większe wiersze opisowe: gawęda: „Dziewica Polska" i sielanka: „Adelajda," utwory przedstawiające nawet uczciwych i dzielnych ludzi, choć wiążą się ze smutnemi wspomnieniami rzezi Pragi z jednej i gwałtownego porwania Seumego do Ameryki z drugiej strony.

Podobnie jak w tych 2 poezjach, tak samo powodem do napisania jakiegoś wiersza w ogóle jest u Seumego zwykle jakiś wypadek życia zewnętrznego; lecz bardzo często nie sam wypadek jest treścią utworu, nie on tworzy jego wątek, lecz zastanawianie się nad naturą ludzką, roztrząsanie stosunków spółczesnych, które budząc w poecie czy to przyjemne, czy przykre uczucie, przypominają mu nędzę całej ludzkości i stają się pobudką i podnietą do głębokiej refleksji. Na tle więc takiego wypadku, który podnosi do ogólnego znaczenia, rozsnuwa swe uczucia, a chcąc je wszechstronnie uzasadnić, tworzy zwykle wiersze bardzo długie. Do takich utworów należą przedewszystkiem dwie poezje, bliżej nas obchodzące: „Elegja na uczcie w Warszawie" w tym samym dniu, kiedy król Poniatowski i zgromadzenie sejmo-

we w Grodnie podpisywało podział Polski, ponieważ wymowne argumenta na to t. j. baterje, „stały tam w pogotowiu przed bramą pałacu“, i „Modlitwa“, napisana w dniu, kiedy Suwarów dobywał okopów Pragi pod Warszawą. Napróżno szukalibyśmy w obu tych utworach bliższych szczegółów tego haniebnego sejmu lub rzezi Pragi. Poeta widzi tylko podłość i okrucieństwo, lecz co tu widzi w luźnym wypadku, to samo dzieje się na całym świecie, tak dobrze w jego ojczyznie, jak i w ościennych państwach, w tysiącznych formach, w najróżnorodniejszych postaciach, u wszystkich stanów i ludów. Wypadek tedy luźny myśl jego zwraca ku całej ludzkości i jest dlań tylko pobudką i podnietą do zastanowienia się nad wszystkiemi odmianami i rodzajami podłości i okrucieństwa i nad jego przyczynami, czem się tłumaczy ich nadmierna długość. Możnaby z tego powodu poezje jego nazwać liryką opisową, bo poeta każe nam z rozmaitych tych punktów widzenia oglądać z całą dokładnością to, co go boli.

Nie są to bole osobiste, ale ogólno-ludzkie i dla tego nas nie odstręczają, ale pociągają. Sam autor, im goręcej pragnie szczęścia ludzkości, tem skromniejsze ma życzenia; nie żywi on żadnych samolubnych celów, życzy sobie nie więcej jak tylko dobrych książek, kilku przyjaciół, skromnego pokarmu, nadewszystko zaś spokoju, wszelako nie spokoju samolubnego, lecz tego, który dzieli się ostatnim groszem z biedniejszymi i wszędzie śmiało wypowiada prawdę; spokoju mimo burzy: otwartego grobu, spokoju poświęcenia i cnoty (V. 54.) Spokoju tego, który sobie pragnie zdobyć, nie oddałby za żadne rozkosze. Niech inni używają; on pragnie kroczyć spokojnie własną drogą, bo i dla niego świeci jeszcze księżyc, kwitnie łąka, róża się uśmiecha i każdą cnota pociąga (V. 216. „Apologja do Münchhausena“: „O uczuciu“, tej iskrze namiętności, którą w serca nasze wlał Bóg, a która stała się powodem tysiącznych nieszczęść i niedoli.)

Stosownie do tego mówi (V. 205.):

„Ich bin vergnügt am Cap und an dem Pole,
Wenn klares Wasser meinen Gaumen netzt,

Vergnügt mit schwarzem Brod und brauner Kohle
Und wenn ein braver Mann mich schätzt —"

lecz zaraz w następnym wierszu dodaje, że właściwie i tego spodziewać się nie może, bo dla niego nie ma już na świecie żadnej nadziei chyba grób, którego mu może nie odmówią. Obojętne mu zresztą, gdyby odmówili:

„Und weigerte man mir auch Sarg und Decke,
Was liegt mir dran?
Flaum oder Stein ist Eins; an welchem Flecke,
Geht mich nichts an—"

skoro nawet na schyłku stulecia (w wierszu: „Das scheidende Jahrhundert" V. 122.) nie widzi zmiany na lepsze, owszem smutna teraźniejszość przesuwa jeszcze raz przed jego oczyma wszystkie w niem popełnione okrucieństwa, mniejsza czy w imię wolności czy despotyzmu.

Widział nasz poeta, że świat nie kroczy właściwą drogą, ale wierzył, że ostatecznie prawda zwyciężyć musi i dla tego ją bezustannie powtarza. „Zapatrywania moje, powiada (V. 14.), niech same za sobą przemawiają. Jest moją słabością, że mnie wszystko oburza, cokolwiek nosi na sobie piętno ucisku, niesprawiedliwości, nieludzkości, i z tego już się nie wyleczę. Chociażby bowiem w dobrej sprawie tysiąc prób się nie udało, nie wątpię przecież, że ostatnia próba się uda. Każdy więc objaw oburzenia jest skutkiem niezadowolenia i tego przekonania, że świat nie kroczy właściwą drogą. Nie mam obawy, ani nadziei co do mej osoby. Lecz nie prędzej przestanę przemawiać za światłem, za prawem, za rozsądkiem w imieniu społeczeństwa, aż język mój ostatnią myśl wyszepleni. Ludzie potrzebują prawdopodobnie jeszcze tysiąc lat na wychowanie i wykształcenie. Musi ono postąpić, choćby się wszyscy źli przeciw temu sprzysiężyli. Sokrates sprowadził filozofję na ziemię; nasi filozofowie pracują nad tem, aby do nieba powróciła a na ziemi nic z niej nie pozostało. Z praktycznej strony życia stroją sobie żarty, a jednak z całej mądrości to tylko najlepsze, co człowiekowi na coś się przyda."

To przekonanie, ta zasada tłumaczy nam, dla

czego tematem jego poezyj jest wiecznie toż samo: pogarda złego i pragnienie dobra ludzkości, która postąpić musi.

Józef Czernecki.

Z powodu śmierci Pawła Stalmacha.

Jeden po drugim bledną i gasną
Wielkie postacie, męże zasługi,
Co nam stworzyli przeszłość tak jasną,
Szereg męczeński tak długi, długi!
Schodzą do grobu: na ich mogile
Chwast nieraz tylko porasta dziki.
Pomników stawiać nie starczy tyle:
Oni narodu żywe pomniki!
Kraszewski, Giller polegli w walce,
Karły objęli po nich spuściznę,
Podłe się nadymają służalce,
By w pysze swojej dźwignąć ojczyznę.
W takich to nędznych warunkach bytu
Zgasłeś Stalmachu, mężu zasługi,
Co myśl o Polsce wzniosłeś do szczytu.
Któż ci z rodaków wyrówna drugi?
A karły dmią się, wciąż po staremu,
Wstecznicy wichrzą . . . Naród w żałobie!
Świecą się lampy na myśli grobie,
Świecą się lampy jak umarłemu!

Jarosław, 21. Listopada 1891.

G. Kohn.

Jak zostałem porządną osobą.

HUMORESKA

A. Barańskiego.

„Pokój dla skromnej panny stanu wolnego lub nieżonatej, bezdzietnej a porządnej osoby zaraz do wynajęcia."

Taki napis wyczytałem w oknie pewnego domu przy ulicy Koralnickiej we Lwowie. Poszukiwałem właśnie mieszkania, gospodarz mój dotychczasowy, z powodu, że od roku t. j. od czasu wynajęcia mieszkania nie płaciłem mu czynszu, był tak aroganckim, że wymówił mi zajmowany „kawałeczek" pokoju. Gospodarz mój był przy tem wszystkiem bardzo praktycznym człowiekiem. Nie chcąc bowiem narazić się na obmowę, iż mię sądownie na ulicę wyrzuca, dał mi 50 złr., bym się tylko wyprowadził dobrowolnie. Mam bardzo dobre serce i lubię zawsze choćby z własną krzywdą ustąpić. Przystałem tedy na propozycję gospodarza i wziąłem zaraz od niego 25 złr. na rękę. Widzicie państwo zresztą, jaki bezczelny człowiek ten gospodarz! Moją dobroć odpłacił niewiarą i nieufnością, gdyż drugie 25 (złotych a nie kijów), nie dał mi zaraz, ale obiecał dać dopiero po zupełnem opróżnieniu mieszkania. Inny na mojem miejscu obraziłby się i nie dotrzymałby słowa — i ja miałem nawet wielką ochotę, przetraciwszy wzięte 25 złr., pozostać dalej, gdyby nie to, że w kodeksie karnym istnieje pewien bardzo brzydki paragraf, gdzie za tego rodzaju czyn można by dostać się tam, gdzie człowiek może mieć nietylko mieszkanie ale i wikt bezpłatnie; więc tedy chcąc nie chcąc szukałem kawalerskiego pokoju do najęcia.

— Bardzo dobrze — zawołałem, odczytawszy w oknie karteczkę — to w sam raz dla mnie!

Wprawdzie, o ile sobie przypominam, panną nietylko skromną, ale nawet nieskromną nigdy nie byłem, ale za to jestem osobą nieżonatą i o ile mi wiadomo, bezdzietną, a moją „porządność“ będę się starał czynami udowodnić.

Zapukałem tedy w przekonaniu mojej niepodejrzanej kwalifikacji do drzwi, które należały do pokoju, gdzie była kartka umieszczona.

— Proszę wejść! — odezwał się cieniutki głosik ze środka.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem naprzeciw kawiarkę Józię, z którą niegdyś znałem się tak, jak np. Stanisław August z Katarzyną II. Józia zresztą okazała się względem mnie bardzo niewdzięczną, gdyż pewnego dnia uciekła z kawiarni z kapralem od ułanów, i ja od tego dnia musiałem już za kawę, nie tylko białą, ale i czarną płacić.

— Józiu! — zawołałem ucieszony — czy mię oczy nie mylą!! . . . a ty co tu robisz? . , .

— Panie! — zawołała przestraszona — na miłość boską, nie zdradź mię pan, ja tu jestem porządną osobą . . .

— Albo byłaś kiedy nieporządną?

— Ta prawda . . . tylko że ludzie . . .

— Et ludzie! . . . zwyczajnie złe języki . . ,

— Tylko, widzi pan, moja pani jest bardzo świętobliwa osoba, jakby się dowiedziała, że byłam kawiarką, że kochałam pana.

— I przytem miałaś tak dobre serce, że nie tylko bezpłatnie dawałaś mi, z czystej miłości bliźniego, czarną kawę, ale w dodatku także . . .

— Et! . . . Ktoby te czasy wspominał! . . . dawałam co mogłam, bo ot zwyczajnie, wszystko to marność w obec wieczności, jak mówi moja pani.

— Gdybyś była tylko na dwie nie rozkładała porcje, t. j. między mnie i kaprala! Chociaż nie mam do ciebie żalu, wystarczyło i dla mnie i dla niego . . . Bieda tylko, że z nim uciekłaś! . . .

— A cóż proszę pana, kiedy tak ładnie umiał i potrafił mi lepiej zakręcić, niż pan, głowę, więc . . .

— Et! co tam, kręcił jak szewc skórą, bo mu

z tem dobrze było, a chodziło mu głównie o to, ażeby wydusił od ciebie tych kilkaset złotych, które sobie uskładałaś.

— Tak... tak... a jak wydusił, to mię potem w trąbę puścił. Ja od tej pory zawsze mówię: mężczyznie nie wierz jak psu!

— Zwykła to śpiewka! Więc teraz służysz?

— A cóż robić?... służę u mojej pani.

— Któż jest ta twoja pani?

— Pani Świętobliwska, wdowa po obywatelu ziemskim.

— Stara?... młoda?

— O! jak pan ciekawy!... no... ma lat czterdzieści, ale bardzo świętobliwa, chodzi codzień do kościoła....

— Ho... ho... ho...

— Spowiada się co miesiąca...

— Hm... hm... hm...

— Posty nakazane od kościoła świętego zachowuje.

— Fiu... fiu... fiu...

— Codzień wieczór zamyka się w swoim pokoju, gdzie słychać nieraz do drugiej i trzeciej w nocy, jak wzdycha i szepce, zdaje się, że pacierze odmawia... nie otworzy wtenczas, choćby się paliło. Raz nawet zdawało mi się, że słyszę w jej pokoju głos męzki. Myślałam, że się złodziej dobrał... Pukałam do drzwi z całej siły, pani nietylko że nie otworzyła, ale jeszcze mię porządnie wybeształa!

— Słuchajno Józiu, czy twoja pani nie przyjmuje przypadkiem u siebie jakich mężczyzn?

— Także coś!... pani mężczyzny na oczy widzieć nie może.

— No... no... no...

— Raz na przykład...

— Mniejsza o to!... nie chcę żadnego przykładu, wiem wszystko, co chciałem wiedzieć... Więc tu macie pokój do wynajęcia?

— Tak, proszę pana, ale tylko dla porządnej osoby.

— Niby, nie przymierzając takiej, jak ja...

— Ale broń Boże!... gdzieżby...

— No... no... jeżeli ty możesz być u pani Świętobliwskiej pokojówką, to ja mogę być czynszownikiem, ona przecie tylko porządne trzyma pokojówki...

— Ba, kiedy mię tu zarekomendował ksiądz wikary od świętego Mikołaja.

— No, a ja się sam zarekomenduję.

— Kiedy bo pani już dziesięciom odmówiła, nie miała bowiem pewności, czy oni porządni.

— E... e... e... o mnie nabierze od razu pewności, mam bowiem dobre zaświadczenie! No, a teraz Józiu po starej znajomości, uściskajmy się!...

— Ha, cóż robić, niech i tak będzie, tylko nie tu. Chodźmy do pokoju pani... pani wyszła na nieszpory do kościoła a ztamtąd miała pójść po kweście na biednych murzynów afrykańskich... mamy czas...

— Chodźmyż więc!

. . . .

Zagadaliśmy się z Józią, przypomnieliśmy sobie dawne dobre czasy i dłużej jakoś zabawiliśmy się w pokoju jej chlebodawczyni niżli zamierzaliśmy, gdyż niespodziewanie usłyszeliśmy pukanie do drzwi i głos przenikliwy:

— Józiu! — Józiu!... otwieraj!...

— Na miłość Boską! — zawołała przestraszona Józia — to pani! cóż ja zrobię nieszczęśliwa, ja służbę przez pana stracę...

— Ależ cicho! — zawołałem, popychając Józię ku drzwiom, — odwagi, idź i otwieraj, ja schowam się pod łóżko twojej pani, a w nocy cichaczem wyjdę... innej rady nie ma!...

Józia drzwi otworzyła, a był to ostatni czas, bo pani Świętobliwska hrymała w drzwi co siła.

Nie będę szanownemu czytelnikowi opisywał wygody leżenia kilka godzin pod łóżkiem, boć jeżeliś czytelniku był w tem położeniu i uciekał od pokojówki pod łóżko, to wiesz co to znaczy, a jeżeliś nie był, to spróbuj, a przekonasz się...

Otóż leżałem pod łóżkiem, słyszałem i widziłem, jak pani Świętobliwska zrzuciła toaletę wizytową, jak przebrała się w stroik nocny, jak zamknęła na

klucz drzwi ze swojej sypialni prowadzące do dalszych pokojów, jak wreszcie odsunęła zasuwkę od drzwi prowadzących z jej sypialni na korytarz i jak wszedł jakiś mężczyzna do środka...

Od tej chwili nic nie widziałem, nic nie słyszałem.

. . . .

Po odejściu nieznajomego mężczyzny, nie zważając na porę nocną, uważałem za stosowne wyleźć z mego niewygodnego ukrycia i przedstawić się pani Świętobliwskiej. I czy uwierzycie państwo! pani Świętobliwska uznała mię po krótkiej pogadance za osobę „porządną“, wynajęła mi pokój tej nocy jeszcze i objąłem go bezwłocznie w posiadanie, mając ponadto zapewniony pod bardzo korzystnemi warunkami wikt (gdyż nic nie płacę, a jak się opóźnię, czeka na mnie pani Świętobliwska z obiadem), Józia zaś gratis daje mi, jak za dawnych czasów, czarną kawę. —

SZEŚĆ DNI POBYTU W PRADZE.

Szkice piórem i sylwetki z podróży.

I.

Tylu turystów zwidzało już stolicę czeską, tylu opisywało swoje wrażenia z podróży, tyle mamy dokładnych a nawet najdokładniejszych opisów tego, co godne widzenia w „Złotej Pradze“, że chcieć rywalizować z innymi, znaczyłoby to to samo, co sowy wieźć do Aten, lub kropelką nieznaczną usiłować wypełnić koryto Oceanu.

Ponieważ nie mogę być sprawozdawcą dokładnym, będę więc tem, do czego mnie natura usposabia a ciągnie jak wilka do lasu, będę fejletonistą. Kto czytając opisy podróży, chciałby każdy szczegół drobiazgowo mieć wytłumaczony, ten niech mój opis odkłada na bok; komu zaś wystarczą drobniutkie sylwetki z podróży, naszkicowane au vol d'oiseau, temu mogę niemi służyć, niech czyta.

Nie wszystko złoto, co się świeci i dola literacka też nie jest złotą. A jeśli kto chodzi o kulach, to niech mu się nie zachciewa, korzystać z praw, zdrowym ludziom przysługujących. Niech nie zwidza wystaw krajowych, aby zamiast za turystę — nie uważano go za żebraka i intruza. Takie widocznie miał zapatrywania portjer kolejowy w Krakowie, który mimoto — iż punktem zbornym „Koła literackiego" według programu wycieczkowców — miała być sala pierwszej klasy, ztamtąd wcale niegrzecznie wbrew informacjom udzielonym mu, mnie wyprosił. Nie uważałem jednak na jego wezwania nieprzyzwoite, tak samo jak i on na mój protest uważać się nie zdawał, ale okupowałem miejsce mi się należące imieniem prawa mego.

O w pół do pierwszej w nocy z 13go na 14sty Sierpień wyjazd. Po żyźnych i bujnych polach prowadzi droga żelazna, tylko, że się wśród nocy nie wiele ma ochoty, rozglądać po świecie. Natomiast światło dzienne tem więcej budzi ochoty do poglądów a raczej rozglądów przez okiennice wagonu. Co krok to fabryki, warstaty, ślady pracy ludzkiej, ślady energji, z którą człowiek walczyć musiał i skutecznie walczył przeciw żywiołom niesfornym. Wsie i miasteczka wyglądają na miasta, partykularze mają powierzchowność wielkich miast.

Z początku rzadziej, ku końcowi drogi im bardziej zbliżamy się do Pragi, tem silniej, tem intenzywniej mnożą się dowody przychylności Czechów dla współplemieńców Słowian, przybyłych, aby wystawę zwiedzić. W Kolinie witają tłumy włościan i robotników głośnymi okrzykami, powiewaniem chustek i wystawianiem czerwono-białych chorągwi polskich uczestników wycieczki.

Takich demonstracyj nie widzieliśmy w Pradze na dworcu kolejowym, a natomiast szpaler żandarmów i gwardzistów policyjnych, oczekujących obcych gości na dworcu.

Z dworca udano się do hotelu „pod złotym aniołem“ jako do punktu zbornego, zkąd towarzystwo udać się miało na wystawę, powziąwszy poprzednio stosowną uchwałę co do programu dni następnych i posiliwszy się obiadem wcale nie frugalnym.

II.

Umelecka wystawa. Szczególne zajęcie budzi umelecka wystawa, zawierająca jak sam tytuł oznacza — dzieła sztuki. Umieszczona w osobnym pawilonie prawie na samem wejściu od głównego wchodu, wywołuje inponujące wrażenie. Według planu rozpada się ona włącznie westybulu na 11 sal, z których jedna wyłącznie przeznaczona na rzeźby, reszta zaś sal na malowidła olejne, akwarelle, rysunki piórem, kredą, tuszem i t. d.

W westybulu na samym wstępie mieści się obraz świetnie wykonany cesarza jako protektora wystawy. Autorem tego obrazu jest malarz-artysta Lerch. Studjum z natury (nr. 148), przedstawiające staruszkę zgrzybiałą, szczególne wywiera wrażenie wiernością i udatnością rysunku. Na ciemnem tle widnieje głowa staruszki. Włos na poły siwawy, na poły już biały, szczęki wystające, oczy wklęsłe, policzki zapadłe, nos szpiczasty — jakże wiernie przedstawiają nam ten period życia, w którym krzepka jeszcze staruszka przeinacza się na babkę! Jeśli ciemne tło dobrane do tego obrazu, widza zupełnie zadowalnia, to nie możemy jednak tego samego twierdzić o obrazach zanadto ciemnych, prawie czarnych nr. 56 i 120 Liszki i Maxa.

O wiele przyjemniejsze wrażenie wywołuje już rodzajowy obrazek nr. 89 Wojciecha Bartonka, przedstawiający chłopców, wychodzących z kąpieli.

Cały szereg portretów wystawia Żeniszek, z których szczególnie żywo a dodatnio się przedstawiają nr. 102, 103, 106. Grande attraction wystawy stanowi jednak obraz o kolosaluych rozmiarach Brożika,

odznaczony numerem 97m a przedstawiający Husa przed soborem konstancyjskim. Własność to narodu czeskiego, który dumny na swego mistrza, jak Polska na Matejkę. Tłumy ludu od najwyższych do najniższych warstw oglądają bez przerwy wspaniałe to malowidło, wpatrują się z zajęciem w znękaną twarz mistrza, który nową erę stworzył dla kraju a zginął na stosie. Niepospolicie wielki udział, jaki czeska publiczność bierze w wystawie, szczególnie sztuk pięknych (bo widziałem na niej oprócz osób należących do wyższej inteligencji, także osoby z najniższych warstw), tłumaczy nam najlepiej powodzenie tejże wystawy, podczas gdy krakowska pod względem materjalnym tylko fiasko zrobiła. Oby i my uczyli się od Czechów, nietylko frazesami, ale także czynem wspierać co swoje.

W oddziale nr. IV. nieomal takie same wrażenie jak Brożika „Hus przed soborem,“ wywołuje innego mistrza Wacława Sochora „Boże ciało czeskie“, przedstawiające prawie w naturalnej wielkości uczestników procesji, chodzących w zwartym szeregu za procesją. Te postacie klęczące, te grupy dziewczątek w bieli, noszących wieńce kwiatów — z jaką wiernością to wszystko oddane!

Na szarem i smutnem tle przedstawia nam obraz nr. 259 powrót pozbawionych przez okrucieństwo byzantyńskie oczu — Bułgarów. Słońce już uchodzi z horyzontu. Czarne chmury zasłaniają widnokrąg. Wódz, okaleczały na równi z kolegami i wspierający się na kiju, służy za dowódcę ociemniałych zupełnie braci, z których już jeden trupem padł skutkiem unużenia.

Do tego smutnego widoku tworzą kontrast żywy obrazy nr. 252. „Toaleta“ i nr. 255. „Niebezpieczna“, oraz nr. 816. „Nowy uczeń.“ Z akwarell i rysunków główną zwracają na siebie uwagę widoki starsze i nowsze Pragi, z rzeźb nr. 102 i 109 „Szkice fontany“, oraz nr. 36 przedstawiający Ledę z łabędziem.

R e t r o s p e k t y w n a czyli a r c h e o l o g i c z n a w y s t a w a mieści ciekawe starożytności tak druki, jak malowidła, rzeźby, broń starą, obrazy na

szkle i t. d. Najznakomitsze rodziny, muzea, zakłady naukowe i urzędy publiczne przyczyniły się bogatemi datkami do uświetnienia tego oddziału wystawy.

Że wystawa praska tak świetnie, tak ponad wszelkie spodziewania się powiodła, nie dziw. Czesi nie żałowali ofiar na jej zrealizowanie, są dumni z niej a zwiedzają ją tak licznie, że nawet bez napływu obcych gości sami krajowcy potrafiliby łatwo koszta swojej wystawy pokryć. Galicja polska mogłaby przykład wziąć z wytrwałości czeskiej i ruskiej, a lepiej wtedy byłoby może i u nas!

Potwierdza mnie w tem mniemaniu okoliczność, że kolonja polska w Pradze i tak nie bardzo liczna, rozbiła sie w dodatku jeszcze na dwa obozy, na „Ognisko,“ mieszczące w swojem gronie tak zwanych „paniczów“ i liczące raptem aż siedmiu członków, którzy sobie jako rezydencję obrali „Café Slavia“ przy ulicy divadlnej (teatralnej) i na „Klub polski,“ liczący kilkudziesięciu rzemieślników, demokratycznie usposobionych, ale wcale nie uposażonych w dostatki. Rozdwojenie takie szkodzi sprawie polskiej i wywołuje publiczne zgorszenie, „Klub polski“ zaś chcąc coś zrobić dla uboższych swoich współbraci, nie może się obejść bez pomocy Czechów. To też wieczorek, urządzony 15. Sierpnia przez „Klub polski“ za pomocą i współdziałaniem śpiewaka Florjańskiego i panny Towarnickiej na cele dobroczynne, udał się jak najniefortunniej; bo Czechów było na nim mało a Polaków jeszcze mniej. Nie pokryto nawet kosztów urządzenia zabawy, wynoszących 130 złr. mimo wysiłków gości i mimo szlachetnej ofiarności polskiego księdza, który za zwyczajny bukiet, zlicytowany na cele publiczne a wywołany z początku za 90 centów, przeszło 42 złr. ofiarował.

III.

Muzeum przemysłowe Naprstków, ufundowane z wielką hojnością przez czcigodnych właścicieli i położone przy ulicy Betlejemskiej w narożnej kamienicy a mianowicie w dwóch oddziałach, mniejszym i większym, z których mniejszy z frontu

kamienicy w dole umieszczony, zawiera wiele bardzo cennych przedmiotów, godnych oglądania. Nie brak też co chwila gości tak obcych, jak i swoich, którzy ustawicznie przybywają, aby się przypatrywać tym zbiorom, nadzwyczajnie ciekawym.

Są to głównie rzeczy do domowego użytku przeznaczone, jednak nadzwyczajnie ciekawe i pouczające, zwłaszcza przedmioty starożytne. Znachodzą się tam wyroby ze szkła, porcelany, żelaza, drzewa, marmuru. Obraz, przedstawiający Zbawiciela przy ostatniej uczcie, otoczonego gronem apostołów, widocznie bardzo starej daty a zawieszony w pierwszym pokoju muzealnym, zwraca na siebie uwagę niezmierną prymytywnością i sztywnością układu. W innym znowuż kącie izby lew czeski z marmuru wykonany, wspiera się łapami na herbie czeskim.

Druga sala bogata szczególnie w szkła, porcelany oraz wyroby huculskie. Szczególnie ciekawy szklanny puharek, na którym w różnokolorowych barwach wyobrażone są dziesięcioro przykazań bożych.

Większy oddział, do którego się wchodzi przez dwór, mieści parter, pierwsze i drugie piętro. Godny uwagi jest tu grzbiet wieloryba, niemniej też dawne starożytne szafki z malowidłami niezmiernie prymytywnemi. Okazy imitowane rozmaitych owoców i grzybów trujących, umieszczone pod szklannemi gablotkami, służą do objaśnienia wyobrażonych przedmiotów.

Nader bogatą kollekcję prac i wyrobów azjatyckich, afrykańskich i amerykańskich ludów mieści wystawa na pierwszem piętrze. Z tych niepospolicie ciekawe i zajmujące są japońskie, tudzież olbrzymie chińskie wazy, przypominające kształtem swoim stare rzymskie amfory, oraz liście palmowe Indjan z wyrytem na nich za pomocą żelaza pismem.

Drugie piętro mieści okazy sztuki europejskiej, najrozmaitsze wzory przemysłu domowego. Są to rzeczy, któreśmy nieraz i gdzie indziej oglądali, ale nie mniej w obfitości swojej ciekawe.

H r a d c z a n y. Na 195 wschodach stromych przez nieskończenie długi most Karolowy z „Malej strany“ ku górze prowadzi droga do staroświeckiego

i w tyle pamiątek historycznych bogatego zamku Hradczańskiego. Imponująca wielkością swoją jest sala koronacyjna, wystawiona przez Władysława Jagiellończyka, a w której tenże hołdy swoich poddanych przyjmować przywykł. Echo odbija potężnym hukiem słowa burgrabiego, opowiadającego nam dzieje zamierzchłe. Na lewo od sali koronacyjnej mieści się druga z portretami cesarzów począwszy od Marji Teresy a skończywszy na Franciszku II. Na tej samej ścianie mieści się także mocno uszkodzona karta Węgier. O piętro wyżej (drugie z frontu, pierwsze z boku) w południowem skrzydle sala (komnata powiedzielibyśmy raczej), z której okien wyrzucono na murawę cesarskich doradców Martinitza i Slavatę wraz z pisarzem Fabrycym Platterem. Pokoiczek obok, przeznaczony dla pisarzów cesarskich, prędzej podobny do poddasza jakiego, aniżeli do ludzkiego mieszkania. Ławki tu i stoły proste, podłoga z cegły, a cała izdebka jednem zaledwie oknem zaopatrzona. Z okien, z których wyrzucono ministrów cesarskich, przepyszny widok roztacza się na okolicę.

Szesnastego Sierpnia w „Narodnem Divadle“ na cześć „Koła literackiego“ urządzone zostało galowe przedstawienie opery K. Sabiny: „Prodana nevesta.“ Artyści i artystki grali powierzone sobie role z niepospolitą werwą i oklaskom nie było końca. Nie mogę jednak tego rozdziału zakończyć bez karcącej wzmianki o nietaktowności i prawdziwie ulicznikowskim braku wychowania dwóch członków wycieczki. Wierzę wprawdzie, iż byli to członkowie wycieczkowi a nie rzeczywiści członkowie „Koła literackiego.“ Inaczej bowiem musiałbym nadzwyczajnie niskie i wzgardliwe mieć pojęcie o stopniu wykształcenia i wychowania członków galicyjskich „Kół literackich,“ tak krakowskiego, jak i lwowskiego.

Po nocy poprzedniej, spędzonej bez snu na wieczorku „Klubu polskiego“ w Pradze, czułem się mocno znużony. Mimo to załatwiłem prace dzienne według możebności a na noc szedłem na przedstawienie w „Divadle narodowem.“ Jednemu z galicyjskich gości zdawało się ni ztąd ni zowąd, jakobym drzemał. Było to jednak podejrzenie zupełnie nie-

słuszne i nieuzasadnione, gdyż sam wiem najlepiej, co przyzwoitość wymaga. Zgłupiałem formalnie, gdy mi ten miły gość po skończonem przedstawieniu oświadczył, iż dzisiaj wstyd zrobiłem całemu towarzystwu. Pytałem go się: czem? a on mi na to: „Pan spałeś podczas przedstawienia."

Odpowiedziałem mu bez ogródki, iż chyba nie wie, że każdy literat ma już tyle wychowania, aby wiedział, że w publicznych miejscach podczas galowych przedstawień się nie spi, a jeśli nie spałem, jeśli zmęczony byłem poprzednią nocą spędzoną bezsennie na wieczorku na cele dobroczynne, przez „Klub polski" urządzonym; jeśli skutkiem nadzwyczajnego tego unużenia i bezsennej nocy miałem czerwone powieki, to przecież otwartemi oczami patrzałem i patrzę zawsze na świat.

Założyłbym się też o to, że niepowołany mój mentor z pewnością nie był na owym wieczorku dobroczynnym w „Klubie polskim," aby broń Boże reńszczaka nie wydać na biednych rzemieślników, a pragnąłbym gorąco imieniem całego „Koła literackiego," aby ów jegomość nie był literatem; przy takich bowiem literatach literatura zeszłaby na psy.

Po skończonem przedstawieniu galowem, zaproszony przez czeską „Besedę umelecką" na wieczorek, udałem się tamże. Tu znowu drugi członek nierozumniejszy od pierwszego, usiłował wstrzymać mnie uwagą, iż nie powinienem udać się na schadzkę wspólną, albowiem nie jestem w fraku. Tu już cierpliwość moja wyczerpała się do reszty; oświadczyłem mu więc bez ogródki, iż nie mój surdut zaproszony został na zabawę, ale ja; nie widzę przez to przyczyny, odrzucić zaproszenia. W sercu zaś pomyślałem sobie: O jakże nisko spadła literatura, jeśli takie drobiazgi zadecydować mają o wartości człowieka, jeśli zasługa prawdziwa niczem nie jest bez krawatki i fraku a lada fircyk śmie nauki i przestrogi dawać dobrze zasłużonym w około rozwoju literatury krajowej? Czy rzeczywiście towarzystwo literackie ma przyjmować literatów polskich, czy nie przypadkowo jakieś stowarzyszenie krawców schodziło się w lokalnościach „Umeleckiej besedy," aby zawyrokować o dobroci materji i kroju naszych sukien?

I poszedłem bez fraku i bez rękawiczek na wskazane mi miejsce. A powiem na poratowanie honoru Czechów, iż przyjęli mnie oni nader taktownie i uprzejmie, chcąc widocznie wynagrodzić brak wychowania i taktu moich kochanych kompatriotów. Zostałem bez fraku tak dobrze przyjęty jak ci inni w fraku i rękawiczkach, rozmawiałem dłuższy czas z prezesem „Besedy," a nawet na prośbę moją otrzymałem 2 karty wstępu wolnego na wystawę i w dodatku jeszcze, bez prośby obraz cenny na pamiątkę mego pobytu w gościnnych lokalnościach „Besedy."

O frazesowicze i błagiery najrozmaitszych odcieni! Kiedyż raz wyuczycie się, że frazes nie jest patriotyzmu dowodem, a arogancja i etykieta nie upiększają jeszcze braku wychowania? Tam do Pragi spieszcie, gromadźcie się tłumnie; tam od naszych pobratymców Czechów uczcie się, co to znaczy patriotyzm, co to znaczy wychowanie; od nich uczcie się, krzykacze w niezgodzie zostający ze sobą, rozbici na setne obozy, co to łączność i siła i zgoda; od nich uczcie się, co młodszy winien starszemu, co niezasłużony winien prawdziwej zasłudze, a skoro doprowadzicie do tego, że nasze „Koła literackie" galicyjskie liczyć będą po 1600 członków, płacących rocznie po 5 złr. od osoby i mających za te pieniądze opłacony lokal i pisma i niemałej wartości premię artystyczną — wtedy czołem przed wami, bo zdziałaliście wielki cud i zasłużyliście się niepospolicie około rozwoju literatury i oświaty!

IV.

Siedmnastego Sierpnia jako w czwarty dzień mego pobytu w Pradze, po raz drugi byłem na wystawie. Daremne byłyby usiłowania opisywać to wszystko drobiazgowo, co się mimowoli narzuca oczom i w imponującej, światowej swojej wielkości i doskonałości, w przeciągu kilku miesięcy zaledwie dałoby się należycie zbadać i określić, a nie w przeciągu kilku dni!

W pałacu przemysłowym ile przepychu i elegancji, ile życia! Rzemiosła rozmaite, podzielone na

grupy, pod oszklonym dachem pałacu mają siedzibę swoją; tu podpatrujemy robotnika prawie przy robocie. Bogate wystawy książek opowiadają wszystkim, jak gorliwie Czesi wspierają i podtrzymują swoją literaturę; drukarnia à la minute jest w ustawicznym ruchu; wyroby złotnicze wabią wytwornością swoją i przepychem; dla mniej zamożnych wystawił na sprzedaż (po czesku: na prodaj) blacharz Rus swoje puszki, czyli krabice pamiątkowe, kosztujące 10 centów od sztuki.

Fonograf Eddisona funkcjonuje w osobnym pawilonie dla ciekawych. I ja na równi z innymi, zatkałem sobie uszy nowomodnym tym przyrządem i słyszałem jak najwyraźniej muzykę donośną; słyszałem także jakieś słowa urwane, ale te nie obijały się już tak wyraźnie o moje uszy. Chociaż śpiew niepospolicie wydoskonalony został przez wynalazek Eddisona, to nie sądzę jednak, aby głos ludzki skutecznie mógłby nim być zastępowany. Zawsze bowiem w słowach wypowiedzianych przez fonograf, czuć coś twardego i niemiłego, co niepospolicie razi delikatniejsze uszy, a działa na skroń męcząco.

Wieczorem już fontana elektryczna promieniem świateł obrzuca wszystko dokoła, illuminacja oświetla pałac przemysłowy jako w przeddzień imienin monarszych, a w nocy ścisk i tłok, że trudno się do domu dostać.

V.

Ośmnasty Sierpień jako piąty dzień mego pobytu tutaj, poświęcony przezemnie został na odwiedziny u krewnych, znajomych i kolegów.

Z tych ostatnich na pierwszym rzędzie stawiam znanego i poza obrębem monarchii austrjackiej literata S. Kohna.

S. Kohn (właściwie Salamon Kohn) urodził się w Pradze 1825. Z zawodu był kupcem a to nawet bardzo zamożnym. Na krachu wiedeńskim stracił miljon. To zmusiło go, rzucić się na inne pole, na pole literatury. Giełda straciła członka, o którego

zastępstwo jej może nie trudno, literatura natomiast zdobyła siłę pierwszorzędną.

Cenić musimy przedewszystkiem w Kohnie pojednawcze i dobre chęci: nie należy on do religijnych fanatyków, nie widzących poza obrębem religji nic a prześladujących z zaciekłością każdego innowiercę. Nie należy też do podszczuwaczy à la Francos i Sacher-Masoch, ale widzi także w innoplemieńcu dobre strony. Przy tem ma dar łatwego i miłego opowiadania. Jego powieści historyczne i obyczajowe, wzięte przeważnie z życia żydowskiego, przetłumaczone zostały niemal na wszystkie żyjące języki. Szczególnie słyną z wdzięku opowiadania i stylu jego „Gabriel,“ przepyszna powieść historyczna z czasów trzydziestoletniej wojny i „Zwierciadło czasów obecnych“ (Ein Spiegel der Gegenwart), w którem jako rzeczoznawca w mistrzowski sposób oddaje to życie na giełdzie, tę szaloną i febryczną gonitwę za zarobkiem i honor kupiecki przeciwstawiony takzwanemu honorowi magnackiemu, polegającemu w rzeczywistości tylko na bladze.

S. Kohn żonaty, ale bezdzietny. Nie ma w swojem otoczeniu jak to mówią ani brata, ani swata, bo nie ma nawet krewnych żadnych. Widocznie, że mu towarzystwo żony, bardzo miłej i rozsądnej staruszki wystarcza za wszystko inne. Byłem u niego w skromnem jego mieszkaniu przy ulicy Tyńskiej (Theingasse Nr. 17.), na drugiem piętrze położonem. Spędziłem w jego towarzystwie kilka godzin nadzwyczajnie pouczających i miłych, kilka godzin, które nigdy nie wyjdą z mojej pamięci i starczyć mi będą na wieki.

Od tego zasłużonego a przytem tak niepospolicie skromnego starca-literata ile by się mogło wyuczyć nasze młodsze a nawet i starsze pokolenie literackie! Co za wzór dla wszystkich wstępujących dopiero w karjerę literacką a z których niejeden nos do góry zadziera, jak gdyby był conajmniej drugim jakimś Mickiewiczem lub Krasińskim!

Jakby on zawstydził takich smarkatych literatów i pseudo-literatów na kształt mego interlokutora w „Divadle narodowem!“ Z największą uprzejmością towarzyszył mi Kohn jeszcze do starej żydowskiej

synagogi, istniejącej, jak podanie niesie, przeszło 1300 lat a wyglądającej imponująco w prostocie swojej. Cmentarza żydowskiego nie mogłem już oglądać, gdyż w popołudniową godzinę funkcjonarjusze kancelaryjni nie urzędują. Natomiast byłem jeszcze w zakładzie cynkograficznym Huśnika i Haüslera w Królewskich Winogradach, gdzie mi pomocnik artystyczny sposób reprodukcji cynkograficznej objaśnić się starał. Huśnik stary jest wynalazcą systemu, za pomocą którego bezpośrednie zdjęcie kliszów stało się możebnem. Na starość przyjął swego zięcia Häuslera na pomocnika. Z skromnych początków doprowadził przedsięwzięcie swoje do olbrzymich rozmiarów, a teraz jest on sobie, jak to mówią — panem całą gębą, najlepszy dowód, jak daleko energja z pracowitością i rozumem praktycznym połączone, doprowadzić mogą. Cynkografia taniością i udatnością swoją z dnia na dzień ruguje wszystkie inne rodzaje reprodukcji illustracyjnej: drzeworyt, miedzioryt, litografię. W Pradze we wszystkich dziełach illustrowanych cynkografia główną odgrywa rolę; toż samo w Cieszynie. Wiedeń zasila się cynkografiami, w Warszawie również wchodzą w modę. Niemcy, Anglja i Francja nie korzystają jeszcze dotąd bardzo z tego wynalazku, ale i tam niebawem poznać się na tem będą musieli, co dobre, piękne a praktyczne. Na jednem polu dotąd cynkografia nie może się poszczycić wielkiemi rezultatami a mianowicie na polu kolorowej illustracji czyli chromolitografii; ale nadzieja jeszcze nie wykluczona, że nowy jakiś a ulepszający wynalazek na nowe tory popchnie sztukę cynkograficzną a wtedy ona będzie wszechwładną nietylko na polu rysunków, ale także na polu malarstwa.

Wieczorem dochodzi mnie wieść, że rosyjski patriota przybył na wystawę, aby zachwycić słuchaczów cudnemi dźwiękami swojej pieśni narodowej: „Boże! carja chranji!“, ale że mu policja dała bardzo wyraźne wskazówki, aby się za zdrowie cara modlił w Petersburgu albo w Moskwie, a nie tutaj. I dobrze zrobiła! My nie potrzebujemy w państwie konstytucyjnem zwolenników absolutyzmu i knuta a za zdrowie

naszego cara czyli raczej cesarza austrjackiego niech się modlą jego poddani. Interwencja Moskwy zupełnie tutaj zbyteczna.

VI.

NA WYSTAWIE.*)

Z upadku podźwignął się naród;
Z snu śmierci powstawszy, z mogiły,
Wydobył on z siebie znów siły,
By złego wytępić zły zaród.
Historja znaczyła swe ślady
W twych dziejach, o Prago, o złota!
Gdzie Husa cień krwawy i blady
Wolności otwiera ci wrota;
Gdzie krew męczenników się lała
Strumieniem dla wyższej idei;
Gdzie Góra czerwieni się Biała
Strumieniem krwi w burzach zawiei!
I padła myśl, padła zbawienna
W narodu czeskiego znów serce;
By płomień rozbudzić w iskierce,
Pracować trza, praca to cenna!
I trzeba łączności i siły
I zgody i myśli potęgi,
Nauki z historyi księgi,
By naród obudzić z mogiły!
Nauka ta w myśli i w pracy;
Bo praca podźwignie i wzniesie,
Bo praca postawi na kresie,
Gdzie wolno myśl buja jak ptacy!
Myśl padła jak ziarno, jak plonne**),
W głąb serca czeskiego narodu;

---

*) Wiersz niniejszy, zaimprowizowany 19. Sierpnia 1891 na wystawie czeskiej, zapisałem w album „Umieleckiej Besedy“ w Pradze na życzenie Towarzystwa.

**) Plonne czy raczej plenne, z źródłosłowia plon zaczerpnięty wyraz — używam w zastępstwie wyrazów: bujne, urodzajne. Dla większej poetyczności i dźwięku ukułem na złość purystom rzeczony wyraz.

Kwiat z myśli wybujał ogrodu:
Wystawa, to kwiecie jej wonne!
Dziś gdyby na festyn ludowy,
Dziś gdyby do Mekki oświaty,
Lud dąży, by waszej budowy
Podziwiać owoce i kwiaty!
Wy głosem tej pracy usilnej
I tej ofiarności bez granic,
Dajecie nam przykład, że za nic
Dźwięk słowa bez pracy, bez pilnej.
Ten głos wasz leniwych niech smaga,
Niech budzi do czynu, do pracy,
Niech od was się uczą Polacy,
Że patriotyzm — nie blaga!
A pieśni tej dźwięk niech nie zginie,
Na którą się zdobył dziś ziomek,
Co chował się w polskiej krainie,
Lecz czeskich rodziców potomek!*)

VII.

Dzień 19. Sierpnia znowu rozpoczynam świeżym, choć pobieżnym tylko przeglądem wystawy. Uwagi godny pawilon Ignacego Fuchsa synów. Znana to firma, trudniąca się produkcją papieru, czcionek, introligatorskich, litograficznych i drukarskich wyrobów. Na samem wejściu do pawilonu zwraca na siebie uwagę publiczną pyramida, złożona z papierów najrozmaitszych a ważąca według napisu 24.124 kilo. Sam założyciel firmy światowej, p. Ignacy Fuchs, którego portret w złotych ramkach w jednem skrzydle pawilonu pomieszczono, nie żyje już; ale synowie Robert i Artur prowadzą interes ojca dalej. Jest to coś nakształt małej wystawy artystyczno-naukowej. Widzimy bowiem na niej nietylko maszynę drukarską, motor gazowy, wyroby papieru zacząwszy od

---

*) Mój dziadek Salamon Kohn urodzony w Worliku w Czeszech, mój ojciec Abraham Kohn († 1848 we Lwowie zatruty) pochodzi z Załużan w Młodobolesławskim powiecie, mój stryj Bernard Kohn, fabrykant fortepianów, służył w r. 1848 w czeskiej gwardji narodowej.

szmat a skończywszy na wydoskonalonym już papierze, czcionki, płyty litograficzne i t. d., ale także najrozmaitsze i najpiękniejsze obrazy, portrety, drogą litograficzną wykonane, książki bogato oprawne i mnóstwo podobnych, w zakres sztuki reprodukcyjnej wpadających rzeczy.

Młynarzy czescy w osobnym pawilonie urządzili sobie wystawę wspólną wyrobów młynarskich: w słoikach ozdobnych widzimy tu umieszczone próby rozmaitych gatunków mąki, na ścianach zaś widnieją fotografie pierwszorzędnych młynów czeskich; ale co najciekawsze, to wystawa starożytnicza, umieszczona w dwóch gablotkach pod szkłem a zawierająca staroświeckie zamki i klucze młynarskie z 16go stulecia, oraz księgi cechowe młynarskie, według których cechom młynarskim przysłużyło prawo, wykonywać w obrębie swoim jurysdykcję karną, zupełnie niezależnie od sądów świeckich.

W pawilonie, poświęconym gospodarstwu krajowemu, cukiernicy i fabrykanci likierów dali sobie formalne rendez-vous. Nie brak jednak i rzeczy, mających głębsze znaczenie i służących do objaśnienia gospodarstwa krajowego, sadownictwa, piwowarstwa, uprawy chmielu, jedwabnictwa, optyki, mineralogii i t. d.

Że i magnaci czescy się nie odłączają od współudziału w wystawie, dowodem tego pawilon księcia Hanau, mieszczący najrozmaitsze wyroby i odlewy z żelaza. Widzimy tu amfory, świeczniki, lwa spoczywającego i opierającego się na łapach przednich, rozmaite biusty, medale i t. d. Pawilon ten jest do sprzedania.

Osobny pawilon poświęcony industrji żelaznej: widzimy tu najrozmaitsze wyroby z żelaza jakoto: płyty z blachy żelaznej, kosy, piły i t. d.

Hrabia Czernin (właściciel zamku i miasta Neuhaus, po czesku: Jindrzichowy Hradec) wystawił okazy wystawowe w osobnym pawilonie a figuruje jako wystawca rozmaitych osobliwości, odnoszących się do dziejów tegoż miasta. Jest tam między innemi historja miasta, po niemiecku i po czesku napisana, akta i fascykuły miejskie z 18-go stulecia, widok

zamku z drzewa wykonany, zakrwawiony kołnierz Slavaty i t. d.

Aby przy nauce nie brakowało także rozrywki, urządza przedsiębiorczy antrprener przedstawienia z 4ma tresowanemi lwami i psem: zwierzęta gonią się, przeskakują jedno ponad drugie, wspinają się po deskach, kierują samoistnie welocypedami, to znowu antrprener zaprzęgą bestje do swego wozu tryumfalnego, dając się niemi powozić i t. d.

Na podobieństwo innych i Vilimek w osobnym pawilonie urządził fabrykę drukarską, wykonywującą na zamówienie ręczne prace. Tu każdy gość za dopłatą 40 ct. za 50 sztuk, może samoistnie na kartce wizytowej imię swoje wydrukować.

Nie mogę tego opisu zamknąć, nie uczyniwszy bodaj pobieżnej wzmianki o czeskiej chałupie, która jak na chałupę jest dosyć przestronną i nie opisawszy potężnego wrażenia, jakie wywarły na mnie gromady biednych czeskich uczennic, oprowadzanych przez nauczycielki po placu wystawy, aby się młodociane umysły wcześnie poiły znaczeniem pracy swoich ziomków, znaczeniem pracy w ogóle. Tym gromadom biednych uczniów i uczennic, nauczycieli i nauczycielek, żołnierzy a nawet i sług jedynie ofiarność bogatszych umożebnia pobyt na wystawie. Oni to przyczyniają się olbrzymiemi sumami do umożebnienia budowy pomników zasłużonym swoim mężom, oni to jak wiadomo biedniejszych ziomków z dalekich nawet stron sprowadzają do kraju. To też zdawało mi się, jakobym był w świątyni jakiejś podczas pochodu dziatwy szkolnej po wystawie, a ręce złożyły się mimowolnie do niemej modlitwy do Tego, który jest Wszechtwórcą wszelkiego dobra i piękna!

Praga, 19. Sierpnia 1891.

G. Kohn.

WYWŁASZCZENIE.

(Z WINIETĄ.)

Obrazek szwajcarski,

napisał

G. B. Szwab[1]).

Mojej żoneczce poświęcam.



Żarzącem lśnią światłem zamkowe komnaty.
— Pan Krzysztof z Ramsztadtu, ten chwat ponad
[chwaty,
Raz jeszcze ucztuje na zamku wśród gości,
A jutro sprzedadzą mu zamek i włości.
Przodkowie tracili, nie jego to wina.
Co sam nie zawinił, on rad zapomina.
Rad idzie w złą dolę, swój żal topi wprzód,
I kończy tak lekko, jak lekkim był ród.

Lecz że on tak śmiało włość przodków porzuci,
Że żal mu ochoty do szczęścia nie skłóci,
To sprawia, że wiedzie go z ojców komnaty,
Jak anioł żoneczka, do wiejskiej znów chaty.

Nie wyrzut ocienia bławaty jej oczu,
Więc jemu nadzieja lśni w ócz tych przeźroczu.
Ni łzy też boleści lic pięknych nie roszą
I żalu westchnienia jej pierś nie unoszą.
On skarb swój ocalił, choć los padł w okruchy.
Słomianą dziś pościel rad zmienił za puchy,
Zaś rankiem ochoczo, nie tracąc nadziei,
Pospieszył przed rajców, przed sąd w Bazylei.

I zamek i dobra, na kraj pierwsze prawie,
On dawno tym panom zapisał w zastawie.
W baretach i kryzach tam siedzą wśród pychy,
Zaś rycerz stał przed nie pokorny i cichy,
A przecież w swem sercu spokojnem niezgięty —
Toż z żartem i śmiechem wnet targ jest dopięty.
Aż w końcu on rzecze: Panowie mościwi!
Dodajcie mi jedno, niech was to nie dziwi.

Błyszczące talary, te jestem ja winny,
I złote guldeny zabiera kto inny,
Lecz w waszych kramnicach, bogactwa jest rój,
A więc adamaszku darujcie mi zwój!
Nie pragnę dla siebie jedwabiu ni złota.
Przystroić małżonkę, toż cała ochota.
Bo ona jak anioł! — Czyż mogę niebiankę
Tak zacną i piękną — przyodziać w płótniankę?

Tą prośbą wzruszeni sędziowie surowi,
Zaś zacni mieszczanie do ofiar gotowi,
Najcięższą wnet sztukę zdjąć każą z policy
I sutą szyć suknię u krawca w stolicy,
A suknia się zdała dla jego małżonki,
Że ją na urocze jakby ulał członki.
— I wiedzie ją strojną pod niski swój dach,
Tak dumnie, jak żeby w książęcy szedł gmach.

*
* *

On orze i śpiewa, a ona nić snuje,
A ona się śmieje, a on ją całuje.
Choć niknie z lic krasa, szarzeje się szata,
Lecz dola ich w miłość i spokój bogata.

1891, 9. Czerwca.

Zygmunt Ludomir.

---

[1]) Gustaw Benjamin Szwab, celniejszy pisarz niemiecki, urodzony w Sztutgardzie 19. Czerwca 1792, kończył filozofię i teologję w Tübingen, został profesorem gimnazjalnym w Sztutgardzie, później proboszczem w okolicy tego miasta, zaś 1841. proboszczem w rodzinnem swem mieście. Otrzymawszy stopień doktora na uniwersytecie w Tübingen, został mianowany starszym konsystorjalnym i szkolnym radcą. Zmarł w Sztutgardzie 3. Listopada 1850. Znakomitsze jego prace są: „Życie Szyllera, Wojna w Appencell, Baśnie starożytności,“ a także przełożył sonety Mickiewicza.

Wywdzięczając się za ten przekład, przełożyłem niniejszy obrazek, zatytułowany w oryginale: „Der Gant,“ który to prowincjonalny wyraz dosłownie licytację oznacza.

Któżby bez danego tu objaśnienia domyślił się, że obrazek ten, sławiący kochającą małżonkę i czarujący wdzięk niewieści, wyszedł z pod pióra — pastora! Żywe to uczucie księdza dla zalet niewieścich, czyż nie przypomina nam z „Dziadów“ Mickiewicza onego współczującego księdza (unickiego), który kojąc rozpacz Gustawa nad stratą kochanki, powiada:

— Ach, i moja wspólniczka szczęścia i niedoli,
Małżonka moja, którą kochałem tak szczerze!... (umarła.)

Szczęśliwe ludy, których kapłani nie są zmuszeni żyć w stanie bezżenności! Bo tylko w szczęśliwem małżeństwie żyjący, odczuwając błogosławieństwo małżeństwa, mogą być dobrymi i zaufanymi poradnikami mniej szczęśliwych małżonków i kochanków. *Z. Ludomir.*

SZCZEPAN DZIERŻBA,

opowiadanie na tle historycznem.

(Żonie swej poświęca autor.)

I.

Działo się to za panowania Zygmunta Starego w r. 1514. Właśnie od niedawna zaczęły się rozchodzić zrazu głuche, później coraz wyraźniejsze wieści o postępach wojsk moskiewskich w północno-wschodnich dzierżawach polskich. Nagle rozległa się wieść, że Smoleńsk po dzielnej obronie poddał się Moskwie z końcem Lipca. Wiadomość ta przeraziła wszystkich, tem więcej, gdy z drugiej strony nieustanne krążyły pogłoski o nieprzyjaznych Polsce machinacjach cesarza Maksymiliana, który też w istocie nie przestawał nad tem pracować, aby Polsce jak najwięcej przysporzyć nieprzyjaciół.

Wiadomość ta doszła także do Kamieńca, którego właścicielem podówczas był Marcin Kamieniecki, wojewoda podolski. Wojewoda bawił po ten czas w domu. Wiadomość, jaką otrzymał, była tem pewniejsza, że mu ją przysłał brat Mikołaj Kamieniecki, wojewoda krakowski i hetman koronny, któremu król, zmuszony na Litwie staczać boje, polecił czuwanie nad bezpieczeństwem ziem koronnych. Przysełając tę wiadomość do Kamieńca wzywał zarazem Mikołaj brata, aby zebrał ochotników tak z włości, jak i z zaścianków i przystawił mu ich do Krakowa dla wyćwiczenia i wysłania w razie potrzeby na teatr wojny.

W czasie, kiedy skarb publiczny był pusty a podatki nowe już i tak ogromnie ciężyły na ludności, uważał hetman za stosowne, aby zamożniejsi obywatele, którzy i tak najwięcej dobrego od Rzeczypospolitej doznają, dopomagali sprawie publicznej ze swej prywatnej szkatuły. Postanowił tedy własnym kosztem uzbroić oddział lekkiej jazdy i posłać go na Litwę królowi. Ta sama myśl powstała i u innych panów polskich. Mikołaj Kamieniecki wysłał właśnie w tej sprawie — jak już wyżej wspomniano — posłańca do swego rodzinnego gniazda.

Pójdźmy za nim oglądać także to dziedzictwo Kamienieckich.

W uroczej okolicy podgórza karpackiego na odnodze Bieszczadu położone jest gniazdo rodziny, która w swoim czasie wielkie przysługi ojczyznie oddała. Pomiędzy wstęgami dwóch rzek Lubatówki i Wisłoka, na wzgórzu osiadło schludne miasto Krosno, opasane murem i utwierdzone basztami, z kolegiatą i wspaniałą w gotyckim stylu zbudowaną świątynią, której wieżyce sterczące blaszanemi kopułami w niebo, wskazują strudzonemu pielgrzymowi tej ziemi, gdzie jego schron i ukojenie prawdziwe. Od tego to miasta w stronie północno-zachodniej wznosi się wśród lasów na górze prawie niedostępnej i odosobnionej, okolony ogrodami i winnicą zamek olbrzymi niby wyrosły z tych ciosów samorodnych, które stanowią jego podstawę. Zabytek to starej i chlubnej naszej przeszłości z czasów gospodarki owego niezrównanego gospodarza Piastowskiego, zaszczytnie nazwanego królem chłopków.

Do tego zamku zbliża się poselstwo pana wojewody krakowskiego. Strażnik z wysokiej kamiennej wedety dał znak, że obcy ludzie przyjeżdżają do zamku. Na ten znak stojący w pogotowiu oddział straży wyszedł naprzeciw przybyszów i wziął ich między siebie. Tak pod eskortą przybyli do zamku.

Po zwodzonym moście weszli do wnętrza, konie ich oddano służbie a ich zaprowadzono do burgrabiego. Tu dowiedziano się, że jeden z nich jest poufnym pana wojewody krakowskiego, drugi zaś sługą tegoż. Po sprawdzeniu tego przyrzekł burgrabia po-

słowi przedstawić go natychmiast panu wojewodzie podolskiemu. Posłuchanie odbyło się z powodu ważności sprawy rzeczywiście niezadługo. Pan wojewoda podolski przyklasnął myśli brata Mikołaja i ze swej strony także postanowił wystawić chorągiew lekkiej jazdy. Na drugi dzień zaraz wysłał ludzi po siołach i zaściankach, aby zbierali ochotników a gościa zatrzymał u siebie na tak długo, aż ochotnicy się zbiorą.

I rzeczywiście nie długo trzeba było czekać. Wnet stanęli ochotnicy w potrzebnej liczbie, których poufny pana wojewody krakowskiego miał odprowadzić do Krakowa.

Pomiędzy nimi znajdował się także niejaki Szczepan Dzierżba, będący dotychczas w zamku dowódcą straży. Jak każdy góral był on smukłego wzrostu, silnie zbudowany, szatyn, owalnej twarzy, orlego nosa, proporcjonalnych ust; na górnej wardze zaczął się mu siać już gęsty wąsik. Przytem była to poczciwa dusza i szlachetnemi ożywiona uczuciami. O swem pochodzeniu nie wiedział nic zgoła, tylko tyle, że wychował się w zamku a rodzice jego pomarli i że nie jest szlachcicem.

Gdy się młodzieniec dowiedział, po co wysłańcy z Krakowa przybyli, sam się zgłosił natychmiast u burgrabiego oświadczając, że się chce zaciągnąć do ochotników. Burgrabia nie rad był pozbawić się porządnego człowieka, który dość ważną pełnił w zamku służbę, jednak wzgląd na dobro publiczne przeważył prywatę i burgrabia zezwolił Stefanowi przyłączyć się do ochotników. Nie miał też nic przeciw temu sam pan wojewoda podolski.

Nadszedł dzień wyjazdu. Nie był on jednak tak upragniony dla Stefana, jakby się zdawać mogło. Wcale nie, albowiem w zamku pozostawił on bogdankę, córkę burgrabiego. Oboje kochali się bardzo, a panna za nim w ogień by wskoczyła. Bo też Stefan zasługiwał na gorącą miłość nietylko swą urodą, ale i przedmiotami ducha. Szlachetny już z natury i zdolny, pracował jeszcze nad swem uszlachetnieniem i wykształceniem. Od zamkowego kapelana nauczył się pierwszych podstaw wiedzy a z tem już kroczył

sam naprzód ucząc się w wolnych chwilach. Burgrabia pan Bartłomiej Pilecki i córka jego Magdusia także byli lubownikami pisma; to też nieraz na wspólnem czytaniu upływały im przyjemne godziny. Młodzi pokochali się, lecz jakżeż to powiedzieć ojcu? Cóżby na to powiedział ojciec, szlachcic i potomek starej choć podupadłej rodziny? Lepiej było zamilczeć, a sprawę tę powierzyć miłościwemu rozwiązaniu przez tego dobrego Ojca, który z wysokiego nieba sprawami naszemi kieruje. I tak się też stało. Oboje nic nikomu o swem przywiązaniu nie mówili, zdali się na Opatrzność boską. Gdy więc nadeszła wiadomość od pana wojewody krakowskiego o wzięciu Smoleńska, o postępach wojsk moskiewskich w północnowschodnich krajach Polski i wezwanie do zbierania ochotników, nie dziw, że pierwszy, który się zgłosił, był Stefan. W walce za Ojczyznę spodziewał się odznaczyć i przy pomocy pana wojewody krakowskiego uzyskać szlachectwo. To była główna pobudka, która go pchnęła do opuszczenia zamku, do pożegnania bogdanki i wyruszenia w świat szeroki. Od niej to wziął szkaplerz na pamiątkę, pożegnał ją i pojechał. Jeszcze długo po odjeździe ochotników widziałeś wiotką postać młodej, pięknej dziewicy ze smutną twarzą, jak z piątrowego okna zamku spoglądała w dal i powiewała białą chustką.

Dziś przez to samo gotyckie okno w ruinach Kamieńca przechyla się biała brzoza i zda się płakać po minionej sławie Polski.

II.

Przybyli ochotnicy do Krakowa. Pan wojewoda przyjął ich z wielką radością i kazał ćwiczyć w obrotach wojskowych. Sam rycerz zawołany cieszył się, że w rodzinnych jego stronach znalazło się tylu zuchów, którzy na głos sprawy publicznej powstali i gotowi byli krew przelać. Od pierwszego zaraz poznania upodobał sobie Stefana, tem bardziej, że był wychowankiem brata i spodziewał się po nim dobrego żołnierza. I rzeczywiście robił Stefan w tym względzie postępy.

Już oddziały były wyćwiczone i gotowe do wymarszu. Dzień takowego już wyznaczono. Wtem nadeszła wiadomość, że Moskwa pod Orszą (8. Września) przez Konstantego Ostrogskiego i Świerczowskiego pomimo przeważnych sił została zniesiona do szczętu a naszym dostały się znaczne łupy. Car bawiący w Smoleńsku zemknął i odtąd nie zrywa się do oręża. Sądził więc hetman, że nie ma obecnie tak gwałtownej potrzeby wysełać nowo zebranych ochotników na Litwę i zostawił ich w Krakowie.

Mając więcej wolnego czasu oddawał się tu znowu Stefan naukom, zwłaszcza że na dworze hetmana znalazł bardzo uczonego i życzliwego kapłana, który mu je ułatwiał. Tu posiadł on znakomicie język łaciński, który był wówczas kluczem do pozyskania wiedzy. Przedewszystkiem zaś rozmiłował się w naukach przyrodniczych i co tylko mu przystępne było z tej gałęzi wiedzy, to czytał, studjował, uczył się na pamięć. Poznając bliżej te nauki zapragnął ich zastosowania i oto jako najpiękniejszy ze wszystkich przedstawił mu się zawód lekarza jako powołanie. Kapłan, który był jego nauczycielem, utwierdzał go w tej myśli radą i zachętą i wyjednał mu u hetmana pozwolenie i pomoc, aby się mógł tym naukom bez przeszkody oddawać. Zapisał się więc Stefan na wszechnicę jagiellońską i oddawał się naukom lekarskim z powodzeniem i zadowoleniem swych mistrzów. Lecz los, który mu dotąd sprzyjał, nagle obrócił w inną stronę swą chorągiewkę.

Pomiędzy kolegami Stefana znajdowało się kilku dumnych paniczów choć z podupadłych rodzin pochodzących, którzy dowiedziawszy się o jego pochodzeniu, z początku zaczęli go tylko lekko traktować, później jednak przybrała ta ich niechęć ku niemu formę zaczepki a nawet obelg. Długo znosił Stefan cierpliwie te wszystkie upokorzenia, aż razu pewnego przywiedziony do ostateczności, wyciął taki policzek jednemu z zaczepników, że tenże padł krwią zbroczony i podczas gdy towarzysze go cucili, Stefan umknął.

Cóż teraz było robić? Właśnie niedawno w r. 1515. umarł hetman ustanowiony przez króla Zygmunta wiceregensem na czas, gdy tenże bawił na

kongresie wiedeńskim. Nie miał więc Stefan liczyć w Krakowie na niczyją pomoc zwłaszcza, że i ksiądz mentor jego potępił go za ten czyn porywczości. Ponieważ go jednak lubił, dostarczył mu środków i radził uciekać.

— Ty jesteś lubownikiem nauki — mówił do niego; w klasycznych Włoszech lub dalekiej Francji znajdziesz dla siebie źródło wiedzy. W oddaleniu od kraju, w skupieniu ducha i ciężkiej pracy zmyjesz plamę, którąś na siebie swym brutalnym czynem ściągnął — i gdy tu znów przyozdobiony wiedzą i sławą wrócisz, może i mnie jeszcze sztuką swą dopomożesz. Masz tu zapas pieniędzy, na jakie się mogę teraz dla ciebie zdobyć; uciekaj ztąd i pracuj. Gdy się dorobisz majątku, to mi je zwrócisz, jeśli żyć będę; jeżeli nie, oddasz je innemu biedakowi pod tym samym warunkiem, jak ja tobie.

Ze łzami w oczach ucałował Stefan ojcowską rękę księdza i ruszył w świat. Ale przedtem jeszcze zwierzył mu się ze swą tajemnicą sercową i zostawił list dla swej bogdanki. Ksiądz, który nie od młokosich lat zaraz wdział na siebie sutanę, znał dobrze i pojmował dobrze te sprawy, z któremi mu się Stefan zwierzył. Przyrzekł mu też, że przy najbliższej i najlepszej sposobności nie omieszka wręczyć Magdusi listu. Pożegnali się i nad samym wieczorem niespostrzeżenie z tłumokiem na plecach opuścił Stefan Kraków zdążając drogą prowadzącą ku Szlązkowi.

Wybrał się w podróż a sam jeszcze nie wiedział, dokąd miał iść. Możeby jeszcze zajść do Kamieńca? Ale pocóż tam miał wracać nic jeszcze nie zdziaławszy, niczego nie osiągnąwszy? W ten sposób oddaliłby się tylko od swojego celu. Zaniechał więc zamiaru udania się do Kamieńca.

Wyszedłszy za miasto wstąpił do gospody, aby się pokrzepić trunkiem i odetchnąwszy nieco iść w dalszą drogę za granicę kraju.

Nie domyślał się biedny, że o jakie dwieście kroków postępował za nim człowiek ogromny, muszkularny i zbójeckiego spojrzenia, który mu bez przerwy od mieszkania księdza aż do gospody towarzyszył. A za nim nieco dalej jechało konno kilku

ludzi. Gdy Stefan wszedł do gospody, ów barczysty piechur świsnął, jezdni przyśpieszyli biegu i wnet gospoda była otoczona. Była to, jak się łatwo domyślicie, pogoń za Stefanem urządzona przez obrażonego szlachcica. Ale ta się nie udała. Zaraz po owym świście instynktem nieszczęśliwego a niewinnego człowieka przeczuwający niebezpieczeństwo Stefan wymknął się tylnemi maskowanemi drzwiami z gospody i biegnąc szybko wpadł w rosnące tuż za gospodą zarośla, zkąd do sąsiednich lasów łatwo już było mu się dostać.

Pogoń splondrowawszy gospodę i nie znalazłszy nikogo, wywarła swą złość na szynkarzu i groziła mu jeszcze surowszą karą za to, że przechowuje u siebie złoczyńców i dopomaga im do ucieczki.

III.

Co się tymczasem dzieje w Kamieńcu? Już od dawna wyglądała Magdusia jakiejś wieści o Stefanie, lecz wszystkie jej oczekiwania były nadaremne. Wprawdzie ówcześni ludzie lepiej umieli czekać niż my żyjący w epoce kolei żelaznych, telegrafów i telefonów, ale z tem wszystkiem przyznać trzeba, że Magdusia już długo czekała. To też nieraz przyszła jej do głowy smutna myśl, że Stefan poległ gdzie w boju, a wtedy serce kochającej dziewicy na samą tę myśl krajało się z żalu. Kiedy indziej znów sen przyniósł jej jakąś lepszą wróżbę i ukoił zatrwożone serce. Ale cóż z tego wszystkiego, kiedy nie miała o Stefanie żadnej wiadomości pewnej. Upłynął tak jeden, drugi i trzeci rok — a o nim ani wieści. Czy może o niej zapomniał, może sobie znalazł piękniejszą, lepszą i bardziej go kochającą? Nie, to być nie może, odzywał się głos w jej sercu, jemu z oczu nie patrzała zmienność uczuć, a już odemnie żadna kobieta bardziej kochać go nie może.

Tymczasem lata upływały i konkurenci koło pięknej panny, wykształconej, dobrego serca i starego rodu coraz więcej zaczęli się kręcić. Ona jednak wywijała się jak mogła z sieci. Lecz w r. 1518. nareszcie i ojciec zaczął na nią nalegać, aby nie przebierała,

bo inaczej przykrego starego panieństwa się doczeka. Cóż było robić? Ojciec tak przekonywująco przemawiał, niepewność o losie Stefana tak była wielka, że już nie wiele brakło do zaręczyn Magdusi z szlachcicem okolicznym, średniego wieku i mienia, który ją sobie upatrzył i gwałtem pragnął uszczęśliwić.

Właśnie niedługo przedtem umarł kapelan zamkowy, poczciwy pierwszy nauczyciel Stefana. Komuż nadać opróżnioną kapelanią? Przypomniał sobie wtedy wojewoda podolski o zacnym i nowym kapelanie swego brata Mikołaja, który po tegoż śmierci został w Krakowie i tam mieszkał. Po niego więc wysłał teraz wojewoda wysłańca do Krakowa. Gdy tenże stawił się przed poczciwym księdzem i oznajmił powód przybycia, ksiądz choć mu w niesmak było opuszczać starożytny piękny Kraków, przecież zdecydował się wreszcie przyjąć kapelanią w Kamieńcu. Poważne i rzewne myśli obudził w starcu dzień, w którym miał opuścić królewskie miasto, serce Polski. I nie dziw. Przeżywszy lat przeszło dwadzieścia w tem mieście, w którem każdy kamyk, każdy krzew, każdy ołtarz w każdym kościele był mu znany, nie dziw, że opuszczał Kraków z uczuciem, z jakiem opuszcza się kochankę na długo.

Przybył wreszcie do Kamieńca. Tu pamiątki starożytnej stolicy zdołał choć w części zastąpić ten szeroki widnokrąg, w którym oko widza tonąc zachwyca się cudami przyrody i sztuki nie skąpiących swych skarbów, aby tę ziemię podgórską przyozdobić. Wżył się też ksiądz w nowe stosunki i cieszył się nawet, że jeszcze stare swe lata spędzi pomiędzy ludźmi dobrymi i życzliwymi. Z wielką przyjemnością przepędzał nieraz wieczory w domu burgrabiego i jak drugi ojciec pokochał jego Magdusię. Ta z czasem nie miała także przed księdzem żadnych tajemnic i właśnie, kiedy ojciec na nią nalegał, aby szła za mąż, udała się w tej kwestji do życzliwego, pobożnego i rozumnego kapłana po radę. Gdy mu zaczęła opowiadać swoją historją miłośną ze Stefanem, nagle zerwał się ksiądz jak oparzony i uderzając się w czoło, zawołał:

— To głowa! to głowa! Trochę późno wykonam zlecenie Stefana, ale zawsze jeszcze nie zbyt późno.

— Jak to ks. kapelan rozumie? zapytała zaciekawiona Magdusia.

— A wszakżeż ja, duszko, mam dla ciebie list od Stefana — odrzekł ksiądz.

— List od Stefana?! — zawołała dziewica z radością i całując księdza w rękę, prosiła go natarczywie o wyjaśnienie.

— Moje dziecko, Bóg jeden wie, co się dziś ze Stefanem dzieje; trzy lata noszę już zeszyty w tej oto sutanie list Stefana do ciebie — a od tego czasu o nim ani wieści.

I opowiedział Magdusi dzieje Stefana od jego przybycia do Krakowa, wreszcie jego zajście i opuszczenie kraju. Przytem nie szczędził mu pochwał, co Magdusi sprawiało niewymowną radość, ale zarazem i smutek. Wiedziała bowiem i teraz tylko prawie to samo, co przedtem. Ale z pod całunu smutku przecież odzywało się przeczucie — on żyje, on wróci. Nie myślała ona przytem wcale o tem, czy wróci szlachcicem, czy takim, jakim był pierwej.

— Księże kapelanie, a miałże on jaki zasiłek na drogę? — pytała Magdusia.

— Znalazło się u mnie trochę grosza i tego mu pożyczyłem — odrzekł ksiądz.

Najserdeczniejsze podziękowanie złożyła Magdusia księdzu za tę opiekę nad Stefanem i widziała w tem znak Opatrzności boskiej, która jej kochankowi nie pozwoli w obczyznie zginąć, ale go wróci bez szwanku pomiędzy kochających go ludzi.

Przywiązanie Magdusi do księdza odtąd jeszcze się wzmogło, miłość ku Stefanowi spotęgowała się i dziewczę wręcz odpowiedziało konkurentowi, żeby jej dał spokój ze swymi zalotami. Burgrabię udobruchał kapelan czuwający nad miłością obojga kochanków z troskliwością i życzliwością prawdziwie bogobojnego kapłana.

Modły Magdusi o zdrowie, dobre powodzenie i prędki powrót kochanka były jeszcze gorętsze niż dawniej, niestety nie wnet jeszcze miały one odnieść porządanego skutku.

IV.

Chodźmy teraz poszukać Stefana.

W klasycznych Włoszech, pod pięknem niebem południa przebywał obecnie nasz wieśniak z Kamieńca. Lecz nie był to już wieśniak taki, jaki wyszedł z rodzinnego gniazda. Na uniwersytecie paryskim uzyskał stopień doktora nauk lekarskich, stopień znakomity, który w owych czasach nawet w naszej na wskróś szlacheckiemi przesądami przejętej Ojczyznie nadawał ipso jure stan szlachecki osobie, ten stopień posiadającej. Gdy bowiem sejm piotrkowski uszczuplając prawa nieszlachty (1494) uchwalił, że mieszczanom dóbr ziemskich posiadać nie wolno a wszystkie wyższe posady kościelne mają dostawać się wyłącznie stanowi rycerskiemu, — to przecież zastrzeżono wyraźnie osobom stopień doktora posiadającym szlachectwo, a duchownym, doktorom teologii, niektóre kanonie.

Uzyskawszy stopień doktora na uniwersytecie paryskim, słuchał jeszcze Stefan znakomitych mistrzów na uniwersytetach włoskich i praktykował we Włoszech jako lekarz. Później wrócił znowu do Francji. Obecnie znajdujemy go w Medjolanie. Bawiąc bowiem powtórnie we Francji dowiedział się, że w tym roku (1518) przybędzie do Medjolanu poselstwo polskie w dziewosłęby po Bonę Sforcją, księżniczkę medjolańską dla króla Zygmunta. Przed dwoma bowiem laty (1516) stracił ten zacny król żonę Barbarę Zapolską w kwiecie wieku, po której pozostały dwie córki. Król nie mający męzkiego potomka, martwił się tem nie mało i teraz postanowił zawrzeć związki ze wspomnianą wyżej księżniczką. Dzierżba, który od lat trzech nie był w Ojczyznie, przepadał za tem, aby się widzieć z rodakami, od którychby się mógł coś bliższego dowiedzieć o kraju, o stosunkach, nowych zdarzeniach. Poznał wprawdzie podczas swego pobytu we Francji i Włoszech wielu ze swych rodaków, którzy garnąc się z zapałem do nauk dla ugruntowania się w wiedzy, dążyli za granicę. Oni nie mało dali mu wyjaśnień, nie mało nowych wiadomości

udzielili. Ale żaden z nich niestety nie wiedział, nie napomknął nic o Kamieńcu. Teraz jakieś przeczucie mu mówiło: Jedź do Medjolanu, tam pomiędzy przybyłymi Polakami może się znajdzie który, co ci będzie mógł udzielić wiadomości o twych rodzinnych stronach, może napomknie o niej.

Nim jednak wyjechał z Francji, zdarzył mu się wcale nieprzyjemny wypadek. Przed samym prawie wyjazdem spotkał się Stefan z owym szlacheckim młodzieńcem, z którym miał owo zajście w Krakowie, a który podówczas bawił w Paryżu. Obrażony wezwał Stefana na pojedynek. A właśnie wyrabiała się wtedy we Francji idea pojedynku honorowego. Pojedynek w znaczeniu dowodu sądowego stracił tam już wówczas zupełnie swoję doniosłość, za to pojedynek wyżej wspomniany zaczął nabierać znaczenia i stawać się coraz częstszym. Jednak nie był on dozwolony przez władzę, wprawdzie nie było także ustawy wyraźnie zabraniającej takowego, bo takową wydał dopiero Karol IX. w r. 1566. w Moulins, lecz rząd karząc pojedynkujących się wyraźnie objawiał tem, jak się zapatruje na pojedynki. Pomimo to odbył się pojedynek Stefana z obrażonym, z którego Stefan wyszedł zwycięzko a następnie pośpiesznie umknął do Bononii. Tu zabawiwszy jakiś czas pomiędzy przyjaciółmi, udał się następnie do Medjolanu, gdzie już wówczas bawiło poselstwo polskie.

Właśnie jeden z posłów polskich mocno zachorował; lekarze tameczni wątpili o jego życiu. Gdy magnat polski opuszczony tak przez lekarzy dogorywał prawie, troskliwi towarzysze jego poszukując innych znawców sztuki lekarskiej, zasłyszeli o pewnym sławnym lekarzu w Bononii, który według podania Włochów ma być cudzoziemcem i nazywa się Dżedżba. Bez odwłoki posłali po niego wysłańców, lecz doktorowie bonońscy odparli, że doktor tego imienia wyjechał właśnie do Medjolanu. Dowiedziawszy się przy tem, o co chodzi, orzekli, że dottore Dżedżba niezawodnie na słabość, o którą się rozchodzi, znajdzie lekarstwo.

Za powrotem wysłańców dwór medjolański i posłowie polscy zarządzili natychmiast poszukiwania

po całem mieście za sławnym doktorem i nareszcie znaleźli go w jednej z najciaśniejszych uliczek, w skromnem pomieszkaniu pewnej biednej wdowy. Dottore Dżedżba dowiedziawszy się, że pomiędzy szukającymi go znajdują się Polacy, że go wzywają do polskiego posła, nie posiadał się z radości. —

— Choćby ze szpon djabła go wyrwę — powiedział po polsku do Polaków, a uścisk serdeczny, z jakim ich witał choć nieznajomych, ta ciepła dłoń rodaka doktora dodała im otuchy i z tryumfem nie jak do łoża chorego poprowadzili Dzierżbę do chorego posła.

I chory poseł na dźwięk ojczystej mowy, jaką przemówił do niego lekarz, ocknął się, jakby nowe życie w niego wstąpiło. Zaelektryzowało go to. Wszakże on nawet w Ojczyznie swojej częściej słyszał język zmarłych Rzymian niż tę mowę, którą szumiały wspaniałe lasy naszej Ojczyzny, której odgłos dochodził go od sianożęci i żniw na ojczystych łąkach i niwach. Zdawało mu się na chwilę, że się mu wróciły dawne lata młodości, w których silny, bo młody i pełen nadziei, bo dopiero zakwitający ciałem i duchem, w ojczystym domu częściej jeszcze słyszał ten dźwięk niż później, kiedy służąc Rzeczypospolitej, obcym językiem ciągle się posługiwał. Lecz to zaelektryzowanie chorego trwało tylko chwilkę. Chory padł znów na łoże, lecz z pewną ufnością oddał się lekarzowi. Wizyty lekarskie trwały przez miesiąc dwa razy dziennie, aż chory powstał na nogi i wybrał się sam do pomieszkania lekarza, aby mu podziękować i wynagrodzić go. Lecz daremne były poszukiwania za nim, lekarza nie można było znaleźć. Posłowie odjechali i zawieźli królowi oblubienicę.

Za to nasz doktor ciężko zaniemógł i w Bononii pod troskliwą opieką swych przyjaciół zostawał. Przyczyna tej słabości była następująca:

Pomiędzy towarzyszami posłów znajdowało się kilku ze szlachty Podgórza karpackiego. Oni to wyśpiewali Stefanowi, że Magdusia córka burgrabiego z Kamieńca wyszła za mąż za szlachcica z okolicy. Zapewnienia ich tak zasługiwały na wiarę, tak były przekonywujące, zwłaszcza dla człowieka, który od

lat kilku żyjąc na obczyznie z zewnątrz nigdzie promyka nadziei nie widział, że im wierzył, lecz uwierzywszy zachorował ciężko. Od czasu do czasu tylko jakieś przeczucie mu mówiło tajnym głosem o szczęściu i lepszej doli, lecz w obec zapewnień Polaków, których poznał w Medjolanie, odpędzał z boleścią od siebie te przeczucia. Wreszcie udało się przyjaciołom wyleczyć go i postawić na nogi.

Przebywszy tę katastrofę wziął się Dzierżba z niesłychaną energją do pracy naukowej i jej to zawdzięczała ówczesna medycyna niejedną nową zdobycz. Odtąd na twarzy jego nie ujrzałeś nigdy swobody, która przecież dawniej choć od czasu do czasu nawet wśród przykrych stosunków na twarzy jego zajaśniała. Odtąd nieodstępnym jego towarzyszem był cień smutku, który jednak nie mógł złamać energii tego żelaznej woli człowieka. Przyjaciele jego żałowali go, ale czyż mogli mu dopomódz na to cierpienie serca swą sztuką lekarską? — Niejednokrotnie mówili, że przecież człowiek taki, jak on, powinien więcej doznać szczęścia na świecie, człowiek tak uczony, zasłużony i ludzki, człowiek, który był ozdobą ich zawodu, — wielki; tak — był on wielki swoimi trudami i boleścią.

I upłynęło mu znowu tak kilka lat w Bononii. Do Ojczyzny się nie spieszył, bo i nie miał po co. Gdyby wracał, udałby się w swe rodzinne strony, a czyż można było od niego żądać, aby przybywszy tam, narażał się sam na katusze, któreby mu sprawiało przypomnienie utraty marzonego dawniej szczęścia i błogich jego nadziei?

W r. 1522. opuściwszy Bononię podróżował po Włoszech, Francji i Hiszpanii. Rozrywka, jaką daje podróż po uroczym kraju, była teraz dla niego koniecznie potrzebna po utracie wymarzonego szczęścia i po mozolnej kilkuletniej pracy zawodowej, która ból serca miała zagłuszyć. I rzeczywiście podróż ta posłużyła mu, gdyż przywróciła mu nieco dawnej swobody umysłu. Jednak i podczas podróży rozwijał Dzierżba swą praktykę i wszędzie swą wiedzą, zręcznością lekarską i ludzkością jednał sobie uznanie. Biedniejsza ludność czciła go niemal jak boga, gdyż

nietylko przywracał jej bezinteresownie zdrowie, ale i materjalnie ją wspierał.

W r. 1524. powrócił znowu do Medjolanu i zamieszkał tu u tej samej wdowy, u której najął był pomieszkanie w r. 1518. Wiadomość, że przybył sławny lekarz Dżedżba, rozniosła się wnet po mieście a ogromna wziętość, jaką tu miał i powodzenie, z jakiem leczył, pozwoliły mu przyjść do olbrzymiego majątku. Zewsząd najzamożniejsi ludzie przyzywali go do siebie i wynagradzali hojnie. Książę Medjolanu podniósł go nawet do stanu szlacheckiego w uznaniu dawniejszej jego zasługi za wyleczenie polskiego posła i za dane świeżo dowody nieprześcignionej wiedzy lekarskiej. I płeć piękna nie zachowywała się względem niego obojętnie. Na dworze księcia samego znalazło się kilka dam znamienitych, któreby nie wzgardziły były ręką doktora. Któryż z młodszych czytelników nie oddałby ręki ładnej Włoszce oszołomiony wdziękami jej urody, oczarowany jej zalotnością? Doktor Faust straciwszy życie nad zagadnieniami filozoficznemi jeszcze przecież zapragnął napić się z czary rozkoszy. Ale nie Dzierżba. On został w tym względzie takim, jakim był dawniej; był wierny tej, którą pokochał, chociaż ona o nim zapomniała. I choć niejedna Włoszka przepadała za nim, czy też za jego pieniędzmi, zapowiadała, że truciznę sobie zada, nie dał się Dzierżba nakłonić do ślubów małżeńskich.

— Ja pani dam w takim razie antidotum — mówił Dzierżba — i znowu będziesz kwitła na pociechę tej chmary wymuskanych kortedzianów, którzy jak motyl do kielicha lilii, cisną się do pulchnej rączki pani.

Ze złości mało nie oszalały Włoszki, że przecież znalazł się choć jeden, który nie poszedł na lep ich wdzięków i zalotności.

Lecz stęskniło się wreszcie i Stefanowi za krajem. Chciał być bliżej Ojczyzny, w której światło dzienne ujrzał i pożegnawszy swych przyjaciół w Bononii i Padwie, swych znajomych w Medjolanie i złożywszy swe hołdy księciu medjolańskiemu,

opuścił Włochy i udał się do Węgier, zkąd miał udać się do Polski.

Było to w r. 1526. po krwawej bitwie pod Mohaczem, w której poległ Ludwik syn Władysława Jagiellończyka, bratanek zacnego króla Zygmunta Starego. We Węgrzech bawiły wtedy resztki z oddziału ochotników, którzy pod wodzą Gnoińskiego przyszli Ludwikowi z Polski z pomocą. Resztki te, gdy powstał spór o koronę węgierską między Janem Zapolyą, powinowatym króla Zygmunta a Ferdynandem rakuskim, ożenionym z Anną Władysławówną, przyłączyły się do pierwszego; gdy Zapolya został obrany królem, pozostali przy nim i nadal. Do nich to dopytał się nasz Stefan a przyjęty przez Zapolyą uprzejmie, został na jego dworze a potem z nim razem dalsze dzielił koleje.

V.

Tymczasem Magdusia zwątpiła już zupełnie o powrocie Stefana. Choćby żył, będzie się może obawiał wrócić do Polski nie chcąc być przedmiotem zemsty obrażonego szlachcica. I już oswoiła się z tą myślą, że nie będąc nigdy zamężną, zostanie przecież wdową po człowieku, którego uważała za swego i którego wspomnieniami żyła. Ubierała się odtąd ciągle ciemno, wesele opuściło na zawsze jej lica, tylko zaduma i smutek były jej towarzyszami. Nawet już i ksiądz nie potrafił dodać jej otuchy i nadziei, a ojciec nalegał, aby wyszła za mąż, póki jeszcze jest za kogo. Magdusia bowiem nie była już dziewczyną pierwszej młodości. Jest to już r. 1528. Lat 14 minęło już od czasu, kiedy Stefan opuścił Kamieniec. Miała ona wtedy lat 16, a więc obecnie doszła do wieku, w którym nawet prawo kanoniczne nie wróży kobietom łatwego zamężcia i z tego powodu pozwala nawet bardzo blizkim krewnym dawać dyspenzę celem zaślubienia pokrewnych dziewic. Pomimo to była Magdusia piękna jak dawniej, a nawet piękniejsza. Więc i teraz jeszcze konkurentów jej nie brakło.

Właśnie znalazł się i teraz amant starszej daty, który wulkanicznym ogniem miłości ku Magdusi zapłonął. Cóż było robić? Teraz trzeba było więcej niż dawniej tolerować poczciwego konkurenta, który choć nie był ideałem, był przecież obywatelem poważnym i szanowanym i dobre miał mieć serce. Wprawdzie, jak wieść niosła, czasem się unosił a nawet raz w takiem uniesieniu zastrzelił niewinnego poddanego. Ale też podobno od tamtego czasu tak złagodniał, że żyje nawet w najlepszej zgodzie z księdzem gwardjanem franciszkańskim z Krosna, który jak wiadomo był świętobliwym człowiekiem a i z księdzem kapelanem, który umie nawet zbadać serca ludzkie, całuje się, ile razy się zejdą, prawdziwie po bratersku.

— Gdybyś moje dziecko nie miała Stefana, który niezawodnie żyje i wróci do ciebie, możebym ci i dopuścił pójść za pana Dulębę, ale w takich stosunkach panno trzeba czekać zmiłowania boskiego — tak mówił pewnego razu ksiądz do Magdusi.

Magdusia nic nie odpowiedziała na te słowa księdza, lecz zapłakała, bo już bez jego wiedzy odbyły się jej zaręczyny z panem Dulębą. Ojciec sobie życzył, żeby ksiądz o tem, nie wiedział, a Magdusia chcąc być posłuszną ojcu także mu o tem nic nie wspominała. Teraz więc na te słowa księdza nic nie odpowiedziawszy, ale ucałowawszy smutnie a serdecznie jego rękę wymawiając się bolem głowy wyszła, aby się serdecznie gdzie w kątku wypłakać.

Weszła do swego pokoiku i tam zaczęła wylewać łzy obfite. Wtedy przypadkowo popatrzyła do okna. Właśnie drogą wiodącą do zamku szła stara cyganka z dzieckiem. Zobaczywszy swem bystrem okiem pannę w zamku zaczęła ją błagalnie prosić o wsparcie i obiecywała jej za to coś ważnego wywróżyć. Magdusia słysząc nieraz o wróżbach cygańskich, że się niekiedy ziściły, choć zabobonna nie była, w tem nieszczęściu chciała wiedzieć, co jej też cyganka powie.

Na rozkaz Magdusi przyprowadzono cygankę na dziedziniec — a ta dostawszy grosz zaczęła najpiękniej dziękować i zapytała dziewicę, czy za kim

nie tęskni. Gdy jej dziewica potakująco na to pytanie odpowiedziała, rozpoczęła cyganka:

— Był orlik i orlika. Żyli szczęśliwie i swobodnie, ale połączyć się nie mogli. Siry orlik opuścił gniazdko i poleciał próbować sił w szerokim świecie i uprzątać przeszkody do połączenia się z ulubioną. Długie lata upłynęły, orlika jak niema tak niema, jego ulubiona tęskni i omal z żalu nie umiera. Do jej gniazdka przemocą chce się wedrzeć jastrząb, ale jastrząb — tak panienko — jastrząb zwichnie skrzydła, a orlik przyleci i poślubi oblubienicę.

Wzruszona Magdusia dała cygance jeszcze grosz a ta błogosławiąc opuściła zamek.

— Co znaczy ta cała historja opowiedziana jej przez cygankę? — pytała Magdusia sama siebie, gdy została sam na sam z myślami swemi. Miałżeby pan Dulęba oznaczać jastrzębia? wszakżeż on na jastrzębia nawet z usposobienia nie wygląda; co znaczy to zwichnięcie skrzydeł? — wszak pan Dulęba dopiero wczoraj był w zamku, był zdrów i wesół. Zkądże zresztą mogłaby cyganka wiedzieć o przybyciu Stefana?

Tak się zastanowiwszy uznała Magdusia historję cyganki wierutną bajką, obliczoną na wyłudzenie grosza od niej. A przecież choć rozum tak do niej mówił, serce czego innego sobie życzyło i o czem innem marzyło, ile razy zaskrzeczała sroczka pod jej okienkiem. Ale i historja cyganki została wreszcie zapomniana, kiedy minęło parę miesięcy a Stefan się nie pojawiał i pan Dulęba gotował się do ślubu.

Jakimże czułym wzrokiem spoglądał stary na swą przyszłą małżonkę, jakież dawał jej dowody miłości! Na co się tylko fantazja starego zdobyć mogła, to wymyślał dla swej narzeczonej, aby tylko jej łaski sobie zaskarbić! Magdusia zaś widząc te wszystkie jego zabiegi, nietylko nie była mu już przeciwna, ale owszem sądziła, że choć go nie będzie kochała jak Stefana, to przecież szanować go będzie jak człowieka zasługującego na to. Pogodziła się z losem i już dzień ślubu był naznaczony.

VI.

Co porabia Stefan? — Opuściliśmy go na dworze Zapolyi. Ale też jego panu nie świetnie się powodziło. Udało się mu wprawdzie dość łatwo, aby być wybranym na króla, ale nie tak łatwo przyszło mu się na tronie utrzymać. Ferdynand rakuski opanowawszy Czechy, pragnął i Węgry owładnąć. I rzeczywiście udało mu się pokonać Zapolyą i zmusić go do ucieczki. Z garstką wiernych Polaków i Węgrów przedarł się wygnaniec w okolice podkarpackie i miał zagościć w Kamieńcu. Lada dzień go się spodziewano. Wojewoda podolski zjechał i robił przygotowania na przyjęcie tak dostojnego gościa. I już nadszedł dzień, w którym król miał przyjechać. W tym dniu miał także przyjechać pan Dulęba, aby się przypatrzyć królowi i wspaniałemu przyjęciu go przez wojewodę, na którem miało być wielu znakomitych gości z okolicy i ze stron dalszych.

I rzeczywiście zdaleka można było już ujrzeć pana Dulębę, jak na pięknym koniu, którego dziś po raz pierwszy do dalszej przejażdżki użył, dążył do zamku. Witając i powitany wzajemnie przez Magdusię stojącą w oknie, zaczął się piąć powoli pod górę, ale nie tak to było łatwo zrobić z koniem, który nie nawykł do tego. Pan Dulęba jednak nie chciał dać za wygranę koniowi i gwałtem usiłował wydrapać się na nim na górę zamkową. Wtem się jednak biedny przeliczył; koń znarowiony rzucił się w tył z jeźdcem, zrzucił go z siebie i wlokąc go jeszcze znaczny kawał za nogę uplątaną w strzemieniu zostawił u podnóża zamku zbroczonego krwią, ze złamaną nogą i ręką a sam poczesał, zkąd przyszedł.

Właśnie za chwileczkę nadjechali spodziewani goście prowadzeni przez wojewodę, który ze swym orszakiem po nich wyjechał.

Widząc niedawno spłoszonego konia cwałującego od strony zamku a pod zamkiem nieszczęśliwego jeźdcę domyślili się całego nieszczęścia. Zwrócono się do lekarza i Stefan, bo on był w orszaku króla

węgierskiego, zajął się zaraz nieszczęśliwym. Zaniesiono go do zamku do gościnnej komnaty i oddano staraniu lekarza.

Wnet przybyła i Magdusia, aby się dowiedzieć o losie nieszczęśliwego. Powiedziano jej, że jakiś włoski lekarz jest przy nim.

— Jakżeż ja się tu rozmówię z tym Włoszyskiem? — pomyślała Magdusia wstępując do pokoju, gdzie się znajdował chory Dulęba wraz z lekarzem.

VII.

W pokoju, do którego weszła, znajdował się prócz doktora, jeszcze ks. kapelan. Kapelan poznał był swego ucznia i pupila, dotąd jednak mało mówili ze sobą. Zaledwie tyle dowiedział się Stefan od księdza, że chory szlachcic jest narzeczonym Magdusi, córki burgrabiego, o czem ksiądz dowiedział się niedawno. Wiadomość ta zrazu nie wywarła na Stefana nowego wrażenia, bo już stratę jej przebolał dawno, a zresztą zajęcie się chorym nie pozwalało mu o tem chwilowo myśleć.

Gdy weszła, poznali się natychmiast, lecz Stefan z poważnym ukłonem powiedział jej zaraz na wstępie, że wszelkich starań dołoży, aby postawić na nogi jej narzeczonego i że spodziewa się wkrótce polepszenia.

Na te słowa zmieszała się Magdusia, wydała okrzyk z głębi piersi i zachwiała się, lekarz jednak i ksiądz przytrzymali ją i odprowadzili do jej pokoju. Ksiądz został przy niej.

— Więc on już wie o moich zaręczynach? — zapytała Magdusia.

— Niestety, niebacznie mi się to z ust wymknęło.

— Łatwo więc teraz wytłumaczyć ten chłód — myślała Magdusia — z jakim do mnie przemawiał, a może on już dawno ostygł dla mnie.

Odtąd choć była tak blisko Stefana, nigdy nie widziała się z nim umyślnie i sam na sam, choć nieraz pragnienie zamienienia z nim bodaj słów kilku na osobności parło ją do tego. Spotkała się

z nim jeszcze kilkakrotnie u łoża chorego, ale zawsze na niewielu słowach dotyczących pacjenta kończyła się cała jej ze Stefanem rozmowa.

Stefana wprawdzie zapewniał ksiądz o miłości Magdusi, przedstawił mu jej długoletnie cierpliwe wyczekiwanie, jej dotychczasową życzliwość; lecz miałże Stefan w obec faktu jej zaręczyn zbliżyć się jeszcze do niej? miałże rozrywać te poważne węzły, które już Magdusię z kim innym łączyły? Daleki był od tego. Wyleczywszy chorego nie chciał też zabawić dłużej w Kamieńcu, lecz pożegnawszy się z nią oficjalnie w obec burgrabiego, który cieszył się niewymownie z obecnego stanowiska Stefana, odjechał wraz z królem Zapolyą na dwór Jana Tarnowskiego, u którego dłuższy czas miał król zabawić, dopóki pomyślniejsze stosunki nie pozwolą mu powrócić do Węgier na tron królewski.

VIII.

Przed odjazdem miewał Stefan długie pogadanki z kapelanem, w których opowiedział mu szczegółowo koleje swego życia, jak umknął z Krakowa, jak omal nie został schwytany w gospodzie za miastem i t. d. Słowem opowiedział mu wszystko, co wiedział i przeżył. Oddał mu wraz z podziękowaniem najserdeczniejszem dług dawny i swoje pieniądze w depozyt i objawił zarazem, że jakkolwiek wierzy w Boga i poddaje się zawsze jego wyrokom z pokorą, to przecież obecnie uczuł na prawdę cały ciężar swego życia i że przy pierwszej nadarzającej się sposobności pójdzie na kresy, aby walcząc w obronie Ojczyzny zaszczytną śmiercią zakończyć to życie. Nie dziwimy się Stefanowi, bo w Kamieńcu odbliźniła się w jego sercu stara, niebezpieczna rana.

Wiedział ksiądz, o co Stefanowi chodziło i w tej sprawie zaczął teraz działać.

Zaledwie Stefan odjechał i pan Dulęba zupełnie wyzdrowiał, zaprosił go ksiądz na poufną pogadankę do siebie i tu wymógł na nim przyrzeczenie, że z wdzięczności za uratowanie życia zrzekł się na rzecz Stefana prawa do ręki Magdusi, jakie mu już zarę-

czyny nadały. Ksiądz uwiadomił o tem i Magdusię, lecz ojcu o tem wcale nie mówili, a ten zdziwił się nie mało, gdy obie strony jednozgodnie zażądały odwleczenia ślubu. Ojciec musiał się z tem zgodzić, a ksiądz nie miał nic ważniejszego, aniżeli uwiadomić o tym sukcesie Stefana. Wysłano do niego posłańca, lecz Stefana na dworze Tarnowskiego już nie zastano.

IX.

Dla Stefana życie było ciężarem. Znudziło mu się ono — więc też wkrótce opuścił swego króla i wybrał się ku granicy południowo-wschodniej Polski. Tam zaciągnął się w szeregi Jazłowieckiego, który wraz z Ostafim Daszkiewiczem dzielnie odpierał tatarskie napady od granic Polski.

W owych czasach służbę na kresach obierali sobie ludzie, którzy w walce z pogaństwem szukali albo awanturniczego życia, albo chcieli się oczyścić z swych przewinień dawniejszych, albo też szukali wśród walki śmierci a przynajmniej zapomnienia o nieszczęściach. Do tych ostatnich należał Stefan. Stało się tu jednak ze Stefanem wręcz przeciwnie. Na stepach Ukrainy bowiem, rzec można, odmłodniał on i wyzdrowiał z tego smutku, który go dawniej tak nieustannie trapił. Teraz rzadziej był smutny, częściej wesoły i dowcipny. U kolegów i wodza miał zachowanie, gdyż jako dobry lekarz był im bardzo pożądany. Takiego człowieka, jak on, ochraniali wszędzie, gdzie tylko okazała się potrzeba.

Stefan odbywał często ze swymi towarzyszami pod wodzą bohaterskiego hetmana dalekie i awanturnicze wyprawy i przywykł do tego niewygodnego, lecz wesołego i raźnego życia.

Tak pobył Stefan na kresach aż do r. 1530. Właśnie przybył tam nowy kontyngens ochotników. Pomiędzy nimi znajdowali się także ochotnicy z okolic Kamieńca. Od nich dowiedział się Stefan, że wojewoda podolski niebezpiecznie chory leży w ojczystym Kamieńcu nie opuszczając łoża. Gdy się o tem dowiedział, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko

żądać uwolnienia u wodza i powrócić do Kamieńca, aby nieść pomoc choremu wojewodzie. Tak też Stefan zrobił.

X.

W Kamieńcu wtedy panował smutek, gdyż wojewoda rzeczywiście od dłuższego już czasu nie opuszczał łoża. Nie stracił on wcale przytomności, ale siły fizyczne nie pozwalały mu powstać. Należał on do tych ludzi, których śmierć nie zastrasza i którzy nawet na śmiertelnem łożu nie tracą dobrego humoru; snać obliczywszy się z Bogiem, mało spostrzegli w sobie przewinień, za które przyjdzie im przed Nim odpowiadać. Działali według swej dobrej wiary, działali tak, jak uczciwym ludziom przystało; gdy więc przychodzi im opuszczać tę ziemię, opuszczają ją ze spokojem jak czynszownicy, którym się skończył czas dzierżawy i którzy wskutek tego na inne przeprowadzają się miejsce.

Podczas choroby swojej wojewoda częściej niż dawniej wspomniał o Stefanie. Wyraził nawet życzenie, żeby go chciał jeszcze przed śmiercią zobaczyć. Ale jakżeż tu było donieść o tem Stefanowi? — Aż tu pewnego wieczora pojawia się w Kamieńcu Dzierżba. Wszyscy się zdumieli, wojewoda sam przypisał ten wypadek zrządzeniu opatrzności.

— Tak, synu, uważam to za takie samo zrządzenie boskiej woli, jak ten wypadek, gdy wracając w r. 1494. z pod Wiśniowca z wyprawy na Tatarów znalazłem cię błąkającego się w polu spustoszonem przez wrogów, szlochającego i nie wiedzącego, dokąd się masz udać. Kazałem przystanąć towarzyszom i wziąć cię do siebie, nie wiedząc, zkąd pochodzisz, kto cię rodzi. Jakżeż się cieszę teraz, że przybywasz w chwili, kiedym cię zobaczyć pragnął.

Na te słowa wojewody nie wiedział Stefan, co odpowiedzieć. Pierwszy raz bowiem się dowiedział, zkąd się wziął w tym zamku; teraz dopiero poznał, co zawdzięcza wojewodzie, a wdzięczność swą objawiał tylko uściskiem kolan i całowaniem rąk jego.

— Jakżeż, doktorze, sądzisz, długo jeszcze żyć będę? Ale powiedz prawdę, nie łudź mię, bo z tego nie ma zysku.

— Teraz jeszcze powiedzieć nie mogę, ale poznawszy bliżej stan, będę mógł odpowiedzieć na to pytanie, kiedy żądasz koniecznie.

I rzeczywiście usilnem kilkakrotnem zapytywaniem wojewody był Stefan zmuszony przepowiedzieć mu jego śmierć jeszcze w bieżącym roku. Nie odstępował go ani na krok, ciągle czuwał przy nim i rozrywał go, o ile chorego rozrywać można było, ale siły widocznie ubywały i wojewoda wreszcie przeniósł się do wieczności.

Aż do śmierci wojewody nie miał Stefan nawet czasu pomyśleć o widzeniu się i rozmówieniu z Magdusią. Widywał ją wprawdzie dość często, ale rozmowa ich była urywana i ograniczała się do stanu zdrowia wojewody.

Dopiero po śmierci wojewody oznajmił mu kapelan, że Magdusia jest wolna i czeka jego ręki.

— Podziękuj teraz, mój synu, Bogu — rzekł kapłan do niego — że czuwał nad Twym losem i że ci ziścił to, czegoś pragnął. Pamiętaj także o tem, że się nigdy nie trzeba oddawać rozpaczy, lecz ufać Temu, który lepiej od nas wie, czego nam potrzeba.

Łatwe już teraz było porozumienie się kochanków, i burgrabia nie miał nic przeciw ich pobraniu.

W testamencie bowiem swoim polecił umierający wojewoda swemu uniwersalnemu spadkobiercy, aby na najbliższym sejmie postarał się o uszlachcenie Stefana i nadanie mu herbu Kamienieckich. Sub hoc modo powołał wojewoda swego spadkobiercę do spadku. Spadkobierca dopełnił rzeczywiście tego zlecenia, co mu zresztą nie przyszło z trudnością dla znanych przymiotów i zasług Stefana i Stefan został policzony w poczet polskiej szlachty.

Był obecnie Stefan szlachcicem z trojakiego tytułu. Czyż więc teraz burgrabia, biedny szlachcic, mógł mu odmówić ręki swej córki?

Za złożone kapitały kupił Stefan majątek, do którego niezadługo zawiódł i swoję żonę — Magdusię. Burgrabia także na swe stare lata przeniósł się do

swych dzieci — a ks. kapelan usiadł w Krośnie u OO. Franciszkanów, zkąd niemal codziennie odwiedzał swych przyjaciół. Później sprowadził się do nich zupełnie i tak żyli wszyscy razem opowiadając swoje dawne dzieje, ciesząc się z obecnego szczęścia a spodziewając się jeszcze lepszego wtedy, gdy ich Pan Bóg do siebie powoła.

Magdusia i Stefan jeszcze o tem tak bardzo nie myśleli, wszakże oni dopiero żyć zaczęli. Ale starcy obaj niezadługo ich opuścili. Państwo Dzierżbowie zaś doczekali się jeszcze pociechy na stare lata, gdyż wychowali kilkoro ładnych, zdrowych i rozumnych dzieci, dla których pan Dulęba zastępował dziadka i którym później swój majątek zapisał.

Tak poczciwie na ojczystym zagonie zmarł doktor, któremu nie wielu podobnych się znajdzie.

Sokal, 11. Października, 1891.

Franciszek Szymusik.

POWRÓT DO MIŁOŚCI.

Horacego oda I. 19.

Mater saeva cupidinum....

Namiętności matka sroga
I Semeli synek żwawy*)
I Rozkoszy chwila droga
Wzywają mnie do poprawy.
Ach pieszczotko, lica białość
Z róży blaskiem i swoboda

---

*) Wenus i Bacchus.

Ruchów twoich i uroda
Większe nad mą wytrzymałość.
Wenus z Cypru ustąpiła,
By zamieszkać w mojem łonie,
Partów z głowy mi wybiła
I wulkanem w piersi płonie.
Chłopcze, ustaw ołtarz z darni,
I znieś zioła na ofiarę
I kadzidła — a ofiarni
My kapłani spełnim czarę....

ZAZDROSNY.

Oda Horacego I. 13.

Cum tu Lydia Telephi...

Gdy ty Lidjo Telefa szyję młodzieńczą,
Telefa ramiona białe
Chwalisz, pochwały te srodze mię dręczą,
I nie wiem, jak wstrzymać zazdrości nawałę.
I nie wiem, gdzie myśli me, aż się mienię
Z gniewu, z zadrości Lidijo!
W twarz mi buchają ogniste płomienie.
Ach Lidjo! te burze mnie pewnie dobiją.
Ten Telef porani ci ramię śnieżyste
W swarach, które wino rodzi,
Lidjo! ten chłopiec szalony wieczyste
Skazy ci zębem swym na usta wywodzi.
Ach! gdybyś choć trochę powolna mi była,
To wzgardziłabyś warjatem,
Co całus kazi, choć w nim umieściła
Wenus całą rozkosz na świecie tu — na tym.
O trzykroć szczęśliwi ludzie, których łączy
Silna nade wszystko miłość,
Której nie rozerwie życia zawiłość,
Ni śmierć jadu swego w nią nigdy nie wsączy.

Tłumaczył z oryginału
FRANCISZEK SZYMUSIK.

WYRWANA KARTA.

Naszkicowała według prawdziwego zdarzenia

ANIELA KORNGUTÓWNA.

I.

— Szatan chyba mógł dobrać to małżeństwo!

Zdanie powyższe wypowiedział właściciel domu obok kościoła, w którym przed chwilą odbyła się ceremonja ślubna.

Czyniono różne uwagi, jak zwykle w takich wypadkach, gdzie i państwo młodzi i stosunki znane.

Orszak wychodził z kościoła. Obok wysokiego bruneta o nabrzmiałych rysach twarzy i czerwonym nosie, wskazującym na nadmierną konsumcję alkoholu, szła panna młoda. Eteryczna jej postać zdawała się unosić ponad ziemią, mała główka schylona była ku ziemi, drobne jak u dziecka ręce ściskały biały manszet bukietu; bledziutka, z oczyma łez pełnemi zeszła ze stopni kościoła i wsiadła do fiakra, który odwiózł nowożeńców do domu.

Za pierwszym powozem ruszyły trzy inne i w kwadrans potem rozeszła się gawiedź małomiejska.

Przed ich oczyma przesunął się obraz z ludzkiego żywota; nie zastanowiwszy się nad nim, wypowiedzieli o nim zdanie, według swego widzimisia sądząc. Cóż ich to obchodziło? Jedni się rodzą, drudzy żenią, inni umierają! Po co? jak? dlaczego? Nad tem nie warto łamać sobie głowy.

Bywało, jest i będzie!...

Pan Baliński, potentat wielki, pojął żonę z również szlacheckiego domu. Był majątek, szczęście

uśmiechało się do młodego małżeństwa. Przyszły na świat dzieci piękne, chowały się dobrze; młoda matka myślała, że zawsze tak będzie, że synek jej i dwie córeczki wzrosną w dostatku, a gdy je z domu wyda, to tylko, by ich jeszcze lepszy los spotkał.

Marzyła młoda matka; wychowywała dzieci z dumą na nie patrząc, bo natura stygmat arystokracji na nich wycisnęła.

Tymczasem zbrzydło panu Balińskiemu ciche szczęście domowego ogniska; gospodarstwo zdał na ekonoma, pożegnał żonę, ucałował dzieci i wyjechał obejrzeć się za światem, jak mówił; w rzeczywistości zaś uciekł wraz z śpiewaczką wędrującej trupy za granicę.

Minęły dwa lata, a podczas tego młoda kobieta nauczyła się trzeźwiej na świat patrzeć; ale niastety, dużo z dawnych maksym pozostało. Że zbliża się ruina, tego jeszcze nie przeczuwała; nie mogła też wiedzieć, że mąż robił kolosalne długi, by pokryć koszta życia we dwoje z śpiewaczką. Wierzyła ekonomowi, nie wglądała w rachunki; sądziła, że przez wdzięczność do swych chlebodawców nie zdradzi zaufania.

Można więc sobie wyobrazić, jaki był zarząd gospodarstwa! „Każdy sobie rzepkę skrobie“.....

Przybył nareszcie Baliński; paryskie życie sterało mu zdrowie; wrócił, by go żona pielęgnowała.

Przyjęła go bez wyrzutów, gdyż tylko cierpieć i przebaczać umiała; pocieszała się więc nadzieją, że jasne dnie pięknej przeszłości powrócą.

Zaledwie jednak rozeszła się wieść, że Baliński powrócił, dwór zaczęły nawiedzać dotąd nieznane tu postacie. Przyjmował ich lokaj; Baliński grzecznie się z nimi obchodził, ale tem udobruchać ich nie mógł. Zapłaty, lub licytacja! tem grozili.

Przyszło do licytacji. Wieś i dwór przeszły w ręce żydowskie; ów poczciwy ekonom wydzierżawił w tejże okolicy duży folwark; karbowy znów młyn w drugiej wsi; a Balińscy wyszli ze swej dziedzicznej majętności z torbami.

Pozostała jeszcze łaska bogatych krewnych. Baliński został ekonomem u szwagra swej żony, która

wiernie z prawdziwie chrześcijańską pokorą i cierpliwością znosiła wszystkie ciosy.

Miał ją jednak trafić jeden z najboleśniejszych, bo hańba. Jej mąż sprzeniewierzył się swemu dobroczyńcy, wdając się w konszachty z różnego rodzaju faktorami.

Wyrzucono go, a szlachetni krewni, litością zdjęci dla biednych dzieci, dwoje starszych wzięli do siebie, chłopca zaraz do szkół wysyłając, dziewczynkę do towarzystwa własnej jedynaczki pozostawiwszy.

Najmłodsza Łucja została przy rodzicach. Dziecko to, z nadnaturalną prawie miłością do matki było przywiązane; a tak roztropne, tak anielskie, że cierpienia jej odczuwając, pocieszała jak mogło i umiało młode jej serduszko.

Gniewali się na Balińską krewni, że nie porzuca męża tak niegodnego jej miłości; zagrozili zupełnem usunięciem się od niej; ale ona, przysięgi w kościele w obec księdza i świadków danej, zerwać nie chciała. Myślała, że go nawróci na drogę uczciwości i pracy, bo sama pracować już się nauczyła.

Przenieśli się do małego miasta i dumna a piękna niegdyś szlachcianka, dziś przez wszystkich zapomniana, igłą na chleb zarabiać musiała. Dochody były szczupłe, mąż otrzymał tylko urząd woźnego w sądzie.

Oto na co zeszedł.

Gdyby choć porządnie, uczciwie żyć się przyzwyczaił; dawniej opijał się szampanem, teraz wódką!

Prawie codziennie w nietrzeźwym stanie wracał do domu, gdzie ciche łzy roniąc, siedziały żona i córka, pracując do późna w noc. Modlitwa i droga do kościoła, gdzie przed wielkim ołtarzem uklękłszy, z Bogiem rozmawiać mogły, to jedynie urozmaicało ich życie pełne trosk, bólu i wstydu.

Dwa razy tylko jasny promień szczęścia przedarł się do cichej ich izdebki a mianowicie, gdy córka za mąż wyszła, a syn, ukończywszy szkołę agronomiczną, otrzymał posadę rządcy.

Los ich był zabezpieczony; wspierali matkę, odwiedzając ją i siostrę od czasu do czasu. O ojca

nie pytali, jakby obcy był; więcej jeszcze: brzydzili się nim.

Balińska marzyła o również skromnem szczęściu dla swej drugiej córki, której piękność, jak sądziła, upoważniała ją niejako do wymagań. Nazywała ją białą lilją i nie przeczuwała, że jak kwiat ten, prędko i nieopatrznie zwiędnie.

Złożyło się to w następujący sposób:

Baliński dobrał sobie do towarzystwa drugiego takiego nicponia, niejakiego Moresza. Był to sekwestrator i współwłaściciel małej kamieniczki, którą z matką zamieszkiwał, wyczekując dnia jej pogrzebu, na którym cały dom na własność jego by przeszedł. Nie cieszył się dobrą reputacją, lecz mimo tego wielu z miasta dałoby mu córkę za żonę, bo mawiali: „Jak się ożeni, to się odmieni.“ Szczególnie życzyła go sobie na zięcia gruba piekarka z pod rynku Marjanna Kaliszynowa, z którą w wielkiej zażyłości żyła matka Moresza.

„Pan sekwestrator“ sięgał jednak wyżej; w oko mu wpadła córka przyjaciela z szynkarskiej ławy. Fundował więc Balińskiemu tak długo, aż ten w nietrzeźwym stanie rękę swej córki oddać mu się zobowiązał.

I wszczął się dramat dla oka dalszych widzów nieprzystępny, bo pani Balińska i Łucja zniżyć się do tego stopnia nie chciały, by żebrać litości u krewnych, którzy się od nich odsunęli. Trzeba było uśmiechać się przez łzy, by syn, córka i zięć nie podejrzywali całego ogromu ich niedoli. Szlachetna ta kobieta nie chciała zatruwać ich szczęścia; cierpiała więc cicho, nawet przed Łucją się kryjąc.

Lecz długo taić się przed nią nie można było, bo ojciec już nie groźbami, ale kijem czynił swe żądania dobitniejszemi. Łucja była Moreszowi przyrzeczoną, a on jako ojciec i pan domu ma prawo rozporządzać losem swej córki.

Tak mawiał Baliński, zatruwając życie tym dwom kobietom ciągłemi kłótniami, które wywoływały zbiegowisko ciekawych sąsiadów.

I Moresz nie zasypiał sprawy; posyłał bukiety, odwiedzał Łucję i jej matkę, a one przyjąć go mu-

siały z obawy przed skandalicznemi scenami z ojcem, który upiwszy się, pastwił się nad niemi w okrutny sposób.

Stało się też, czemu nikt nie dałby wiary. Piękna, ośmnastoletnia Łucja, w której żyłach płynęła krew staroszlachecka, zaręczyła się z Moreszem a potem w kościele wiarę i miłość mu przysięgła.

Siostra i szwagier bawili na Wołyniu u krewnych; brat za sprawą swego pana wyjechał do Berlina; rodzeństwo o poświęceniu Łucji nic nie przeczuwało. Matka nawet nie wiedziała, jak dalece wstrętnym dla niej ten związek, gdyż ją córka okłamywała, by tym krokiem przywrócić zgodę między ojcem a matką.

Skromny orszak, (bo prócz matki Moresza tylko dwaj świadkowie asystowali ślubnej ceremonji) zajechał przed dom pana młodego, gdzie ich oczekiwała uczta weselna.

Ciszej niż stypa odbyła się ona; po godzinie i Balińscy wrócili do siebie a Łucja pozostała u swych... oprawców.

II.

Jak między sobą żyło młode małżeństwo? — to było tematem sporu mieszkanek małego miasta. Mówiono, że żyją w zgodzie, ale stare kumoszki kiwały na to głową, gdy po roku, a nawet i po dwóch w domu Moresza o chrzcinach nic słyszeć nie było.

Od nich samych również nic wydobyć się nie dało; stara Moreszowa nagabywana, machnęła ręką, splunęła i nic więcej. Syn zaś w takich razach zaciskał zęby i prosto szedł do.... szynku. Nigdy też groźniejszym nie okazywał się przy egzekucjach, aniżeli temi czasy.

Łucja, jakby nic o tem wszystkiem nie wiedziała, większą część czasu spędzała u matki, lub na parę dni do siostry na wieś jadąc. Wobec teściowej była grzeczną, ale przytem potrafiła ją utrzymać zdala od siebie; imponowała jej nieokreślonym powabem wyższości i nigdy do poufałej rozmowy między niemi nie przyszło.

Stara Moreszowa miała oddzielne mieszkanie po drugiej stronie sieni; osobne też prowadziła gospodarstwo i zwyczajem mieszczek, sługi nie chowała. Do synowej nie przychodziła, a z początku i syn od niej stronił; ostatniemi jednak czasy często do matki zaglądał, długo się z nią naradzając.

Dziwnym był jego stosunek do żony. Po ślubie, zostawszy z nią sam na sam, z brutalnością właściwą niskim charakterom, starał się ją podbić. Lecz młodziutka kobieta taką miała nad nim władzę, że zdawało się, iż podobnie jak pogromca dzikich zwierząt, wzrokiem poskramiać umiała jego żądania. Z początku trwożliwością, później z coraz większą pewnością używała tej broni, a on choć rzucał się i zżymał, poradzić sobie z nią nie mógł. Znalazł też ukojenie na dnie flachy wódki.

Dla dekorum jednak pokazywali się razem w kościele. Spokojna i blada potrafiła Łucja wywołać uśmiech na swe usta, gdy spostrzegła matkę, lub pytające spojrzenie brata i siostry, którzy już i tak żal do matki mieli, że wydała ją za Moresza.

Ubóstwo podano za pretekst, a oni uwierzyli.

Wszystko to drażniło do żywego starą Moreszową a zaniedbana przez tę gołą szlachtę, jak nazywała Balińskich, poczęła intrygować w sposób siebie godny. Pewno niejedna tajna konferencja poprzedziła plan straszny już swym zamiarem.

Uradzono zaprosić Łucję do teściowej na herbatę i przy tej sposobności ją otruć. Owa piekarka z pod rynku Marjanna Kaliszynowa, zobowiązała się wydać córkę za Moresza, gdy zostanie wdowcem, czem stara mocno się ucieszyła, bo pozbywszy się znienawidzonej przez siebie synowej, otrzyma taką, którą sama dawniej protegowała chociaż bez skutku. Córkę piekarzowej wystawiono na szturm afektów Moresza, by uspić jego skrupuły. Używała ona jako posłuszna córka swej matki, całej kokieterji małomiejskiej piękności; mówiła mu o miłości, a on pogardzany w domu, tem milej słuchał jej zaklęć, z tem większem upodobaniem przyjmował pieszczoty mieszczanki, ponieważ u żony tylko spojrzenia pełne wstrętu dlań spotykał.

Tak więc tych troje (Moresz, jego matka i piekarzowa) zmówiło się na zgubę młodej, a w przekonaniu wszystkich szlachetnie myślących, niewinnej kobiety. Czekali tylko sposobnej chwili, a prędzej się ona nadarzyła, niż się spodziewać mogli.

Balińska wyjechała na wieś do starszej córki, która powiwszy synka, pragnęła się z matką widzieć. Lecz jakby coś złego przeczuwając, pozostawiła u Łucji najstarszą swą wnuczkę.

Nie w smak to było starej Moreszowej, ale dziesięcioletnia Anulka po naradzie krótkiej uznaną została za nieszkodliwego świadka.

Nieszczęsne fatum ścigało widocznie Łucję, bo nawet zwykłego w takich razach podejrzenia mieć nie mogła; prawie wypadało w tych dniach święto Józefy, patronki starej Moreszowej, imieninami też temi umotywowano jej zaproszenie na herbatę. W pierwszej chwili chciała odmówić, lecz obawiając się niemiłych następstw, przyjść z Anulką obiecała.

Piekarzowa, jej córka i stara Moreszowa siedziały już za stołem, gdy do pokoju weszli Moresz, Łucja i Anulka. Przywitanie ze strony teściowej było czułe i pełne serdeczności, na które to objawy przyjaźni Łucja odpowiadała ze zwykłą sobie powagą i słodyczą.

Rozmowa toczyła się leniwie; co chwila urywał się jej wątek; jedna Anulka szczebiotała wesoło, co raz to o co innego zapytując ciotuni. Stara Moreszowa, nie mając służącej, sama usługiwała do stołu.

— Matko, podajcie drugą kolejkę herbaty — zawołał Moresz, a oczy jego w tej chwili krwią nabiegły i dziwnie chrapliwym wydobył się głos z jego piersi.

— Dla mnie nie potrzeba — rzekła Łucja — nie mam dziś do niej apetytu.

— Kochana pani — odezwała się piekarzowa słodziutkim głosem — herbata bardzo zdrowym jest napojem, niech pani dla towarzystwa to zrobi i pije.

Łucja westchnęła cicho i nie próbowała już sprzeciwić się.

Moreszowa poszła do kuchni, by tam nalać herbaty; w pokoju po jej odejściu zapanowała przykra

cisza. Moresza ręce nerwowym ruchem gniotły serwetę; piekarzowa starała się w jego oczach szukać otuchy, lecz on uparcie wzrok od niej odwracał. Piekarzówna siedziała także przygnębiona z innej znów przyczyny. Że Moresz i jego matka starają się zgładzić Łucję ze świata, o tem wiedziała; czy to miało jednak odbyć się dzisiaj, o tem nikt jej nie mówił. Siedząc ale blisko Łucji uczuła swą niższość; cóż znaczyła jej twarz czerstwa, grube ręce, cóż nawet jej długie czarne warkocze w obec anielskiej piękności młodej, nieszczęśliwej kobiety? Była gniewną z tego rezultatu swych porównań tem bardziej, że we wzroku Moresza szukała niemej adoracji.

Wtem z kuchni doleciał brzęk stłuczonego szkła; Moresz się zerwał, piekarzowa toż samo.

— Co to? — chrapliwie spytał Moresz.

Piekarzowej oczy trwożliwie zwrócone w stronę kuchni, zdradzały jej złe sumienie.

— Trzeba może pójść zobaczyć — szepnęła.

I wraz z Moreszem poszła do kuchni.

— Coś tam w kuchni wiele korowodu około tej herbaty — przemówiła po dłuższej pauzie piekarzówna, gdy nikt z kuchni nie wrócił.

— Bez służącej.... — odpowiedziała Łucja i urwała wpadając znowu w zadumę.

Anulka widząc się zaniedbaną, pozostała, zakręciła się po pokoju; tak manewrując doszła do kuchni i w progu stanęła.

Właśnie w jednę ze szklanek nalanych herbatą, wsypała stara Moreszowa jakiegoś proszku. Szklanki już stały na tacy i miała je zanieść do pokoju, gdy nagle tak zatrzęsły się jej ręce, że byłaby ją pewnie z rąk wypuściła, gdyby zimniejszej krwi piekarzowa nie wyręczyła jej w posłudze.

Wszyscy troje nie spostrzegli Anulki, która w progu stanąwszy z ciekawością roztropnego dziecka każdy ich ruch zauważała.

— A ty co tu robisz? — zawołała piekarzowa opryskliwie, gdy ją w progu zoczyła — usuń mi się.

Dziecko się usunęło, lecz do Moreszowej przystąpiwszy, spytała cicho:

— Czemu pani wsypała coś do jednej szklanki, a do drugich nie?

Moreszowa zadrżała, lecz prędko się przemógłszy, odparła:

— Nie miałam już więcej urąbanego cukru, to miałkiego wsypałam.

— A tak — kiwnęła Anulka, idąc za nią do pokoju.

— Pijmyż tę herbatę, bo wyziąbnie — rzekł Moresz; gorączkowo jednę ze szklanek uchwycił, a przysunąwszy ją żonie, po drugą sięgnął i do ust podniósł.

Kobiety poczęły mieszać łyżeczkami herbatę w szklankach; Łucja, pijąc ją, skrzywiła się.

— Cóż, mało słodka może? — spytała ją z usłużnością teściowa.

— Taka gorżka i dziwnego smaku — odpowiedziała Łucja.

— Ma pani pewno zły smak w ustach — rzekła piekarzowa — lecz może zapomniała nasza solenizantka włożyć cukru.

— O, pani wsypała miałkiego cukru, ja widziałam — zawołała Anulka.

— Niech mama cukru nie skąpi, jeno poda — rzekł syn ostro — a gdy matka włożyła spory tego kawał do szklanki Łucji, dodał do niej zwrócony: — Wypij prędzej, bo mi się djabelnie chce spać!

— Więc chodźmy — Łucja już podnieść się chciała, ale piekarzowa i córka, wreszcie teściowa nalegać poczęły, by nie pogardzała ich towarzystwem i choć tę jednę szklankę z niemi wypić raczyła. — Usiądę więc, lecz nie będę piła; ta herbata mi nie smakuje — rzekła w końcu.

— Pij pani moją, jeszcze nie naruszona — przemówiła piekarzówna, na której Łucja zrobiła nader głębokie wrażenie.

— Nie... dziękuję pani; będę już z tej piła.

Łucja podniosła do ust szklankę i jak kapryśni chorzy, których męczą, by zażyli gorżkie lekarstwo, wypiła duszkiem herbatę i usta własną chusteczką otarła.

— Niech ci to będzie na zdrowie — rzekła teściowa z rozpromienioną twarzą.

Teraz, jak było umówione, powinien był Moresz zaprowadzić żonę do siebie, by potem wszystko miało pozory samobójstwa. Otrucie arszenikiem może trwać dni kilka, jeśli małą bierze się dawkę; liczyli na to, a zapomnieli, że to co Łucja zażyła, jak na jej organizm, mogło ją wkrótce o śmierć przyprawić.

To też, gdy chciała wstać od stołu, zachwiała się; już trucizna zaczynała działać.

— Wybaczcie... ale nie wiem, co mi jest...

Dalej Łucja mówić nie mogła; dostała silnych wymiotów.

Stara Moreszowa, widząc już tak prędkie skutki swej zbrodni, straciła głowę; piekarzowa nie mniej od niej się zatrwożyła.

Tymczasem piekarzówna zajmowała się biedną ofiarą.

— Zwykle czerwona jak burak dziewczyna zbladła na widok kurczów, które chwyciły Łucję. Podejrzenie zbrodni zrodziło się w niej nagle, a z każdą chwilą w większą wzrósłszy pewność, trwogą ją przejęło. To też próbowała ratować Łucję.

Moresz stał przy oknie trąbiąc w szyby; piekarzowa i Moreszowa latały niby za ratunkiem się oglądając, w istocie zaś oczekiwały końca agonii. Anulka płakała, pieszczotami obsypując ciotunię kochaną. Straszne panowało zamieszanie; jęki Łucji, płacz Anulki, bieganina dwóch kobiet z niekoniecznie stósownym akompaniamentem dzwonienia w szyby, stanowiło denerwujące wrażenie.

Na chwilę polepszył się stan cierpiącej, a w umyśle otaczających ją osób różne krzyżowały się myśli.

— Doktora — szepnęła Łucja.

Żądanie to powtórzyła głośno Anulka, sama chcąc biegnąć po lekarza, lecz Moresz za ramię ją ścisnąwszy, odrzucił na drugi kąt pokoju.

— Nie potrzeba — wrzasnął — nic jej nie będzie! Mdleje jak szlachcianka, tfu — i splunął.

— Anulko — jęknęła Łucja — zaprowadź mnie... niech umrę... na swojem... łóżku.

Wypełniono jej życzenie; piekarzówna i Anulka zaprowadziły ją do jej mieszkania i na łóżku ułożywszy, usiadły obok. Moresz wszedł także, chciał być świadkiem agonii.

Łucja zdawała się spokojnie zasypiać; piekarzówna ją opuściła, bo zawołana przez matkę, musiała pójść do domu.

Na ulicy wygwizdywał stróż nocny godzinę jedenastą; Anulka walcząc z sennością, wpatrywała się w twarz ukochanej cioci tak długo, aż zmęczona, zdrzemnęła się.

Może o północy zerwała się Łucja ze strasznym okrzykiem; musiała okropnie cierpieć, bo chociaż nic jej na życiu nie zależało, uparcie wołała o doktora.

Mąż spał w łóżku, a choć słyszał to wszystko, ani się nie ruszył. Anulka z płaczem go prosiła, by zawołał doktora, lecz jeszcze ją ofuknął, że mu przeszkadza, kiedy on śpiący. Biedne więc dziecko wróciło do łóżka ciotuni, opowiadając jej w naiwności swej, co wujaszek mówił.

Ostatkiem sił podniosła się Łucja w łóżku.

— Więc księdza! — krzyknęła nadludzkim głosem — księdza... morderco!!!

Nie wzruszył go nawet ten rozpaczliwy krzyk; nie wstrząsnął jego sumieniem wyraz: morderco! Był pijany.

Znowu przeszła straszna chwila; Łucja pojmowała sytuację; odczuła truciznę, która rwała jej wnętrzności; znała, bo przeczuła swych morderców, a męcząc się w agonii tej pragnęła tylko jej rychłego końca i pociechy św. sakramentów. Widząc, a raczej odgadłszy stan męża, pożegnała się z tą pociechą; kazała sobie podać krucyfiks i poczęła się modlić.

Drżąc febrycznie, patrzała na to Anulka, wypełniając jej rozkazy. W tych kilku godzinach dziecko to dojrzało o jakie lat pięć. Nie płakała już; może odczuła ważność chwili?

Łucja się modliła, gdy śmierć nagle, niespodziewanie położyła kres jej cierpieniom.

Ostatni ruch konwulsyjny... krzyżyk z ręki wypadł.... w piersiach coś zacharczało.... i cisza zaległa pokój.

III.

Senzacyjne wiadomości bywają rozchwytane z błyskawiczną szybkością. Już w czas rano wiedziało całe miasteczko o nagłej śmierci Łucji Moreszowej.

Mówiono, że się sama otruła, nie chcąc dłużej żyć z swym mężem. Tłumy ciekawych nawiedzały mieszkanie Moresza, by przypatrzeć się zmarłej i wśród ogólnego zamieszania wyszła Anulka, dotąd pilnie strzeżona.

I dziwnym prowadzona instynktem nie pobiegła do dziadka, którego by i tak w domu nie zastała, bo zdarzało się często, że nie spał w domu, lecz do swej nauczycielki. Tej opowiedziała zdarzenie przeszłej nocy z całą przytomnością pamięci, powtarzając każdy szczegół, nawet krzyk Łucji: „księdza, morderco!“

Panna Jadwiga, nauczycielka Anulki, była osobą nader rozsądną, już nie tak młodą a bardzo wiele w życiu doświadczywszy, uwierzyła zeznaniu Anulki. Ostrożnością się powodując, zatrzymała dziecko u siebie i bezzwłocznie wysłała umyślnego posłańca po Balińską z żądaniem powrotu do chorej Łucji. Należało bowiem przygotować biedną matkę do strasznego ciosu.

Gdy Balińska po otrzymaniu tej wiadomości wybrała się natychmiast w drogę, odbyła się już komisja w domu Moresza.

Sędzia śledczy na mocy zeznań sąsiadów, którzy opowiedzieli, jako Łucja, zaproszona do teściowej na herbatę, piła ją w towarzystwie męża, jego matki, piekarzowej i jej córki, że po temu zachorowała, na co zawołany przez sędziego lekarz podał otrucie jako przyczynę śmierci, dodając, że prawdopodobnie musiał to być arszenik, rozkazał aresztować Moresza i matkę jego. Piekarzowej i jej córki choć tymczasowo nie pozbawił wolności, od tej chwili jednak pozostały one pod tajnym dozorem policji.

Nieszczęśliwą ofiarę przetransportowano do sali medycyny sądowej, a mieszkanie na rozkaz sędziego śledczego zapieczętował komisarz.

To wszystko odbyło się, zanim Balińska zdążyła do miasta. Tu usłużne kumoszki uwiadomiły ją o wszystkiem, ledwie że doszła do mieszkania panny Jadwigi.

Poczciwa nauczycielka w oględny sposób dokończyła smutnej historji, a Balińska, nie wiedzieć zkąd, tyle posiadała mocy ducha, że przemógłszy ból, słuchała jej uważnie, więcej niż sędzia jako matka badając.

O wszystkiem dokładnie się poinformowawszy, wraz z Anulką poszła do naczelnika. Pragnęła strasznej kary dla morderców Łucji; wątpiła, ażali prawo ma wystarczające po temu dowody; swoje więc usługi chciała ofiarować, by nie omyliła się sprawiedliwość.

Dłużej niż godzinę przebyła na rozmowie u naczelnika. Wezbrane serce matki nie taiło się już z niczem; opowiadała mu o nieszczęśliwem swojem pożyciu i pod jakiemi okolicznościami Łucja za mąż wydaną została. Anulka z wierną a niekłamaną pamięcią oddała znów zgrozę wczorajszego wieczoru.

Naczelnik słuchał i notował sobie coś na papierze; zezwolił także na odwiedzenie zmarłej córki, uspokajając tem, że po sekcyjnym protokole, zwłoki Łucji zostaną matce oddane.

— Bądź pani przekonaną, że prawo pomści śmierć twojej córki — rzekł, ściskając jej dłoń na pożegnanie — niestety! innej pociechy dać nie mogę; to w ludzkiej nie leży mocy. Masz pani wzniosłe usposobienie, zniesiesz i ten krzyż, który nieba ci zesłały z równie chrześcijańską pokorą, jak wszystkie dotąd dźwigałaś.

Na trzeci dzień odbył się pogrzeb Łucji, a towarzyszyły konduktowi niezliczone tłumy publiczności nawet ze sfer najinteligentniejszych. Z okolicy przybyło także kilka powozów z arystokracją tamtejszą. Śmierć młodej kobiety, która padła ofiarą zbrodni własnego męża, wywołała powszechne zajęcie. Zapomniano o wszystkiem, co ją dawniej dzieliło od równie wysoko urodzonych; wszyscy spieszyli z hołdem dla młodej męczennicy, choć gdy żyła, nikt nie pytał, czemby można jej ulżyć.

Tak bywa na świecie! Potrzebne czasem wielkie nieszczęście, by zgrozą swoją przemówiło do współczucia... bliźnich!...

Sprawa zbrodni została wytoczoną; wiedziano, że pójdzie pod sąd przysięgłych; z niecierpliwością też oczekiwano terminu ostatecznej rozprawy, obiecując sobie senzacyjnych szczegółów.

IV.

Przed gmachem sądu karnego stał rząd powozów, a tu i owdzie przystanęła gromadka ludzi. Żywo gestykulując, patrzali oni co chwila w górę, jakby ztamtąd czerpali temat ożywionej dyskusji.

Właśnie odbywała się w dużej sali rozprawa zbrodni otrucia, dokonanej na Łucji Moreszowej, z domu Balińskiej.

Wstęp na salę tylko za biletami był dozwolony, publiczność doborowa; to też milczenie panowało głębokie, gdy przewodniczący zagaił posiedzenie.

Przypominając zebranym w sali sądowej o winnym szacunku dla sądu i właściwem zachowaniu się podczas rozprawy, zwrócił się do stron interesowanych upominając, by mówili prawdę najświętszą, gdy ich się pytać będzie.

Jedynym ważnym świadkiem była Anulka. Dwaj lekarze: sądowy i miejski, zwołani zostali do potwierdzenia przed trybunałem sposobu i przebiegu otrucia.

Oskarżonymi byli: Moresz Wawrzyniec, Moreszowa Józefa, Marjanna Kaliszynowa i córka tejże Katarzyna Kaliszynówna.

Przewodniczący upomniał świadczących, żeby, jeśli to możebnem, nie zapomnieli szczegółu, któryby do obrony oskarżonych mógł służyć i aby niczego nie podali, coby wbrew sumieniu lub prawu było.

Najpierw lekarze oddali swe sprawozdanie, a leżąca obok przewodniczącego chustka zmarłej Łucji, która nosiła ślady wymiotów, szła z rąk do rąk w gronie przysięgłych.

Gdy lekarze się usunęli, zawołano Anulkę. Zeznania jej zyskały w następstwie przyznania się do winy oskarżonych. Z apatją, która miała w sobie coś

bydlęcego, oczekiwali oni końca rozprawy. Piekarzówna tylko jako mniej winna w porównaniu z drugimi, mogła mieć nadzieje jeśli nie zupełnego ułaskawienia, to choć mniejszej kary. Po przeczytaniu aktu oskarżenia zabrał głos prokurator. Po nim mówił obrońca oskarżonych, który starał się kłaść nacisk na nietrzeźwość Moresza, a gdy skończył i przewodniczący według formalności jeszcze raz spytał oskarżonych, czy nie mają co dodać na swe usprawiedliwienie, na co otrzymał lakoniczną odpowiedź: „nie,“ usunęli się sędziowie przysięgli do drugiej sali na naradę.

Po godzinie pełnej oczekiwania wrócili i orzekli jednogłośnie: „Winni śmierci.“

Wyrok został przeczytany. Wawrzyniec Moresz, Józefa Moreszowa i Marjanna Kaliszynowa zostali skazani na śmierć przez powieszenie; Katarzyna Kaliszynówna na pięcioletni pobyt w domu poprawy.

*
* *

Prawo pomściło śmierć Łucji i tą zamstą musieli się zadowolnić krewni nieszczęśliwej ofiary. Czas kirem niepamięci oblókł tę historję. Tylko lilje na grobie Łucji czerpiąc swój żywot z prochów umarłej, rokrocznie w świeżej woni otoczyły krzyż kamienny, na którym widnieje napis skromny:

„Przechodniu! módl się za duszę biednej Łucji! Zamordowana w dwudziestej wiośnie życia.“

Czy potrzeba jeszcze komentarzy? Historja ta i ten napis, to tylko jedna wyrywana karta z smutnej powieści życia!

KONIEC.

BIBLIOGRAFIA.

[Nowiny literackie, podawane przez księgarnię H. Altenberga. Lwów, 1891—92. Miesięcznik. Mała ósemka.]

Publikacja niniejsza znanej zaszczytnie księgarni H. Altenberga we Lwowie, wypełnia lukę w naszem piśmiennictwie. Dotychczasowe polskie wydawnictwa tego rodzaju albo nie są z powodu wysokiej ceny przystępne dla ogółu, albo też z rozmaitych innych powodów na szczupłą tylko ilość czytelników ograniczone. W miesięczniku, którego 4 numera począwszy od Października 1891 r., mamy przed sobą, księgarnia Altenberga starała się skutecznie zaradzić tym brakom. Wydawnictwo jest bezpłatne, a oprócz tego eleganckie co do powierzchowności. Każdy numer oprócz ocen dzieł i tekstu czysto księgarskiego, zawiera także rycinę, wiersz wstępny, biografje i wzmianki o znaczniejszych autorach i dziełach tychże, tudzież kronikę literacko-artystyczną. Format wielce dogodny umożebnia oprawę pojedynczych numerów po zebraniu się większej ilości tychże. Z portretów dotąd wyszłych wymieniamy portrety Orzeszkowej, Krechowieckiego, generała Kruszewskiego, oraz widok krajowej niższej szkoły rolniczej w Jagielnicy. Publikację tę uważamy za niezmiernie pożyteczną dla ogółu czytelników.

[Ojczyzna, dwutygodnik, organ Towarzystwa „Przymierza braci.“ Lwów, 1891. Rok XI.]

Najrozmaitsze hasła historyczno-pamiątkowe, literackie i społeczne, bądźto anti-, bądź filosemiczne

budził rok ubiegły: echa ich rozpoznajemy w łamach „Ojczyzny“. Jubileusz Orzeszkowej spowodował „Adres żydówek-Polek w Galicji do Elizy Orzeszkowej“; konstytucja 3-go Maja spowodowała artykuły: „W stuletnią rocznicę“, „Sprawa żydowska w czasie sejmu wielkiego“ i „Obchód setnej rocznicy konstytucji 3-go Maja r. 1791;“ w sprawie żargonowej pro i contra pisali Wilhelm Feldman, Ignacy Süsser i Herman Feldstein; tak zwane „rytualne morderstwa“ znajdują należytą odprawę w artykule: „Morderstwo rytualne w klasztorze kalwaryjskim“; antisemici katoliccy w artykule: „Spisek żydowski“ otrzymali również odprawę; antisemici żydowscy à la Reichenberg i Steuer także nie zostali pominięci, a powiemy otwarcie, że antisemici żydowscy podając upragnioną broń do rąk antisemitom katolickim, daleko większem niebezpieczeństwem zagrażają sprawie żydowskiej; prześladowania moskiewskie, fundacja hirszowska, oświata, potrzebna nieodzownie dla mas ciemnych, aby takowe podnieść, uszlachetnić, uobywatelić — stanowią obok lokalnych spraw samego Towarzystwa również temat dyskusji niewyczerpany dla pisma.

Obok tego i fejleton pisma nie został zaniedbany. Godne uwagi są 3 pieśni, z żargonu żydowskiego przełożone: „Cu di mewakrim,“ „Mój język“ (z ballady Monisz“) i „Tefilas cadikim,“ szczególnie ta ostatnia. Z powieści i szkiców powieściowych na szczególną uwagę zasługują: Wilhelma Feldmana „Cuda na niebie i na ziemi,“ wykazujące na małym Joelku skutki wychowania chajderowego, Reginy Pniowerówney „Stara piosnka,“ malująca dosadnie chciwość, upatrującą w bogatym posagu jedyny cel miłości, Anieli Korngutówney „Domokrężna,“ wreszcie Ernesta Deichesa „Z przeszłości,“ rzecz poświęcona „żydom-Polakom uczestnikom walki r. 1863.“

[Gazeta Polska, Czerniowce. Dokończenie roku 1891. i początek roku 1892.]

Z niezmienionym dotąd kierunkiem i pod tą samą redakcją wychodzi i nadal w Czerniowcach znane ogółowi pismo kresowe. Brak miejsca, w przeważnej części dla oceny książek zastrzeżonego, nie pozwala nam, obszerniej rozwodzić się nad tem pi-

smem. Nadmieniamy jednak, że nie brak i teraz w „Gazecie Polskiej“ pożądanej tak bardzo przy podobnych pismach rozmaitości.

Obok części kronikarskiej i politycznej widzimy fejleton pisma jak dotąd bardzo umiejętnie opracowany a zawierający prawie wszystkie ważniejsze działy, mianowicie: powieść oryginalną lub tłumaczoną, nowelę, humoreskę, oceny dzieł, biografię, szkic polityczno-historyczny, etnograficzny i t. d.

W ostatnich czasach obok starych i znanych imion spostrzegliśmy w łamach pisma także zupełnie nowe siły, przez redakcję dopiero zaangażowane. Z współpracowników bądźto nowych, bądź starych wymieniamy: Walerję Marenné z nowellą: „Sewera,“ Reginę Pniowerównę, znaną także jako współpracowniczkę „Ojczyzny“ ze szkicem: „Ciężka dola,“ Zygmunta Ludomira z artykułami: „Lenartowicz w Nocerze“ i „Zagadkowe egzystencje.“

Zajmująca powieść z angielskiego: „Dla dziedzictwa,“ przetłumaczona na język polski przez Zofię S. a rozpoczęta w druku jeszcze przeszłego roku — skończyła się w „Gazecie Polskiej“ dopiero z początkiem nowego (dziesiątego) rocznika.

[Im Buchwald, pismo wychodzące w Czerniowcach w zeszytach dwutygodniowych pod redakcją O. J. Nussbauma. II. rocznik, 1891.]

Po pierwszym pamiątkowym zeszycie, zawierającym wyłącznie rzeczy ku czci niemieckiego poety Grillparcera streszczone, — następuje dopiero właściwe wydawnictwo. Urozmaicone bardzo dodatnio i w korzystnym do pierwszego rocznika stosunku, zawiera ono prace cenne tak naukowej, jak i belletrystycznej treści. Z naukowych wymieniamy: „Rozwój sztuki muzycznej w Bukowinie“ A. Hrymali'ego, „Stosunek drobnego przemysłu do większego“ Schuler-Libloya i t. d., z belletrystycznych dramat 3aktowy Echegaraya „Bernardo Montilla“ w przekładzie Aleksandra Graweina i powieść oryginalną Reinholda Ortmana: „Dyrektor bankowy.“

Pismo, jak dawniej, tak i teraz, zawiera dosyć udatny dział illustracyjny, a z rzeczy specjalnie bukowińskich podania ludowe, szkice historyczne, kro-

nikę artystyczno-literacką i t. d. Poezyj dostarcza sam wydawca ze współudziałem Leonarda Piotrowskiego, Gustawa Kaczkowskiego: („Śmierć i piewca“, bez zaprzeczenia najpiękniejszy wiersz w całem wydawnictwie), Emila Krämera, A. Deutscha, A. Handla, Maksymiliana Kalbecka i innych.

[Józef H. Rychter. Droga życia. Szkic poetyczny, odszczególniony przez włoską Akademią wielką nagrodą Wiktora Emanuela. Drugi nakład. Kraków, 1890. Nakładem Gebethnera i spółki, a czcionkami Józefa Fischera. Stronic 22. Dwunastka.]

„Droga życia“ — stylem żywo przypomina nam Słowackiego niektóre ustępy, choć treść odmienna zupełnie. Autor, znany nam już z rozmaitych prac oryginalnych i tłumaczeń, przedstawia nam w „Drogach życia“ uczucia świata pogańskiego i dawniejsze szały zwierzęce, których miłość była dzika, zabójcza, i jak Kronos pożarła swoje dzieci. Przechodzi następnie do ery, w której Chrystus ciemności rozprószył a światło siał, o której to erze wieszcz niemiecki (Zedlitz) w niezrównanych swoich „Wędrówkach Ahaswera“ pisze:

„Jak wiosna życie budzi swojem tchnieniem,
Jak pod jej wpływem wszędy lód topnieje
I znów się pola zielenią w około,
Ptak swą piosenkę szczebiocze wesoło,
Uśmiech przyrody nowem życiem tleje:
Tak też miłości tchnienie ciepłe, błogie
Przeniknie serca wrogie!
Bóg jeden tylko sądzi ludzkie plemię,
Bez Niego z głowy ci nie spadnie włos,
Moc Jego wielbi Cherubinów głos:
„Chwała Mu w niebie, spokój tu na [ziemi!“

Następcy i uczniowie Chrystusa nie szli niestety jego drogą....

A były czasy, że

„słudzy Chrystusa,
Tego Chrystusa, który miłosierdziem
Nawracał ludy i krzepił miłością —
Drogą okropnych męczarń torturowych
Wrażali ludziom w serca Jego wiarę!“

Z tym wstępem zdaje nam się, że rzecz sama skończona: co dalej następuje, to tylko epizody.... Bardzo pesymistycznym poglądem na przyszłość kończy autor swoją bądź co bądź uwagi godną pracę.

Wydanie co do powierzchowności przyzwoite: razi jednak oko czytelnika, nieprzyzwyczajonego do takich dowolności druku, szczegół, że wszędzie wiersz biały 11-zgłoskowy drukowany in continuo jak proza. Razi to i psuje wrażenie. Gdyby się okazała potrzeba trzeciego nakładu, radzilibyśmy stanowczo wystrzedz się podobnych praktyk drukarskich.

[Józef Rychter. Ciernie i wawrzyny. Zbiór powiastek historycznych. Kraków, 1889. Nakładem K. Bartoszewicza, czcionkami Józefa Fischera w Krakowie. Mała ósemka. Stron numerowanych 106. Cena 80 centów.]

Zbiór niniejszy obejmuje 6 historycznych obrazków i powiastek. Pierwszy z tych obrazków „Zadatek Sławianina“ wprowadza nas w świat zamierzchły przeszłości, kiedy to hordy teutońskich najezdców napadły na sławiańskie kraje, niosąc jak to nieśmiertelny wieszcz obrazowo przedstawia, w jednej ręce światło wiary nowej, a w drugiej zagładę. Na pobojowisku, na którem wrogowie trupy poległych Sławian plondrują, spotkali się silny jak lew i krwiożerczy Teuton z rannym Sławianinem, którego nieprzyjaciel szyderczo wyzywa; lecz Sławianin, dobywając resztek sił, rozstrzaska swoim buzdyganem miecz teutoński i gołą pięścią wali w twarz napastnika, a „Teuton zachwiał się na nogach i padł bez życia. To zadatek Sławianina.“

„Kolosy“ przedstawiają nam w żywych barwach serdeczne stosunki dwóch wielkich mocarzy Bolesława Chrobrego i siostrzeńca jego Kanuta Wielkiego, z których jeden szczerbcem walił w mury Kijowa i łączył Sławian pod berłem potęgi swojej, a drugi był pogromcą Anglii i twórcą przyszłej wielkości państwa skandynawskiego, które pod panowaniem słabych następców w gruzy się rozpadło.

Powiastka „Piękna Kasztelanowa“ opowiada nam smutne dzieje dwojga serc kochających Swiętosławy i Isztwana, rozłączonych okrutną ręką za-

zdrośnego wojewody Nawoja. Rzecz nie odosobniona w dziejach, ale przecież z taką rzewnością i prostotą opisana, że zaliczyć ją można prawie do najpiękniejszych w tym zbiorku powiastek historycznych. Jeśli coś przecież zarzucić musimy szanownemu autorowi, to to, że w dwóch miejscach od siebie uczynił uwagi zbędne a osłabiające wrażenie całości. Do tych uwag należy na str. 22. ustęp zacząwszy od „Tak mawiał wojewoda Nawój“ aż do „obok potęgi i chwały“, na str. 38. zaś ustęp zacząwszy od „Ciężkim był jej żywot“ aż do „ale serce jej było wolne.“

„Kiszporg“ jest to legenda, a raczej obrazek z czasów krzyżackich. Przedstawia w nim autor wiarołomstwo zakonu, które go wiodło w bój już nie przeciw poganom, ale przeciw chrześcijańskim wojskom Jagiełły, w bój zakończony porażką pod Grunwaldem i Tannenbergiem; w dalszej serji obrazków luźnie tylko związanych z „Kiszporgiem“ czyli „Christburgiem,“ sławnym zamkiem krzyżackim —, przedstawia autor karę niebios za wiarołomstwo zakonu, to znowu wyuzdanie krzyżaków i fanatyzm religijny, który w dalszem następstwie pociągnął za sobą krucjaty i inkwizycję.

„Idylla królewska“ opisuje miłość Zygmunta Augusta dla wdowy po Gasztołdzie, Barbary Radziwiłłównej, miłość króla, który „pod wpływem czaru miłości zdolny był do wielkich czynów i mógł sięgnąć po sławę Chrobrego i władać państwem jak ów król potężny, gdyby genjalna w miłości Barbara była równie genjalną Polką“...

Ostatnia powiastka p. t. „Tatarskie wesele“ opisuje miłość pięknej chorążanki Zofii do dzielnego wojaka Stanisława, miłość, której gody weselne, przerwane napadem zbrojnym tatarskiej czerni, przemieniają się w wesele krwawe „tatarskie.“ Wszystkie te powiastki cechuje tendencja uczciwa, duch patrjotyczny, język barwny, polecające ten zbiorek szkiców szczególnie dla niewiast polskich. Zarzucać jako wadę musimy niektóre frazesy i perjody, bezpotrzebnie dodane i osłabiające wrażenie całości, zbyt wielką szorstkość w wyrazie także w powiastce: „Zadatek Sławianina.“

[Zygmunt Niedźwiecki. Słońce, nowelle i szkice. Kraków, 1892. Nakładem autora a czcionkami drukarni związkowej w Krakowie. Stronic 209. Mała ósemka. Cena 1 złr. 20 centów.]

Słońce świeci — jak to mówią — sprawiedliwym i niesprawiedliwym; ono czyny wielkich bohaterów oświetla niby aureolą złotym swoim promieniem, ale sięga także do najgłębszych kałuży społeczeństwa, wydobywając z nich nieznośne miazmaty i fetory. Pan Niedźwiecki jest realistą, wielbicielem i zwolennikiem szkoły Zoli. To nam tłumaczy szczegół, że jego „Słońce“ tylko fetory i męty towarzystwa ludzkiego na wierzch wydobywa. Ale jeśli w tem towarzystwie ludzkiem istnieją już damy, palące cygara i dymiące na równi z wachmistrzem od dragonów, jeśli nie brak i takich dam, które w toku rozpraw karnych nie mdleją przy odsłonięciu szczegółów najdelikatniejszej natury, to może i „Słońce“ p. Niedźwieckiego znajdzie w tem towarzystwie zwolenników, podziwiających jego „promienie.“ A rozpaczliwe rzeczywiście musiałyby być nasze stosunki moralne, idealizm wszelki zaliczyć trzebaby chyba do próżnych mrzonek i urojeń, jeśli te 17 nowell i szkiców, choć większa część ich niestety może i na prawdzie polega — stanowić by miały Alfę i Omegę naszego życia codziennego.

Pan Niedźwiecki mimo swoich lat młodzieńczych rzeczywiście pesymistą jest nielada. Udowadnia to sam wstępny artykuł jego: „Słońce“. Autor podziwia blask słońca, raduje się nim tylko w tym celu, aby parę wierszów dalej ubolewać nad tem, że „zbierało się na deszcz, ubyło światła, zbladły barwy, krajobraz zamglił się i zszarzał.“ A czemże słońce? „słońce... to kłamca! największy z kłamców i krzywdzicieli naszych po wszystkie wieki. Kłamie ono, bo wytwarza rzeczy złe, brzydkie i znikome a daje im doskonałą postać, bo jest źródłem wszelkich złudzeń i wszelkiej zmienności odmętem, w którym niedocieczoną pozostaje prawda“ — i tak dalej z wdziękiem w nieskończoność.

Co to „Zwierzenia?“ Myślałby może nieuprzedzony, niezarażony pesymizmem Niedźwieckiego czy-

telnik, że to wywnętrzenia się dwojga pokrewnych sobie szlachetnością i zapałem istot, ale nie! p. Niedźwiecki inaczej rzeczy rozumie. Oto 40-letni stary kawaler i wdowa także nie pierwszej młodości mają się pobierać. W chwili tej uroczystej każde drugiemu się zwierza, że już ma dziecię nieprawego łoża, prawda, każde tylko po jednemu.

Szczytem cynizmu zdaje nam się być „Posag“. W nim dziewczyna co prawda z półświatka, zwierza się jednemu z licznych swoich wielbicieli, że ma już narzeczonego, że z ślubem czekać jeszcze musi, bo brak tam posagu — ale że do roku spodziewa się dozgonnemi połączyć się węzłami z swoim adonisem kelnerem kawiarnianym; bo wielbiciele złożą się tymczasem na posag dla niej — a potem, kiedy godna para się pobierze, to założą własną kawiarnię; on bowiem jako „fachowy“ potrafi już gości obsługiwać, a ona — ona także jest „fachową“ w swoim zawodzie.

Jeśli z tendencją poprzedzających dwóch nowell godzić się żadną miarą nie możemy, to natomiast do najlepszych prawie szkiców w całym zbiorze zaliczamy „Życie.“ Autor z niezrównanym humorem, znajomością rzeczy i świadomością celu opisuje nam położenie biedaka, małego jakiegoś urzędniczka, który zdradzony przez kochankę, życia zbyt już dlań niemiłego i uciążliwego pozbawić się pragnie. Idzie więc w piękny dzień niedzielny do rzeki, aby się w jej nurtach utopić. Ale po drodze spotyka się z żebraczką, trzymającą niemowlę na ręku. Żebraczka — a zdaje mu się to być prawdziwą ironją losu — wyciąga rękę do niego po jałmużnę; do niego — zdradzonego, opuszczonego, nieszczęśliwego?! I tacy ludzie pragną jeszcze życia? Daje jej od niechcenia miedziaka i dąży przyśpieszonym krokiem do rzeki. Stojąc nad jej brzegiem widzi jaszczurkę, walczącą z ostatniem wysileniem łapkami swojemi przeciwko żywiołowi wrogiemu, grożącemu jej pochłonieniem. Jakaż to okropna śmierć! I takążto śmiercią miałby on zginąć; a w dodatku — jeśli się zamach na życie nie uda, narazić się na szyderstwa wszystkich znajomych? Nie! Wraca więc do mieszkania, po

drodze kupiwszy sobie butelkę wódki i cokolwiek zapałek. Wódka, do której on dotąd nie nawykł, ma mu dodać odwagi do wykonania samobójczego zamachu, zapałki rozpuszczone w płynie, mają go pozbawić życia. W takiem to usposobieniu rozpaczliwem, pisze listy pożegnalne do całego świata a przedewszystkiem do niewiernej kochanki. I — zasypia. Budzi go światło, wpadające pełnym promieniem do skromnej izdebki. Bo to już dzień, już druga popołudniu. Boże! co powie przełożony na taką niesłychaną opieszałość! Wtem niedoszły nasz samobójca rzuca okiem na listy pozaklejane i zaadresowane do krewnych, do przyjaciół, do kochanki. I w okamgnieniu przypomina sobie wczorajsze zdarzenia. Niezawodnie on otruty! Niezawodnie musiał zażywać trucizny dla szczurów. Pędzi więc co tchu do lekarza. Lekarz po sumiennem zbadaniu pacjenta uznaje, że mu na razie żadne nie grozi niebezpieczeństwo, ale że jest zanadto może wrażliwym. Radzi mu więc, aby na przyszłość „porzucił mieszkanie, w którem są szczury i nie miewał odtąd... pod ręką... potrzebnej na nie trucizny.“ Wybiega pacjent uszczęśliwiony, a „nieśmiertelne to życie całości, złożonej z drobnych jak pyłki śmiertelnych cząstek — zdawało się w tej chwili śpiewać przed nim uroczysty jak modlitwa i radosny jak uśmiech dziecka, przecudny hymn tryumfu.“

„Pies“ — krotochwila to, powiedzielibyśmy bez wyższego znaczenia, ale charakteryzująca usposobienie większości synów Marsa, szczególnie oficerów. Główną rolę w tej powiastce odgrywa pies „Faun“ jako powiernik schadzek miłośnych swego pana, inżyniera wojskowego Omnicza.

Humorem niekłamanym odznacza się „Nieszczęście,“ pogrążające w żałobę całą rodzinę przedmieszczan i powodujące zabawne quiproquo szczegółem mylnie tłumaczonym przez autora, że rodzina cała nosi żałobę po członku niedawno zmarłym, podczas gdy tym członkiem w rzeczywistości była — zdechła krowa.

Całkiem niesmaczną natomiast a po części i niezrozumiałą jest „Mara.“ Autor w przykładzie wziętym z życia duchowego a mianowicie z obcowania

z kochanką — chciałby nam objaśnić wpływy suggestji i hypnotyzmu. Rzecz w całem założeniu, przeprowadzeniu i szczegółach niepodobna ani do szkicu z natury, ani do nowelli, przytem zagmatwana okropnie, chyba jedynie mianem fantazji literackiej ochrzczoną być może.

Niesmaczny również w wysokim stopniu jest „Kłopot,“ przedstawiający wiarołomność młodego adwokata w przeddzień ślubu i obawy jego o następstwa, gdyby się żona o schadzce miłośnej z aktorką Florą dowiedziała. Być może, że takie rzeczy są prawdziwe, ale czy wszystkie prawdziwe błota w książkach muszą być unieśmiertelnione?

Nowella „Wybór“ bardzo realistycznie w wszystkich szczegółach przeprowadzona, ale... z przeproszeniem wielkie paskudztwo, maluje nam wcale nie obrazowo przewinienie dwóch córek starego koszykarza Trawnika, Salusi i Rozalii, które podczas niebytności ojca wdawały się w interesa tajne z „jegrem,“ przesłanym na egzekucję wedle podatków zaległych. Starsza Salusia urodziła chłopca, młodsza Rozalia poroniła tylko, a gdy się potem trafia kawaler w osobie Wicka, synowca starego i zamożnego rybaka, rodzice chcieli by wydać za niego bodaj starszą, aby pożyczonym ojcem zakryć skutki młodociannego jej błędu. Rózia wydała jednak cały sekret, a kawaler prosi o jej rękę. Myśli bowiem wedle chłopskiego rozumu: „Obie miały ten przypadek, tak w tem nie było obmowy ani nic znowu tak złego, skoro wiadomo, żadna dziewczyna, nie trza państwu mówić, nie jest święta... Ale se myślę: po co mi cudze chować!... a że miałem do obu serce jednakowe, więc proszę o Rózię.“

„Matka“ maluje nam w bardzo dosadnych barwach egoizm i wybredność niektórych osób, pragnących nibyto tylko dobra swoich dzieci a w rzeczywistości zajętych samemi tylko sobą, a do których i nasza „Matka“ należy. Wypłoszywszy bowiem ustawicznem gderaniem i rezonerstwem przyszłego zięcia z domu i spowodowawszy zerwanie tak upragnionego przez córkę ślubu, wygaduje jeszcze w dodatku na zięcia in spe:

— Nędznik! oto dowód, jak cię kochał!... Ale ja ostrzegałam... mówiłam, że z tego nic nie będzie!...

„Klucze“ — tak samo jak i „Wybór“ — jestto obraz wzięty z chłopskiego życia. Stary kowal Jan Chwast wydał córkę za wojskowego, ulegając jej woli, chociaż go wierny jego pomocnik stelmach Maks ustawicznie przestrzegał przed tym ślubem, a nawet zapowiadał: „Żeby tylko państwo tego nie żałowali!“ Ale Maks dziwak, skory do roboty jak żaden, niewyczerpany w pomysły, prawa ręka kowala, którego mienie urosło tylko dzięki przezornym radom Maksa, ale nie mający wyobrażenia o czem innem, aniżeli o pracy, a więc gorszący się wszelkiemi weselami i połączoną z niemi nieodstępną pijatyką. Gospodarz wychwala dobre jego przymioty gościom i żałuje mocno, że go nie ma na weselu, od którego się wymknął, przyjąwszy zaledwie z niechęcią poczęstunek od Karolci. Wśród opowiadań i wesołej wrzawy biesiadników wybucha nagle łuna w zabudowaniach kowala. Pożar szerzy się z niesłychaną gwałtownością, grożąc dobytkowi i mieniu Chwasta, a tu wiadro od studni urwane, brama wjazdowa i stajnie zamknięte wszystkie na wewnątrz a kluczy nie ma. Gdy już prawie wszystko się popaliło, nadjeżdża straż ogniowa i tłumi — o ile można — pożar, podłożony bez wątpliwości. Aż tu ze strycha wydobywają strażacy ciało wisielca, w którego kaftanie znaleziono klucze: od warsztatu, od składów, stodół, od stajni... Wisielcem tym był wychwalony tak bardzo przez kowala pomocnik Maks, który dobytek swego pana puścił z dymem za to, że kowalówna Karolcia zamiast niego wybrała sobie wojaka!

Cyniczni w najwyższym stopniu są „Opiekunowie.“ Być może, że taki biedny i ograniczony woźny sądowy szczęśliwym się czuje, że się pupilki pozbył, którą ulokował w domu Pauliny, osoby o podejrzanych kondwitach, „która ma dziewczęta na wychowanie“; być może, że dowiedziawszy się o tem, iż dziecko powierzone mu, umieścił poprostu w domu rozpusty, Salkę pragnie odebrać napowrót a jednak udobruchać i rozbrajać się da poczęstunkiem sutym Pauliny; że ją potem w pijanym stanie po rękach

całuje i przeprasza — to wszystko może się wydarzać i wydarza się niezliczone razy — ale jeśli prostak identyfikuje salon z wychodkiem, mamy zacny jego przykład naśladować i woń wychodków podziwiać jako salonowe perfumy nawet w dziełach literatury pięknej, przeznaczonej przeważnie dla naszych pań, przeznaczonej dla domów polskich? Nie jestem za tem, aby każdy drażliwy szczegół lękliwie przemilczano i ukrywano w naszych poezjach i powieściach, ponieważ prawda historyczna, siła i poetyczność wyrazu niezmiernie na tem tracą; ale nie wzbogaca się też — jak poprzednio nadmieniłem — literatury ojczystej błotem i odpadkami.

Wyraźnego celu szkicu, zatytułowanego: „Krzyk“ także nie możemy się domacać. Że kobieta rodzi i rodzi wśród boleści — to przecież rzecz stara jak świat. Czyż wartało, rozwałkowywać ten szczegół aż na 9 stronic?

Niepospolicie natomiast udatną i dobrą rzeczą jest nowella: „Pulares“, malująca w dosadnich barwach chciwość mazurskich małomieszczan, kłócących się nad trupem sędziwego ojca o spadek zawarty w pularesie i przyobiecany dzieciom, a z którego mimo najściślejszej rewizji, dokonanej na sukniach trupa, nie znaleziono ani śladu. Jest to obraz obyczajowy, świetnie wykonany, prawdziwie hogartowski.

„Ojciec“, smutny to obrazek i w rzeczywistości nieraz się powtarzający, przedstawia bolesne usiłowania chorego, pasującego się z śmiercią — aby bodaj przed zgonem zdobyć jeszcze ślub legalny z uwiedzioną przed laty dziewczyną i zapewnić dziecku swemu niechrzczonemu, przynajmniej nazwisko.

Nowelka „Pierwszy Maja“ z niezrównanym humorem nakreślona na podstawie święta robotniczego, przysparzającego strachajłom wszystkich odcieni tyle trwogi i obaw — jest to wyborna illustracja znanego przysłowia: „Strach ma wielkie oczy.“

Zbiór tych nowell zamyka: „Nowa era.“ Jest to rzecz prawdziwa, z życia wzięta, ale niekoniecznie budująca. W miasteczku Kącie, słynnem z kopalń naftowych, niedawno tamże odkrytych, jak niemniej z surowości obyczajów mieszczan, żydówka Fajwlowa

toworzyła kawiarnię, z którą połączyła — dom rozpusty. Doskonale bawią się w tym domu przy kawie z rumem i pannach nocnych robotnicy naftowi, młodzi ludzie o krwi gorącej; ale tem więcej zgorszenia przysparza stara żydówka zakładem swoim gastronomiczno-humanitarnym i wpółnagiemi swojemi dziewkami sławetnym ojcom miasteczka i zacnym tychże połowicom. Po rozmaitych takich zajściach i prześladowaniach urzędowych przychodzi na końcu do tego, że Fajwlowa opuścić musi Kąt i przenieść się wraz z swojemi dziewkami do oddalonego o półtorej mili Dłubnia. Ale zagrożona moralność i spokój miasteczka nie zyskują nic na tem, ponieważ robotnicy naftowi, pozbawieni dotychczasowej rozrywki, zabierają się na serjo do przyzwoitych mieszkanek Kąta. Aby tedy przywrócić bądź co bądź status quo ante, burmistrz Migdał przeprasza uroczyście Fajwlową, zwraca jej szkodę poniesioną przez podwójną translokację i pozwala jej napowrót osiedlić się w Kącie. To są owoce „nowej ery.“

Kto uważnie przeczyta nowelle i szkice Niedźwieckiego, zaprzeczać mu nie będzie mógł ducha obserwacyjnego, uderzającego niepospolicie w młodym jak Niedźwiecki człowieku. Ale nie wszystko, co się na świecie dzieje, choćby się nawet z prawdą zgadzało, kwalifikuje się koniecznie do druku. Autor z powołania nie powinien być wyłącznie kramarzem, żyjącym tylko dla chleba i pracującym dla zysku, — ale kapłanem, szerzącym wśród ciemnych oświatę. Powiemy zaś otwarcie, że kapłaństwo p. Niedźwieckiego, to rzecz bardzo wątpliwego charakteru. Kto pisze, ten nie pisze wyłącznie dla j e d n e j t y l k o warstwy, ale dla ogółu. Co wojskowy, co gryzetka, pokojówka lub dama z półświatka z zadowoleniem czytać będą, — to nie jest jeszcze strawą odpowiedną dla naszych żon i córek. A przecież i tym dostać się mogą do rąk nowelle i szkice Niedźwieckiego. Dla nich to urządziłbym osobne wydanie, w którem mieścićby się mogły tylko następne rzeczy: „Słońce“ jako artykuł wstępny ogólnikowy, „Życie“, „Nieszczęście“, „Matka“, „Klucze“, „Pulares“ i „Ojciec“-

ale prawda, że książka wówczas bardzo znacznemu ulegać by musiała uszczupleniu.

[Henryk Janko, wspomnienie pośmiertne. Napisał ks. Michał Kamiński, proboszcz, członek wydziału rady powiatowej w Rudkach. Lwów, 1890. Nakładem autora a czcionkami W. Manieckiego. Stronic numerowanych 109. Mała ósemka.]

Pokolenie obecne, zdenerwowane i zniewieściałe, karłowacieje z każdym dniem bardziej. Nie mamy już wyobrażenia należytego o pracy około dobra ogółu, o pracy organicznej, a nawet o pracy, w własnym interesie przedsięwziętej, właściwego pojęcia nie mamy. Godzi się tedy, wydobyć z niezasłużonego zapomnienia, postawić na świeczniku i przedstawić ogółowi jako wzory cnót tych właśnie, którzy nie wiele mówiąc, wiele działali i cierpieli. Ks. Kamiński jako osobisty przyjaciel śp. Henryka Janki, kreśląc na podstawie listów, notatek i najrozmaitszych źródeł biografię zasłużonego męża, tem samem dobrze zasłużył się literaturze ojczystej.

Biografia Henryka Janki rozpada się na dwie części, uzupełnione cennemi dodatkami, zawierającemi listy, dotąd nieogłoszone drukiem a pisane przez Jankę w więzieniu ołomunieckiem. Pierwsza część obejmuje życie Janki od najmłodszych lat aż do amnestji z roku 1865, na podstawie której wypuszczono go z twierdzy ołomunieckiej. Styl ks. Kamińskiego pojedynczy, niezdobny w kwiaty retoryki, krótki i węzłowaty przypomina prawie styl biuletynów wojskowych; ale takiż właśnie najstosowniejszy może, by oznaczyć nim czynność prawdziwego patrjoty i żołnierza polskiego, jakim był Henryk Janko. Szczególnie zajmujący jest opis jego udziału w powstaniu listopadowem, wyjęty ze zbioru pamiętników do historji powstania polskiego z r. 1830—31, wydanych przez Tomasza Rajskiego. Żołnierskie i krewkie usposobienie Janka charakteryzuje także szczegół, że po przejściu granicy pruskiej, gdy go wpuścić nie chciano do kwatery głównej po świadectwo, uwalniające go ze służby, — on wtedy drzwi wyważył kolanem i „wpadł między zgromadzony sztab, sie-

dzący na kanapach i fotelach wśród mnóstwa szpargałów, przy fajkach i wesołej pogadance.

Zerwali się wszyscy.

— Kto to takie awantury wyprawia?

— Ja — odpowiedział Janko, — już czwarty dzień czekamy na uwolnienie, które nam się należy — aby nam nie rzucono w oczy, żeśmy jak dezerterzy uciekli — żądamy natychmiast naszych papierów.“

Po otrzymaniu tychże Janko wraca do włości dziedzicznej Hoszan, gdzie znowu pracuje na miedzy ojczystej. Niedługo jednak pozostał tak nieczynnym. W kraju pozostały rozmaite tajne towarzystwa celem budzenia idei narodowej i Janko wśród najgroźniejszych niebezpieczeństw bierze udział w życiu publicznem; tak samo widzimy go, biorącego udział w ruchu narodowym z r. 1848. Cenne wskazówki co do zachowania się ówczesnego Janki dają nam 3 listy tego żołnierza listopadowego a następnie członka rady powiatowej rudeńskiej, przytoczone w tekscie oryginalnym przez ks. Kamińskiego. Rok 1863. zastaje Jankę znowu na straży posterunku narodowego. Za współudział w ruchu narodowym skazany na 3 lata więzienia fortecznego, nie odwołuje się od niesprawiedliwego wyroku, nie wzywa łaski. Wypuszczony z więzienia na podstawie amnestji ogólnej, gdy od niego żądają podpisania adresu dziękczynnego, „Janko odzywa się spokojnie, że niczem nie zawinił, że skazanie i więzienie uważa za niesprawiedliwe, zaś amnestję nie jako łaskę, lecz jako należący się wymiar sprawiedliwości.“

Druga część wspomnienia pośmiertnego obejmuje dalszą czynność obywatelską śp. Janki aż do śmierci. Zestarzał się zasłużony obywatel, do walk na polu sławy nie był już zdatnym, ale mimoto nie próżnował. Owszem! widzimy go biorącego żywy udział w życiu publicznem. Należał do rudeckiej rady powiatowej; jako fachowy agronom i gospodarz powołuje do życia oddział Towarzystwa rolniczego gródecko-rudeckiego, na którego czele stał jako prezes; przyczynił się do założenia szkoły uprawy lnu w Gródku; w Rudkach założył Czytelnię Miejską a dla inteligentniejszych mieszkańców powiatu Biblio-

tekę Polską, składającą się przeważnie z dzieł historycznych i powieści polskich; założył też w Rudkach kasę zaliczkową, której był prezesem.

Dom jego słynął gościnnością staropolską, ale ponieważ dobrym był gospodarzem, to ani gościnność ta, ani zbyt może daleko posunięty udział w sprawach humanitarnych nie obdłużył majątku, wzorowo zagospodarowanego. Umarł nareszcie śp. Janko, licząc przeszło 80 lat w skutek przeziębienia. „Przebywając bowiem we Lwowie w czasie kadencji sejmowej jako poseł, udał się do sali „Sokoła“ na uroczysty obchód rocznicy powstania listopadowego. Zentuzjazmowana młodzież jego całogodzinną, pełną patrjotycznych uniesień mową, obnosiła go na rękach po sali. Zgrzany wracając w nocy do mieszkania pieszo, zaziębił się, zaziębnięcie sprowadziło zapalenie płuc“ a w dalszem następstwie śmierć Janki.

Dwa razy ożeniony, zostawił po sobie trzech synów i dwie córki

Jako niezmiernie zajmujący dodatek do tej biografii załącza ks. Kamiński niedrukowane dotąd „wyjątki z listów ś. p. Henryka Janki, pisanych z więzienia w Ołomuńcu do żony i dzieci.“ Są to tylko wyjątki, ogłoszenie bowiem treści całkowitej przy znanych z szczero polskiego ducha zasadach patrjotycznych autora — spowodowałaby zapewne konfiskatę. Listów tych w streszczeniu podanych jest 21. Malują one szlachetny sposób myślenia Janki, jego gorącą miłość Ojczyzny i zasady prawdziwie katońskie.

Książka ks. Kamińskiego, w duchu prawdziwie polskim napisana, nadaje się szczególnie do czytania dla wyżej wykształconych kółek włościańskich jako książka ludowa.

[Z krwawych dni. Wspomnienie z r. 1846. Napisał Henryk Słotwiński. Przemyśl, 1890. Nakładem autora a drukiem S. F. Piątkiewicza. Czysty dochód na rzecz „Sokoła“ przemyskiego. Stronic 36. Mała ósemka. Cena 20 ct.]

Zbędną byłoby rzeczą, pracę p. Słotwińskiego z osobna jeszcze polecać publiczności; poleca ją nietylko cel szlachetny, ale także treść nader zajmująca,

która stanowi ważny przyczynek do dziejów absolutyzmu z czasów przedmarcowych, w gorącej przemowie do czytelnika autor uwydatnia stanowisko partyj w pamiętnym roku 1846, w którym jedni „bawili się i hulali aż do zbytku, aż do utraty pamięci o godności i uczuciu ludzkiem,“ a u drugich, to jest „u chłopa na Mazurach“ „Polok“ był jakimś mitycznym potworem, nierównie gorszym od djabła, a chłop sam w swem silnem przekonaniu nie był Polakiem, jeno „cysarskim“ (cesarskim.) Wśród takich to okoliczności agitowała polska emigracja w Wersalu na rzecz odbudowania Polski nie znając warunków bytu w Galicji, jątrząc umysły i dolewając niepotrzebnie oliwy do ognia.

Zaznajamia nas autor następnie z rodziną Słotwińskich, osiadłą w powiecie pilznieńskim w wiosce Głobikowej dolnej. W r. 1846, pamiętnym z rzezi tarnowskiej, właścicielem Głobikowej był ojciec autora śp. Konstanty Słotwiński. Jako gorący patrjota krzewił gdzie tylko mógł, język i obyczaje krajowe; jako literat z powodzeniem pracował na polu piśmiennictwa narodowego; jako urzędnik-Polak, gdy mu kazano pozbyć się albo wąsów albo komisarstwa, „bez namysłu i żalu pozbywa się służby rządowej na rzecz ozdoby twarzy, a ożeniony już wtenczas z Julią Romerówną, kobietą rzadkich cnót i charakteru, osiada na dzierżawie we wsi Bratkówce w Jasielskiem z zamiarem pozostania do końca życia rolnikiem.“

Rzuca jednak po paru latach gospodarkę i obejmuje ofiarowaną mu posadę dyrektora zakładu Ossolińskich. Za ogłoszenie zakazanych wówczas druków i pism politycznych, dostaje się śp. Słotwiński w r. 1834. do więzienia śledczego we Lwowie, ztamtąd na twierdzę Kufstein, zkąd za amnestją w r. 1843. wypuszczony, dowiaduje się o śmierci żony ukochanej, która ciosu tego przeżyć nie mogła.

Osiadł następnie śp. Konstanty Słotwiński w Czerwcu roku 1843. z synami Henrykiem (autorem pracy przez nas omówionej) i Ludwikiem w dziedzicznej wsi Głobikowej woli, gdzie się odtąd jedynie oddawał pracy około roli, oraz nauce i wycho-

waniu synów. Przestrzegany jeszcze w Grudniu 1845 r. o przygotowujących się rozruchach chłopskich przez życzliwych mu włościan, nie dał im wiary i pozostał na miejscu, gdzie też wkrótce łatwowierność swoją okropną przepłacił śmiercią.

Autor w dalszym ciągu zajmującej swojej opowieści opisuje niebezpieczeństwa rozmaite, na które się wraz z bratem co chwila narażać musiał, obok przewrotności podbechtanych do rabunku chłopów, maluje nam także wzory poświęcenia i ofiarności i kończy swoje opowiadanie opisem audjencji u Szeli, zkąd go wraz z bratem Ludwikiem wydobyła interwencja stryja, adwokata Feliksa Słotwińskiego z Krakowa. Dodając od siebie kilka uwag końcowych, wzywa w nich do jedności, karci swawolę chłopów, ale nie uniewinnia też szlachty: jeden bowiem istnieje tylko środek, aby w przyszłości zapobiedz tak ohydnym czynom, tym środkiem miłość bliźniego, „miłość czynu i poświęcenie, praca wszechstronna i zaparcie się: a lud ten, który nam był wrogiem kiedyś, który sromem okrył dzieje nasze, skoro pozna naszę dobrą wolę i odczuje w sobie narodowe tętno, zbrata się z nami myślą i sercem, stanie się obywatelem Polakiem w całej pełni tego wyrazu i przysporzy zapomnianej, zhańbionej matce godnych jej synów, co potrafią zmazać winy ojców i pracować społem w imię jednych pragnień, jednej idei, jednego wielkiego celu: zbawienia ukochanej Ojczyzny.“

[Kronika miasta Sambora zebrana i wydana ku uczczeniu 500-letniej rocznicy założenia miasta. Sambor, 1891. Nakładem gminy a czcionkami Schwarza i Trojana. Stronic 52. Mała ósemka.]

Magistrat miasta Sambora postanowił dla uczczenia 500-letniej rocznicy założenia miasta wystawić nowe gimnazjum na miejscu dawnego, grożącego upadkiem i wydać kronikę, czyli krótki szkic powstania miasta i jego dziejów. Gimnazjum wkrótce doczeka się wykończenia, będzie to pomnikowy budynek i zadziwi ogół okazałością swoją; „Kronice,“ choć powinna być pamiątkową książką, choć ze względu na 500-letni jubileusz miasta nolens volens musimy ją zaliczyć do rzędu ksiąg pamiątkowych,

wiele jednak brakuje przymiotów, cechujących podobne dzieła. Nie jest styl książki świetnym; przypomina raczej styl kronik starych, niezręcznie skleconych przez mnichów.

Z ciekawych szczegółów wyjmujemy akt fundacyjny, nadany 13. Grudnia r. 1390. przez Spytka z Melsztyna, mocą którego „w imię Ojca i Syna i Ducha świętego pozwala Henrykowi, wójtowi z Łańcuta w „Nowym Samborze inaczej Pohoniczu założyć miasto,“ wyszczególnione przezeń znacznemi przywilejami. Po śmierci Spytka i jego wdowy Elżbiety miasto przechodzi na własność królewską. W r. 1498. Turcy, Tatarzy i Wołochy napadają miasto, niszcząc, paląc i mordując, co im pod rękę wpadło. Pierwsze ślady antisemitizmu samborskiego widzimy uwiecznione dekretem królewskim z r. 1542, w którym „z powodu wniesionej skargi do króla, iż żydzi przeszkadzają w handlu chrześcijanom, nakazał król żydom tego roku opuścić miasto i zabronił im na przyszłość tu się osiedlać.“ Ten sam duch intolerancji dał się niebawem też w znaki i Rusinom samborskim, chociaż w mniejszym stopniu (patrz dekret z 16. Maja 1553). W dziejach historji zaczyna Sambor zasłynąć ze zjawieniem się starosty Mniszcha a raczej z chwilą zaślubienia Marji Mniszchównej przez Dymitra Samozwańca (1605). Klęski z powodu wylewów, pożarów, powietrza morowego nawiedzają pod koniec 17-go i z początkiem 18-go stulecia miasto często-gęsto, aż wreszcie wyludnione z powodu tych klęsk, znowu bramy swoje otwiera żydom, którzy „korzystając z przypadku i zamieszania, poczęli licznie w mieście się osiedlać“ i zdobyli w r. 1732. ochronny przywilej od króla Augusta II. Wygnanie ich z obrębu murów miejskich na podstawie dekretów królewskich trwało więc 190 lat.

Broszurka przez nas omówiona, zawiera cenne wskazówki co do topografii dawniejszej i obecnej miasta; co do treściwszego określenia faktów zaś jest nader skąpą. I tak wolelibyśmy zamiast treściwego opisu niejednej rudery nieistniejącej już lub zapomnianej, historyczne zdarzenia z ubiegłych stuleci widzieć cokolwiek obszerniej opisywane, a choćby

nawet językiem starych zapisków kościelnych lub zakonnych. I tąk autor na str. 28. czyni wzmiankę, że „w r. 1657. dnia 3. Lipca nawidził Sambor wielki pożar, który zniszczył całe prawie miasto i kościół parafialny, ocalała tylko dzielnica ruska koło cerkwi. Okropności tej klęski opisuje w jaskrawych barwach miejscowa kronika Bernardyńska (str. 96—98).“ Tu narzucała się prawie gwałtem sposobność zużytkowania tejże kroniki Bernardyńskiej wypisem, którego nie zrobiono. Również razi szczegół, że między znakomitszymi Samborzanami-literatami nie pomieszczono ani Jaszowskiego z Czyżek pod Samborem, ani też braci Łozińskich, z których szczególnie Walery zdobył sobie prawo do wdzięcznej pamięci Sambora.

Jeśli brak czasu i funduszów mają służyć na wytłumaczenie szczegółu, że książka zbyt szczupło wypadła, to w takim razie należało — zamiast w ostatniej chwili — do pracy zabrać się o kilka lat wcześniej.

[Kołomyjska księga pamiątkowa ku uczczeniu setnej rocznicy ogłoszenia konstytucji polskiej z dnia trzeciego Maja r. 1791. Dochód z rozprzedaży księgi przeznaczony na rzecz Czytelni imienia Kraszewskiego w Kołomyi. Wydana staraniem komitetu kołomyjskiego. Z drukarni i litografii Pillera i Spółki we Lwowie, 1891. Stronic numerowanych 327. Mała ósemka. Ozdobne wydanie. Cena 3 złr.]

Konstytucja 3-go Maja, obchodzona w całym kraju z taką uroczystością, wywołała najrozmaitsze publikacje literackie. Oryginalnie wśród tej powodzi dzieł przedstąwia się kołomyjska księga pamiątkowa; oryginalnie już pod tym względem, że do współudziału w pracy dopuszczono wyłącznie siły literackie, zamieszkałe albo w Kołomyi, albo w kołomyjskim okręgu sądowym, albo też przebywające podówczas chwilowo w Kołomyi. Treść książki zatem bardzo obfita i urozmaicona, ale też artykuły niejednolitej wartości.

Jak wszystkie podobne zbiorowe wydawnictwa, tak i kołomyjska księga pamiątkowa zawiera część naukową, część poetyczną i część powieściową. Najobficiej reprezentowana część naukowa, co z wielkiem

zadowoleniem zauważyliśmy; na polu powieściowem występuje jeden Gwido Pogonowski w szkicu z życia wziętym a zatytułowanym: „Sercem a głową;“ na polu poezji zaznaczamy również mało, bo tylko dwie prace: Mieczysława Romanowskiego junior i Józefy Perfeckiej. „Powódź,“ opowieść Romanowskiego, nie odznacza się wprawdzie wielkim polotem poetycznym, ale zacną tendencją, że nie powinniśmy bezczynnie ustępować nieprzyjaznym żywiołom, wszystko zdając na łaskę Boga, ale raczej walczyć do ostatka, bo

„Cegła do cegły, ziarnko do ziarenka,
Krok naprzód w życiu wszakże tyle znaczy!
A pewno rychło błyśnie nam jutrzenka,
A po niej naród słońce swe obaczy!“

Nierównie więcej poezji i doniosłego znaczenia zawiera wiersz Józefy Perfeckiej: „Na dzień trzeci Maja,“ w którym autorka nawołuje do zgody rozwaśnionych dotąd braci: Polaków i Rusinów.

„Z ran niezgojonych krew, co się sączy,
Niech będzie ślubnym pierścieniem;
Ślubnym pierścieniem, ogniwem stali,
Co niech nas skuje łańcuchem,
Byśmy na wieki tak się zbratali,
Zbratali sercem i duchem.
I pierzchną wtedy ciemności szaty,
Błyśnie poranek majowy,
Podobny temu, co przed stu laty
Rozwiał pomroki wiekowe.“

Szczery i patrjotyczny zapał, tchnący z każdego niemal słowa nieznanej nam autorki, pozwala nawet wybaczyć jej niektóre nieprawidłowości rymowe w końcówkach i pomyłkę zapewne drukarską: „ciemności nocy“ zamiast „ciemności szaty.“

Najznaczniejszą i najwięcej uwagi godną część książki stanowią artykuły naukowe, na których czele oczywiście stoją artykuły, wprost odnoszące się do konstytucji majowej. Dosłownie treść tejże konstytucji podaje nam „Ustawa rządowa 3. Maja 1791,“ podpisana przez ostatniego króla Polski Stanisława Augusta. W artykule następnym, zatytułowanym: „Pogotowie,“ autor p. Gwido Pogonowski karci bierność mas w obec

celów narodowych i podaje w „Statucie“ towarzystwa pod nazwą: Związek demokratyczny polski — w 6ciu paragrafach środki zaradcze.

Obszerny i wyczerpujący artykuł „o demokracji“ napisał Ludwik Janisch. W artykule rzeczonym określa autor kolejno wszystkie formy, jakie w najrozmaitszych państwach i krajach przechodzi myśl demokracji, czyli rząd ludu na podstawie prawa. Szkoda tylko, że autor w swojej zresztą bardzo cennej i wyczerpującej rozprawie najrozmaitsze, czasem najsprzeczniejsze zdania miesza a tem samem sprawę niepotrzebnie gmatwa, jak np. w ustępie na str. 54, w którym to ustępie ostracyzmu bronić się zdaje, albo na str. 65, gdzie o wielkim reformatorze Lutrze mówi (zdanie autora zacytowaliśmy dosłownie): „Mnich ten zabobonny zgubił małodusznością swą wielką i szlachetną sprawę niebacznie mu powierzoną. Płaski kaznodzieja i najuniżeńszy podnóżek ówczesnych książąt, używał on całego wpływu swego, aby zgnieść wszelki ruch liberalny.“

Kto p. Janischa wyuczył tych bredni, niezgadzających się z historją powszechną, a napisanych w duchu najskrajniejszego klerykalizmu? Chętnie uwierzę, że p. Janisch nie jest ewangielikiem; ale i wyznawca wiary rzymsko-katolickiej powinien być bezstronnym.

Łatwo domyśli się każdy, że artykuł o demokracji kończyć się musi opisem form demokratycznych w Polsce, zwłaszcza wykwitem tychże form, za który autor uważa konstytucję 3go Maja. Ale i ta konstytucja wkrótce ustąpiła miejsca Targowicy, ponowne rozbiory przyczyniły się do stłumienia wolnej myśli i życia publicznego w Polsce, a dzisiaj jedyne zbawienie możemy upatrywać w pracy nad rozszerzeniem idei braterstwa i nad podniesieniem oświaty wśród ludu.

W artykule: „Pierwsza rocznica uchwalenia konstytucji 3go Maja 1791 roku“ autor Edmund hr. Starzeński opisuje uroczysty obchód tejże rocznicy w Warszawie 1792. w dzień 3go Maja odprawiony, ówczesne frazesy i przyrzeczenia królewskie, że do samej śmierci król stanie i padnie z narodem, którym to

frazesom jednak rzeczywistość kłam zadała; Stanisław August bowiem uległ groźbom Moskwy, wyparł się własnego dzieła, a wkrótce i Targowiczanie medalem pamiątkowym uświęcili swoją zdradę, uświęcili upadek Polski.

W artykule pedagogicznym: „Obowiązki ogółu względem wychowania naszej młodzieży“ rozbiera Michał Kusionowicz kwestję rzeczoną, wykazując obowiązki rodziców jako wychowawców w obec dzieci swoich w poczwórnym kierunku, a mianowicie co do wychowania fizycznego, umysłowego, religijno-moralnego i narodowego.

Niepospolicie zajmujący artykuł napisał Dr. Gabriel Sysak: „Napoje wyskokowe, kilka słów o szkodliwych skutkach nadużycia tychże i o środkach zaradczych przeciw nadużyciu takowych“. W rozprawie rzeczonej, z której zarządzono także osobną odbitkę, autor na podstawie dat statystycznych i faktów wykazuje zgubność napojów wyskokowych, a na pierwszem miejscu wódki. Radzi przytem wprowadzić jako środek zaradczy system norwegski celem skuteczniejszego zwalczenia pijatyki, ponieważ dotychczasowe ustawy przeciwko pijaństwu okazały się bezskutecznemi. Przy tej sposobności nadmieniam, że i w Belgji zawiązało się obecnie towarzystwo celem zwalczenia pijatyki i że już czas najwyższy, aby i w Galicji, w porządnych towarzystwach, przy ucztach galowych i tym podobnych okolicznościach gościom zamiast wina lub wódki mleko lub wodę podawano i temi nieszkodliwemi trunkami wypijano zdrowie gości!

„Luźne uwagi nad obecnym stanem kraju“ popisał Dr. Michał Jaworski. Choć trudno nam się na wszystkie jego wywody zgodzić, to niektóre z nich przecież bardzo trafne. Nie zdaje nam się wprawdzie, iżby ogólne dobro na tem zyskało, gdyby zamiast systemu więziennego wprowadzono system deportacyjny w sprawach karnych, o którym autor marzy, a przemiana Austrji jako państwa centralnego na niezliczone grupy państw federacyjnych natrafiłaby z pewnością na bardzo ważne przeszkody; ale myśl zgody Polaków z Rusinami imieniem wspólnych ce-

lów krajowych, jest zdrową, również jak i myśl o rozumniejszem i inteligentniejszem traktowaniu sprawy żydowskiej. Określiwszy w kilku przedwstępnych słowach życie żydów w Galicji i walki stronnictw, dzielących się na żydów postępowych i na zacofańców, pisze autor o postępowym żydzie: „Bywa on od swoich braci ciemnych, zacofanych, wyklęty, odepchnięty, wszelkiemi sposobami prześladowany, a od społeczeństwa nieżydowskiego ignorowany i postponowany, bo jest żydem.“ Prawda; ale któż — tak pytamy się mimowoli — któż winien tym stosunkom, jeśli nie katolicy sami?

Kończy autor swoją pracę poglądami na sądownictwo, gospodarkę krajową i stosunki społeczne; z tych uderza nas zdanie o socjalizmie, w którym autor upatruje dążność „ulżenia i polepszenia bytu klasom społecznym, trapionym niezawinionym przez nich pauperyzmem.“ Nie podzielam tego zdania. Poczucie sprawiedliwości publicznej zniesie najskuteczniej pauperyzm, a nie jakieś teorje zawiłe, niezrozumiane albo źle zrozumiane przez ogół, a co najmniej zasada socjalizmu, zawracająca teraz głowę niedowarzonym młodzikom.

Krótki artykulik lekarski: „O potrzebie zwrócenia ofiarności publicznej ku składaniu domów dla uzdrowieńców i nieuleczalnie chorych“ napisał bawiący wówczas chwilowo w Kołomyi Dr. Ferdynand Obtułowicz z Buczacza, obecnie funkcjonujący jako lekarz powiatowy we Lwowie. Zwraca autor w artykuliku rzeczonym uwagę odnośnych sfer na wzmagającą się w kraju nędzę, spowodowaną brakiem przytulisk dla uzdrowieńców i nieuleczalnie chorych, podczas gdy w Niemczech, szczególnie zaś w Berlinie nie brak podobnych zakładów. Uwagi autora bardzo słuszne; ale jakim sposobem poradzić złemu? Mogliby to tylko bogacze bezinteresowni; ale takich tak mało w kraju. Jedni pieniądze nad miarę i nad potrzebę wydają na koszta reprezentacyjne; drudzy kapitał swój i cele dobroczynne wyzyskują raczej na własną korzyść, aniżeli dla biednych. I w jednym i w drugim wypadku, t. j. gdyby mniej trwoniono na koszta reprezentacyjne i gdyby sumienniej szafo-

wano groszem na cele publiczne — wiele, bardzo wiele dobrego możnaby zdziałać dla kraju.

Architekta Łucjan Bäcker umieścił artykuł: „Nierząd w stosunkach budownictwa“, w którym karci niedbałość odnośnych władz w sprawach budownictwa; nieznany autor obznajamia nas z „towarzystwami w powiecie kosowskim“; o „znaczeniu kołomyjskich kolei lokalnych w gospodarstwie narodowem“ napisał artykuł były uczeń gimnazjum złoczowskiego i współpracownik „Roczników Samborskich“, w których pierwsze swoje prace umieścił — Dr. Marjan Ciesielski; do dziedziny badań historycznych należą artykuły: „Parafianie kołomyjscy obrządku rzymsko-katolickiego z roku 1786“ anonima i „Osady niemieckie w Kołomyi“ Józefa Habera; ostatnie 3 artykuły Józefa Dzięddzielewicza, Dra Apolinarego Tarnawskiego i Dra Mikołaja Fedorowicza odnoszą się częścią do mineralogji, częścią do medycyny i do chemii.

Artykułami tymi wyczerpaliśmy zasób naukowych, zawartych w kołomyjskiej księdze pamiątkowej. Pozostaje nam jeszcze do omówienia powieść Gwidona Pogonowskiego: „Sercem a głową“. Jest to — powiemy — rzecz ze skrajnym realizmem naszkicowana, ale też wrażenie w każdym czytelniku pozostawi niezatarte. Nie będziemy autorowi gratulowali do świetnej zaiste charakteryzacji osób, do stylu zdradzającego już teraz wielkiego w przyszłości pisarza, powiemy tylko, że wątek powieści jest nader pojedynczy, a przecież szkic z takiem mistrzostwem opracowany, że stawia odrazu p. Pogonowskiego w rzędzie autorów wiele obiecujących, co więcej, że jedna ta powieść rozstrzyga już korzystnie o wartości całego dzieła, choćby ono nawet żadnych innych utworów nie zawierało.

Widzimy tu problem życia rozwiązany, widzimy dokąd prowadzi serce szlachetne choć zbyt wrażliwe, przedstawione w osobie Witolda Grodzkiego, który uniesiony zbytnią szlachetnością gotów poświęcić się dla zdradzającego go nędznika Lidnera; w osobie Grodzkiego, który się wiecznie powoduje uczuciem fałszywem, radząc się serca zamiast głowy, aż

w walce nierównej uledz musi i coraz niżej staczając się po pochyłej drodze śmiercią samobójców ginie, podczas gdy przyjaciel jego Izydor Różycki, może nie mniej szlachetnie myślący od Grodzkiego, ale wytrawniejszym odeń obdarzony sądem, głową a nie wyłącznie tylko sercem się kierując, szczęśliwą sobie i żonie swojej zabezpiecza przyszłość.

Księga pamiątkowa Kołomyjska dosyć ozdobnie wydana, razi jednak niedbałą korektą.

[Agaton Giller, życiorys szlachetnego Polaka. Opowiedziała Janina Sedlaczkówna. Poznań, 1891. Nakładem .Dra filozofii L. Rzepeckiego, czcionkami W. Simona. Stronic 50. Dwunastka. Cena 20 centów.]

Z wielkim zapałem i sympatją kreśli nam autorka żywot znanego z poświęceń dla Polski męża stanu, członka Rządu narodowego i głośnego literata: Agatona Gillera. W szczupłych ramkach małej broszurki ludowej mieszczą się tu wszystkie ważniejsze szczegóły z życia wielkiego męża od pierwszych chwil młodości, prześladowań i wygnania aż do śmierci Agatona w Stanisławowie. Powiemy, że to, co nam panna Sedlaczkówna w barwnej swojej pracy podaje, jest wiele, ale oraz — i mało. Chcąc bowiem należycie pisać o takim mężu, tomy możnaby wypełnić. Jesteśmy jednak wdzięczni i za tę odrobinę, która nam bardzo wiele ciekawych i nieznanych dotąd ogółowi faktów i szczegółów z życia Gillera podaje. Czytelnik uczy się z niej, tego męża pracy czcić i poważać, zdobywa pogląd na jego życie domowe i publiczne, dowiaduje się nawet o planach matrymonjalnych, które śmierć przerwała. Jeszcze raz powtarzam, że każdy, ktokolwiek dba o życie polityczne i intellektualne Polski, pracę p. Sedlaczkównej z żywem zajęciem przeczyta.

[Karol Marcinkowski. Napisała Janina Sedlaczkówna. Lwów, 1891. Nakład czyj? niewiadomo, prawdopodobnie autorki. Czcionkami drukarni ludowej pod zarządem St. Baylego. Stronic 39. Dwunastka.]

Dla szerszych kół streściła autorka popularnym i zwięzłym stylem żywot znanego także z historji Polski Chociszewskiego, Dra Karola Marcinkowskiego,

który pochodziwszy z ubogiej i nieznanej rodziny, własną pilnością i poświęceniem doprowadził do zdobycia najwyższych zaszczytów i zasług dla Ojczyzny, krew swą lał dla niej w powstaniu listopadowem, 3 razy za sprawę polską siedział w więzieniu, uwolniony z więzienia stał się jako lekarz i prezydent miasta Poznania dobrodziejem ludzkości, unieśmiertelnił imię swoje jako założyciel „Towarzystwa pomocy naukowej“ i „Bazaru“ w Poznaniu i umarł w pełnej sile działań, w 46-ym roku życia swego (7-go Listopada 1846), zaszczycony przez współziomków kamienną kolumną z tablicą pamiątkową.

Młodzieży polska, która gonisz za utopjami nieuchwytnemi i niezrozumianemi przez ciebie a potępionemi przez wszystkich prawdziwych patrjotów polskich! od takich to mężów ucz się, wypełniać z należytem zrozumieniem obowiązki ojczyste!

[Rocznica trzeciego Maja. Obrazek sceniczny w jednej odsłonie ze śpiewkami. Napisała Janina Sedlaczkówna. Nakładem redakcji „Światełka“ we Lwowie, 1891. Czcionkami Stanisława Chowańca w Stanisławowie. Stronic 16. Dwunastka. Cena 10 centów.]

Jestto drobiazg, ale czyta się z przyjemnością. Autorka w formie tylko dla dzieci przystępnej, podnosi główną myśl konstytucji 3go Maja, polegającą na zrównoważeniu wszystkich stanów. Rzecz nadająca się szczególnie dla teatrzyków dziecięcych.

[Biblioteka Polska w Rumunii (1866—1891 r.) Książka pamiątkowa, wydana nakładem Biblioteki Polskiej w Jassach w Rumunii, 1891. Czcionkami W. Manieckiego we Lwowie. Stronic 217. Dwunastka.]

Stowarzyszenie Polaków, istniejące w Rumunii, by uczcić pamiątkę 25letniego istnienia „Biblioteki Polskiej,“ — w książeczce niniejszej zestawia owoce czynności swojej. Na samym czele książki figuruje „Kronika Biblioteki Polskiej w Rumunii.“ Czytelnik znajdzie w niej ciekawe szczegóły, tem ciekawsze może, jeśli się zważy, z jak małych początków powstała i urosła do obecnego znaczenia swego „Biblioteka Polska,“ w zarodzie swoim licząca zaledwie

10ciu członków a księgozbiór obejmujący zaledwie 200 tomów. Z biegiem czasu wzmogła się jednak i spotężniała instytucja, na której czele obecnie stoi Dr. Julian Łukaszewski. Nie brakowało wprawdzie od samego początku nieprzyjaciół, których intrygi opisuje nam z prawdziwie „amerykańską“ bezwzględnością „Kronika“; ale nie brakowało też protektorów i przyjaciół. W 20m roku swego istnienia Towarzystwo ofiaruje już znaczne sumy dla dwóch innych polskich towarzystw a mianowicie „Macierzy Szkolnej“ w Cieszynie i „Towarzystwa czci i chleba“ w Paryżu; w 25m roku istnienia zaś wydaje niniejszą książkę pamiątkową a na jej czele „Kronikę,“ z której powyższe szczegóły wyjąłem.

Po „Kronice“ następują bezpośrednio rozmaite bądźto krótsze, bądź dłuższe artykuły literackie mieszanej treści. Są to prace bądź prozą, bądź wierszem. Z wierszów wymieniamy Kasprowicza „Fragment“ i Chołoniewskiego 2 próbki poetyczne p. t.: „Pobudka“ i „Rodakom na obczyznie.“ „Fragment,“ jest to policzek dany zaprzańcom, działającym w imieniu zasady: „Ubi bene, ibi patria“; rzecz kończy się skargą nad nieszczęsną dolą Polski. Najwyższej uwagi godne są Chołoniewskiego: „Pobudka“ i „Rodakom na obczyznie,“ szczególnie wiersz pierwszy, w którym autor podnosi znaczenie pracy zgodnej w narodowym kierunku:

„Oświaty sztandar niech nam przewodzi
Jak wybawienia jedyny znak,
I pośród nieszczęść i klęsk powodzi
Niech drogą będzie nam — światła szlak!“

Wielki filolog i uczony Baudouin de Courtenay, władający z równą biegłością 7ma językami i piszący w nich, umieścił w „książce pamiątkowej“ cenne swoje aforyzmy. Nie ma w nich pochlebstwa nawet dla własnego narodu, ale jest wiele prawdy.

Cztery obszerniejsze prace częścią o czysto powieściowym, częścią o naukowym zakroju składają się na uzupełnienie treści literackiej książki. Autorami i autorkami tych prac są: T. T. Jeż, Eliza Orzeszkowa, Dr. Jan Stella-Sawicki i Dr. Julian Łukaszewski.

„Jeden z wielu“ — oto tytuł noweli znanego powieściopisarza Teodora Tomasza Jeża (Miłkowskiego.) „Jeden z wielu“ — a raczej przy obecnym materjalistycznym kierunku — „jeden z niewielu“ — to pan Jan, niepoprawny idealista, który pamiętny słów pożegnalnych panny Kunegundy, że „gniewałaby się, gdyby nie poszedł na Moskala i patrzeć by się na niego nie chciała“ — spieszy do powstania, krew swoją przelewa w bataljach rozmaitych w powstaniu listopadowem, w Afryce, w Węgrzech, na końcu znowu na ojczystej ziemi w powstaniu styczniowem, gdzie też ginie od kuli wroga u boku swojej Kunegundy.

Drugi większy utwór nowelistyczny, to Elizy Orzeszkowej obrazek wiejski p. t.: „Bez duszy.“ Maluje on wybornie zabobony wieśniaków, jak i zwyczaje i obyczaje chłopskie, odźwierciedlone w osobach chciwego żebraka Piotra Słabosza, jego żony, starej wiedźmy Słaboszychy, córki tejże Maryśki i sąsiadów.

Wspomnienie historyczne w 25tą rocznicę zgonu „Romana Żulińskiego na stoku warszawskiej cytadeli“ skreślił Dr. Jan Stella-Sawicki. Przedstawia zaś w rzeczonem wspomnieniu szczegółowo przebieg życia śp. Romana Żulińskiego od chwil najmłodszych, jego czynność pedagogiczną, udział organizatora cywilnego w powstaniu styczniowem, wreszcie uwięzienie, śledztwo i śmierć za Ojczyznę.

Poczet artykułów „książki pamiątkowej“ zamyka ostatni, może najciekawszy z wszystkich a mianowicie Dra Juliana Łukaszewskiego: „Kilka słów o umieszczaniu i pielęgnowaniu obłąkanych.“ Rzuciwszy okiem na sztukę leczniczą, o ile takowa odnosi się do obłąkanych, Dr. Łukaszewski przytacza zdania Hippokrata, Galena i Coeliusa Aureliana o obłąkaniu jako o chorobie mózgowej, opisuje następnie rozmaite fazy, jakie kwestja ta w przeciągu wieków przechodziła, nim zdołano się pozbyć przesądów średniowiecznych, karzących obłąkańców jako czarowników i czarownice. I tu idea humanitarna z trudnością tylko zdołała utorować sobie drogę. Końcem 18-go i początkiem 19-go stulecia nie palono

już wprawdzie nieszczęśliwych obłąkańców na stosach; ale natomiast umieszczano ich w osobnych zabudowaniach o ponurem wejrzeniu (t. zw. Narrenthürme), obciążano bezpotrzebnie kajdanami, uważano prawie za zbrodniarzy i karano na równi z tymi. Dopiero lekarzom o humanitarniejszych poglądach, jakimi byli Pinel, Esquirol, Roller, Hergt — udało się wyswobodzić obłąkańców z więz i spowodować bodaj częściowe ich wyleczenie łagodnem i ludzkiem obchodzeniem się. Autor nie widzi jednak żadnego celu w pojedynczych usiłowaniach szlachetniejszych istot, dopóki ogół się nieprzyczyni do rozwiązania kwestji tej i nie czekając na to, aż choroba nieuleczalną się stanie — zaraz w pierwszem stadjum tejże chorych nie odda w obserwację lekarską a dla uzdrowieńców i nieuleczalnych ale nieszkodliwych obłąkańców nie założy kolonij roboczych i rolniczych po wsiach wśród zdrowych mieszkańców, jak to z wielkim skutkiem praktykowano w Alt-Scherbitz w Niemczech, w Gheel w Belgji i w innych miejscowościach, za granicą położonych.

[Juliusz Turczyński. Nad Czeremoszem. Nowelle z życia ludu huculskiego: Taras z Worochty, Trofym Ołenin, Ostap z Perechińska. Kraków, 1891. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna a czcionkami drukarni „Czasu.“ Mała ósemka. Stronic 243.]

Przedruki nowell huculskich Turczyńskiego, pojawiające się raz po raz to w książkowych odbitkach, to w najrozmaitszych czasopismach, najlepszym są dowodem, jaką wziętość wśród czytających ma autor. I całkiem słusznie! Nowelle huculskie, wydane pod zbiorowym tytułem: „Nad Czeremoszem,“ — także są przedrukami. Z nich pierwsze dwie omówiliśmy już na innem miejscu i to uwalnia nas od powtórnego omówienia. Omówimy więc tylko trzecią, która pod odmiennym tytułem: „Dusza zatracona“ niedawno także w „Biesiadzie literackiej“ się pojawiła.

„Ostap z Perechińska,“ wizerunek z nad Łomnicy, co do charakteru bohatera, przypomina nam cokolwiek zbójecką romantykę gór i lasów, która się

w wszystkich tych huculskich nowellach bezustannie powtarza, a którą już w pewnem piśmie polskiem wytknięto autorowi. Ale Turczyński maluje naturę: nie zdaje nam się zatem, aby czuł brak inwencji innego rodzaju i zmuszony był, samych tylko zbójów i zbójeckie sprawki nam opisać. Przedstawia to, co głównie widział między hucułami; rozpatrzywszy się uważnie między nimi, nie widział zapewne nic innego.

Tajemnicze zabobony góralskie otaczają kołyskę małego Ostapka, który po ciężkiej chorobie wyrokiem znachorów wiejskich skazany na śmierć, cudem prawie odzyskuje zdrowie i życie, podczas gdy się gromnice dla niego palą jako dla umarłego. Dorastając chłopak, którego pewnie „widmina“ zakląć musiała, opuszcza ojca Todosa i drapie się w towarzystwie starego watahy Harasyma na szczyty gór, dzieląc przygody pastuchów. Harasym nierozważnemi opowiadaniami o wielkości i sławie Dowbosza, budzi w niedoświadczonej duszy młodzieńca chęć naśladownictwa. Młodzieniaszek w towarzystwie podobnych mu zuchów: Czarnego Petra, Jefrema i innych rozbija się po górach. Za poradą towarzyszów napada sklep żydowski w Perechińsku, wraz z kolegami na gorącym uczynku zostaje ujęty i z powodu młodości swojej osądzony tylko na rok więzienia.

Odsiedziawszy karę, daje się staremu Harasymowi wciągnąć do karczmy, gdzie parobki się bawią. Ostap wmięsza się między nich, bierze zbyt żywy udział w „prysiudach“ i tańcuje do upadłego. Chłopi go potrącają, odpychają... on nie zważa na to. Wreszcie zbyt brutalnie zaczepiony przez jednego z przeciwników, zmierza się całą siłą na niego i wybija mu oko.

I otoż znowu dostał się do kryminału, tą razą skazany na 5 lat. Gdzie się podziały owe złote marzenia o wolności, o bujaniu pod obłokami. Cela więzienna chłonęła to wszystko. „Po roku takiej męki, skóra na nim pożółkła i pomarszczyła się, oczy zapadły, straciwszy blask życia, piersiami ciężko oddychał. Suchy miał, uparty kaszel — w piersiach ciągle mu grało, gorączka go trawiła. Powietrza trzeba

mu było — a jego trzymają tu w grobie. Choroba niszcząca gwałtownym postępowała krokiem.

„Dnia pewnego wszedł dozorca, jak zwykle, ze strawą więzienną; widząc śpiącego jeszcze Ostapa, miskę postawił na podłodze i odszedł obojętny. Gdy drugi raz przyszedł po naczynie, ofuknął więźnia i klnąc chciał go obudzić, lecz szarpnięta ręka bezwładnie opadła...

„Matka, gdy się dowiedziała o śmierci syna, zawodziła z rozpaczą, a ojciec tylko patrzył ponuro, milczał i myślał sobie, że już takie było przeznaczenie.

„Ale był jeden człowiek we wsi rodzinnej Ostapa, stary, dziś już zgarbiony, który co roku chodził na odpust do Hoszowa i dawał na mszę, za duszę zatraconą, którą miał na swojem sumieniu."

[Juliusz Turczyński. Straszna drużyna, obraz huculszczyzny z przeszłego stulecia. Kraków, 1891. Nakładem „Nowej Reformy" a czcionkami drukarni związkowej. Z ryciną tytułową Walerego Eliasza, wykonaną w cynkograficznym zakładzie Huśnika i Häuslera w Pradze. Stronic numerowanych 157, nieliczbowych 159. Mała ósemka.]

Opierając się po części na historycznych źródłach, po części na podaniu ludowem, określa nam w „Strasznej drużynie" Juliusz Turczyński romantyczny żywot osławionego Dowbosza, tego króla gór podkarpackich, tego Rinalda Rinaldiniego huculów, tego strasznego wroga żydów a pogromcy zarówno wojsk królewskich, jak i serc kobiecych.

Rzecz dzieje się w drugiej połowie 18go stulecia pod panowaniem Augusta III. Sasa. Właśnie dopiero co urządził sobie Dowbosz napad na Bolechów, miasteczko podkarpackie, które jego ludzie na cztery rogi podpalają. Ginie lud, giną tak chrześcianie, jak i żydzi, nawet ulewa nagle spadająca przyczynia się tylko do powiększenia popłochu. Między ratującymi uwija się herkuliczną siłą i niezwykłą urodą obdarzona Mełanka, którą przy tej sposobności poznał obcy nibyto na ratunek przybywający mąż, a był nim — Dowbosz.

Widzimy też wkrótce dziewkę ubezwładnioną długim oporem, przetrzymaną w obozie zbójców, gdzie urodą swoją na siebie ściąga uwagę watażki — Dowbosza, który „jak był despotą nad drużyną, nie znosząc oporu, tak i w miłości swej nie znosił oporu kobiet zamężnych czy niezamężnych, uważając je jako stworzone dla niego.“

Dziwują się ludzie watażki, co się mu stało takiego, że nawet przed rozdziałem łupów wyszczególnić każe nową brankę najpiękniejszym sznurem korali skradzionych? bo „nie wiedzieć, co teraz tamta powie kosmacka?“

Kosmacka zaś, to żadna inna jeno Irena Dźwińczukowa, żona gazdy Stefana Dźwińczuka z Kosmacza, którą rozkochał w sobie straszny watażka zbójców, a która się teraz trapi myślami o kochanku, podczas gdy mąż jej nad tem się zastanawia, jakiż wynaleźć środek na zgładzenie okropnego dowódcy rozbójników, z którym się ni to wojska pańskie nadwórniańskie, ni to królewskie uporać nie zdołały.

Tymczasem wymyka się Irena z chałupy mężowskiej pod pozorem, iż na gościeć szukać pragnie środka u starej wiedźmy - znachorki Hawryszczychy, mieszkającej w Żabiu nad Ilcią a która potrafi „odczynić uroki.“ W istocie zaś inna ją tam myśl prowadzi: Irena, niespokojna o los kochanka, po części i zazdrośna na niego, chciałaby się u starej o swoim „Ołeksie“ wywiadywać. Wtem wraca z wyprawy bolechowskiej syn znachorki, służący w wojsku Dowbosza. Nie znając obcej opowiada obojętnym głosem o wyprawie na mieszczan, o łupie zdobytym, o pięknej Mełance, którą ujął w niewolę watażka, a chciałby ją zniewolić do kochania go, a „Irenie coraz się marniej robiło na duszy. Mimo to siliła się panować nad sobą.“

Mełanka znajdująca się w niewoli watażki, z początku pogodzić się żadną miarą nie mogła z swoim losem; wkrótce jednak niby oczarowana „mocą złego,“ wzrokiem i siłą Dowbosza, przylgnęła do niego, i chociaż się czasem tęsknota za swoimi ozwała i ciągnęło ją coś do domu a „chciałaby teraz tam powrócić, lecz obraz watażki jak gdyby na uwięzi ją

trzymał; czarne jego, żarem głębokim iskrzące oczy, czary niepokonane na nią rzuciły.“

Postrach i zgroza, szerzone na każdym kroku przez zbójeckie hordy opryszków zniewoliły wreszcie zjednoczone królewskie i dworskie wojska do ścigania Dowbosza. Licho wiodła im się wyprawa. Mimo liczbowej przewagi nie mogły nic wskórać, nie znając terenu. A gdy na końcu udało się złapać nawet jednego z opryszków i torturami i grozą śmierci zniewolić go, aby wojskom królewskim wskazał pobyt groźnego watażki, to i to nieodniosło skutku. Watażka bowiem wyprzedził wojska królewskie i z niedostępnych szczytów gór rzucając pociski na wojska nieprzyjacielskie, przerzedzał i zdziesiątkowywał ich szeregi!

Irena, wyrzutami sumienia ścigana, udaje się na wielki odpust do Hoszowa, gdzie przed „świaszczennikiem“ grzechy swoje wyznaje: ona teraz pragnęłaby li tylko pogodzić się z Bogiem i wrócić napowrót do męża, którego zdradziła, uwiedziona wielkością i sławą zbójecką Dowbosza. Tymczasem dowiaduje się od obcej baby, że Dowbosz nową kochankę wynalazł sobie w Mełance, i znowu budzi się w niej uczucie zazdrości. „Zazdrość ku rywalce krew jej wszystką zatruła. Jak szalona wracała do domu; złe znowu górę nad nią wzięło.“

W domu mąż ją oczekuje, wybaduje co do jej wycieczki w obce strony, co do stosunku z Dowboszem, wydobywa z rozjątrzonej kobiety tajemnicę opryszka, że zgładzić go może z świata tylko kula srebrna, poświęcona przez świaszczennika. Stefan Dźwińczuk jako zawołany myśliwy, zakupiwszy srebra u żyda, odlewa kulę, którą następnie poświęcić daje księdzu.

Tymczasem Dowbosz nocną porą wkrada się w dom gazdy i zbliża się do Ireny, pragnąc ją znowu oczarować wzrokiem i mową. Wtem pada strzał... i „watażka powalił się na ziemię.“

Stefan Dźwińczuk pomścił się krzywdy swojej i stał się zbawicielem kraju uwalniając go celnym swoim strzałem od herszta zbójów, po którym po-

zostałe wojsko było jak ciało bez głowy, a „ciało, choćby i potężne, bez niej się nie ostoi.“

Irena rzuciła się w wyrwę głęboką, zkąd ją wydobyto już nieżywą; Mełanka wróciła do rodziców jako skruszona grzesznica, „aby dźwigać ciężar pokutnicy.“

W rodzaju śmierci Dowbosza widzimy alluzję do mitycznej pięty achillesowej, do biblijnego Samsona, którego Dalila zdradziła, a przecież polega powieść Turczyńskiego w głównych zarysach na prawdzie, w dowód czego autor przytacza dokument, przechowywany do dziś dnia w rodzinie Stefana Dźwińczuka.

Tu kończy się podanie: opisywać barwność i piękność stylu autora, charakteryzację wierną wieku i osób, rolę w tem historycznem podaniu odgrywających, to zostawiam bieglejszym odemnie referentom, dodając tylko od siebie, że autor niezrównanych „nowell huculskich“ tak jak wszędzie, tak i tutaj pod każdym względem okazuje się niedoścignionym mistrzem formy i treści.

[Uwagi nad Panem Tadeuszem Adama Mickiewicza. Skreślił F. S. Reichman. Nakładem autora a czcionkami drukarni Szewczenki. Mała ósemka. Stronic 32.]

Do tylu rozmaitych a po części bardzo wyczerpujących prac o „Panu Tadeuszu“ — przybywa nam nowa: mały komentarzyk w kształcie broszurki niniejszej.

Rzecz sama, krótko, zwięźle a zrozumiale streszczona, zawiera wstęp, krótką biografię wieszcza, rozbiór treści „Pana Tadeusza“ i luźne uwagi Reichmana, wychowanka seminarjum nauczycielskiego stanisławowskiego i byłego nauczyciela. Rzecz zresztą nie źle napisana, nieuprawnia autora do twierdzenia uczynionego w przedmowie, że „szerokie społeczeństwo nie ma żadnego pojęcia o tej książce (Panu Tadeuszu)“ i że dopiero p. Reichmann będzie tym, który za pomocą swego dziełka spełni znane życzenie wieszcza:

„O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy,
Żeby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi proste jako ich piosenki.“

[Bernard Pomeranz. La Grèce et la Judée dans l'antiquité. Coup d'oeil sur la vie intellectuelle et morale des anciens Grecs et Hebreux. Première partie. Paris, 1891. Imprimerie de Jouaust, Rue de Lille, 7. Chez l'auteur à Jaroslaw (Autriche). Stronic numerowanych 93. Mała ósemka.]

Autor ciekawej broszury francuzkiej, którą poniżej omówimy, pochodzi z Sambora a mieszka obecnie w Jarosławiu, gdzie dzierży posadę nauczyciela religji żydowskiej, zajmując się przy tem stale językiem i literaturą francuzką. Ponieważ autor pragnąc zwalczyć indiferentyzm, panujący w sprawach literatury i języka hebrajskiego, porównanie czyni między literaturami grecką i żydowską w starożytności, więc podzielił pracę swoją na dwie części, z których pierwsza wyłącznie greckiej literaturze poświęcona.

Drugą część, gdy wyjdzie z pod prasy, nie omieszkamy omówić.

Już w przedmowie podaje autor przyczyny, które go zniewoliły do tej pracy. Użala się, że dorastające plemię coraz więcej zapomina o języku, literaturze, obyczajach i tradycji ojców; że nieprzyjaciele judaizmu z rozmysłu falszywe o nim szerzą wieści, chociaż nawet nowy zakon urósł na fundamentach starego. W czasach ucisku i prześladowań religijnych zależało ciemnym mnichom na tem, aby znajomość języka hebrajskiego nie szerzyła się wpośród tłumów. Nie był to już język światowy, chociaż swoją drogą prawie najstarszym był z języków. Poganie jednak nie rozumieli go albo rozumieli tylko słabo. Greczyzna, której abecadło nawet zapożyczone od hebrajskiego, wyraźnie wykazuje źródło swego pochodzenia, a następnie łacina, były językami pogan wówczas światowładnych, których za pomocą ich języka do wiary chrześciańskiej nawrócić usiłowano. Te więc języki wkradły się do liturgii, stały się językami chrystjanizmu, choć— jak to autor całkiem słusznie zauważa — właśnie język łaciński był znienawidzonym językiem gnębicieli Izraela a katów Jezusa.

Obecnie inne panują prądy: prześladowania Izraelitów traciły cokolwiek z dawniejszej zaciętości i siły, ale wzmaga się natomiast indiferentyzm wśród sa-

mychże żydów. Z indiferentyzmem w parze idą arogancja i nieuszanowanie starszych i zasłużeńszych, a jeśli dawniej Rabi Meir korzystając z nauki mistrza, zarażonego na stare lata niedowiarstwem Greków, to sobie przyswajał, co uważał za zdrowe a to odrzucał, co mu się zgubnem zdawało, ale mistrza swego i wychowawcę młodości zawsze czcił i poważał; — to teraz plemię nowożytne wszystko sobie przyswaja, światło wiedzy i światło prawdy windykuje wyłącznie dla siebie, korzystając z smakowitych owoców żywota a obrzucając łupinami przewodników swoich i nauczycieli.

Aby tem lepiej i silniej uwydatnić piękności ojczystej literatury hebrajskiej, ciągnie autor paralellę między judaizmem a najbardziej spokrewnionym mu hellenizmem, rozpoczynając rzecz od samychże Greków i ich mitologji.

Przytacza autor zdania rozmaitych pisarzy, usiłujących niektóre zdania biblijne, jakoteż i opisy z mitologji greckiej zastosowywać do zjawisk natury. Według tych panów prorok Eliasz i Helios mają być identycznymi, Herkules równa się z Jozuem, Abraham ofiarujący Izaaka, to noc, pochłaniająca zorzę wieczorną, Jefta zabijający córkę, to słońce, gdy rozprasza mgły poranne, Edip nawet zabijający ojca, żyjący w kazirodztwie z matką i ginący jako ciemny, jest tylko odźwierciedleniem zjawiska natury. Przedstawia bowiem słońce, unicestwiające swego rodziciela: zmierzch poranny; następnie łączące czy raczej spływające się z matką: zorzą wieczorną; wreszcie ginące w ciemnościach wiecznych, to znaczy: zachodzące.

Pan Pomeranz sprzeciwia się uczonym tym wywodom, o ile się odnoszą do religji żydowskiej: religja monoteistyczna bowiem, upatrująca w Bogu jedynie wypływ wszechmądrości i wszechdobra, nie mogła żadną miarą do zjawisk natury przywiązywać nadziemskiego znaczenia. Zgadza się to twierdzenie zresztą i z przykazaniami bożemi, zawartemi w piśmie świętem: „że nie będziesz się modlił ani do gwiazd, ani do księżyca, ani do słońca, ani też odtwarzał z nich wizerunków żadnych“, to znaczy, że

nie będziesz zjawisk natury, pochodzących od Boga, otaczał osobliwszą czcią, ani też nie równał z ich twórcą.

Między Prometeuszem a pierwszym człowiekiem Adamem zdaje się istnieć pewne duchowe pokrewieństwo: obaj buntują się przeciw nakazom boskim; obaj sięgają po owoc zakazany, wiedzę; obaj wreszcie ponoszą karę za zuchwalstwo swoje — ale i to pokrewieństwo tylko pozorne, a w każdym razie — tak twierdzi pan Pomeranz — wyżej pod względem moralnym od Prometeusza, buntującego się jeszcze po ukaraniu swojem przeciw Zewsowi, wyżej o wiele stoi pierwszy człowiek przerażony nieposłuszeństwem swojem i lękający się wszechmocy Bożej.

Niezmiernie ciekawe jest porównanie Zewsa olimpijskiego i Jehowy, niemniej ciekawe wnioski wyprowadzone z postępowania Achillesa, wodza greckiego, wyruszającego wspólnie z innymi wodzami w krwawy bój przeciw Troi, aby mścić porwanie Heleny, z którą to wyprawą wojenną autor porównuje wyprawę synów Izraela, przedsięwziętą celem pomszczenia zniewagi współplemienniczki Izraelitki na jej gwałcicielach, również potomkach Izraela.

Porównawszy ze sobą czyny bohaterskie półbogów greckich Herkulesa, Achillesa z jednej strony, z drugiej strony przeciwstawiając im bohaterstwo niewykwintne Abrahama i Samsona, — robi autor końcowe konkluzje swoje.

Świat pogański grecki wytworzył pierwszy mitologję jednolitą i wysoce poetyczną, jakiej nie mają inne narody, ale mitologja ta zrozumiałą być mogła tylko dla wybrańców, religja żydowska jedną była dla wszystkich, nie znała i nie zna różnicy między wysokopołożonymi a niskimi; mitologja grecka niemoralna wielce w bohaterach swoich a jeszcze bardziej w bogach, religja żydowska nie zna cudzołoztwa bogów i półbogów; Homer celuje poetycznym polotem, ale i w piśmie świętem tego polotu poetycznego nie brak.

Poważajmy za tem Grecję jako kształcicielkę piękna, jako kołyskę artyzmu, harmonii zewnętrznej i piękności fizycznej; ale pamiętajmy dobrze o tem,

że obok tych skarbów powierzchownych pielęgnować powinniśmy w niemniejszym stopniu skarby duszy: prawdę religijną, wychowanie moralne, harmonję wewnętrzną, które to skarby ludzkość cała jedynie staremu zakonowi ma do zawdzięczenia.

[Tymko Medier, powieść współczesna przez Kazimierza Rojana, Lwów, 1891. Nakładem Hoszeka i spółki, a czcionkami Szczęsnego Bednarskiego, z litografją tytułową wykonaną u Antoniego Przyszlaka we Lwowie. Stronic numerowanych 406. Mała ósemka. Cena 2 złr.]

Świeży i młodzieńczy duch wieje z tej pracy nieznanego nam dotąd a po raz pierwszy zapewne na polu literatury występującego autora młodego. Powieść, na wzór najlepszych powieści humorystów angielskich napisana, niepozbawiona pewnego idealizmu, choć miejscami przenika także skrajny pesymizm, świadczący o tem dowodnie, że autor mimo młodego wieku był już i obracał się w szkole życia a obok wiele dobrego, nierównie więcej złego widział. Bo z takiem przeświadczeniem, z taką dojrzałością umysłu, z jaką Rojan swego „Tymka Mediera“ nam przedstawia, pisać może nie mól książkowy, który świata nie widział i zna go chyba jedynie z książek, ale właśnie taki, który się sam rzucał w wir szalony i widział i doświadczał, co się tylko bezstronnem, żadną mgłą nie zasłoniętem okiem widzieć i spostrzegać daje.

Autor widocznie Podolanin, czyli wychowanek Podola galicyjskiego, które opisuje z szczególnem zamiłowaniem, co mu jednak nie przeszkadza, rozpuszczać gonitwy także po szerszym świecie. Spyta się zapewne ten lub ów, co to za jeden, ten „Tymko Medier“ Kazimierza Rojana? „Tymko Medier“ — to idea; „Tymko Medier“ — to postać jakiegoś mitycznego herszta cyganów, który w lesie po sobie miał zostawić ukryte skarby.

Za tymi urojonymi skarbami ugania się jeden z bohaterów powieści, niepoprawny idealista Marek Radliński, myśląc rzeczywiście, że się wzbogaci owymi skarbami. Gdy więc łatwowiernego żydzi i katolicy na wyścigi wplątają w nieudałe spekulacje, gdy

go właśni krewni oszukują i wyzyskują a ruina grozi już prawie niechybna, Radliński pociesza się jeszcze nadzieją, że wszystkie straty powetuje sobie skarbem „Tymka Mediera.“ To jego idée fixe, nie dająca się urzeczywistnieć, niepraktyczna, jak wszystkie tego rodzaju idee.

Zupełnie odmiennie pojmuje rzecz bratanieç jego Michał Radliński. Dla niego — jedynym nieurojonym skarbem „Tymka Mediera“ jest praca własna, usilna, nieustanna przy wytrwałej, nieugiętej, niczem z drogi zepchnąć się nie dającej wolnej woli. W nadzwyczajnie żywych i udatnych barwach przedstawia nam autor życie studenckie i dalsze dzieje pięciu kolegów szkolnych Michała Radlińskiego, cichego a wytrwałego pracownika, Stasia Radlińskiego, swawolnika, lekkiego jak żywe srebro, Aleksandra Żarniewskiego, paniczyka rozpieszczonego i zepsutego, Szymona Kupczyka, rozmarzonego poety i niedołęgi i Stanisława Suszyckiego. Coraz bardziej charakterem i dążnościami swemi ponad innych wybija się Michał Radliński — aż wreszcie dzięki energji i pracy usilnej staje się panem sytuacji i głównym bohaterem powieści. Onto cztery razy zepchnięty z drogi i narażony na najdotkliwsze straty materjalne, zaczyna wciąż na nowo zapasy z nieprzychylnym losem, aż na końcu staje zwycięzcą u mety, zdobywa królewską fortunę, ratuje podupadłych przyjaciół i krewnych, zakłada własne ognisko i udowadnia życiem i czynami swemi, że prawdziwym skarbem „Tymka Mediera“, zapewniającym każdemu niezawisłość — jest praca.

Oto tendencja powieści. Uczciwa tendencja nie jest jednak jedyną zaletą dzieła; zdobią je jeszcze niepospolicie barwny i malowniczy styl, lekkość opowiadania, świetna charakterystyka osób, poglądy wielkoświatowe — co razem wziąwszy uprawnia nas do twierdzenia, że w autorze „Tymka Mediera“ przybywa naszej literaturze powieściowej pisarz nie szablonowy, ale spostrzegacz bystry, siła pierwszorzędna.

Wydawnictwa Zukerkandla w Złoczowie. Biblioteka Powszechna.

Szczęśliwa bardzo myśl spopularyzowania swoj-

skich i obcych utworów spowodowała zasłużonego wydawcę złoczowskiego do omówionej przez nas publikacji. Publikacja ta ma wielką przyszłość przed sobą, a choć może — zwłaszcza w samych początkach — znaczne wkłady wydawcy tylko w małej części się wrócą, to nie wątpimy przecież, że jego „Biblioteka Powszechna“ wkrótce się znajdzie w każdym porządnym polskim domu i skutecznie wyruguje wszystkie owe spekulacyjne wydawnictwa, wymyślone li tylko, aby tumanić łatwowierną publiczność. W „Bibliotece Powszechnej“ mieszczą się w bardzo ozdobnych i tanich wydaniach prace bądźto oryginalne, bądź tłumaczone z obcych języków, bądź zresztą przedruki. O pospolitszych rzeczach pobieżną tylko uczynimy wzmiankę, obszerniejszą o rzadszych, zasługujących na to.

[Nr. 1. Adam Mickiewicz. Konrad Wallenrod, powieść historyczna z dziejów litewskich i pruskich. 16ka. Stronic 68. Cena 12 centów.]

Całkiem naturalnym trybem „Biblioteka Powszechna“ rozpoczyna się od arcydzieła Mickiewicza, nie starzejącego się nigdy a które obszerniej omówić uważamy za rzecz zbędną. Zwracamy tylko uwagę czytelnika na to, że to wydanie jest gustowne i piękne i jak wszystkie prawie zeszyty „Biblioteki Powszechnej“ zaopatrzone krótkim biograficznym wstępem.

[Nr. 2 i 3, (podwójny zeszyt.) Benjamin Franklin. Droga do majątku i inne pisma. 16ka. Stronic numerowanych 98. Cena 24 centów.]

Ciekawe wielce są te prace literackie, zwłaszcza autobiografja autora, który z najmniejszych początków od sługi sklepowego i chłopca z drukarni, doprowadził do najwyższych zaszczytów, przez swój wynalazek konduktora czyli piorunochrona wydarł piorun niebu i umarł, doczekawszy się sędziwego wieku i czczony od wszystkich dla swoich cnót obywatelskich. Nie na wszystkie zdania i zasady Franklina zgodzilibyśmy się teraz; niejedna z nich niepraktyczna, przestarzała się już obecnie. Mają jednak pewną wartość choćby i z tego powodu, że nam odmalowują sposób myślenia człowieka, który w nie-

zwykłych chował się warunkach życia i niezwykłemi chadzał drogami, a zwłaszcza niektóre wskazówki życia, udzielone nam przez autora tak w autobiografji, jak i w innych pracach, zbiorkiem niniejszym objętych, tak są cenne i ważne, szczególnie w naszym wieku, w którym młodzież już prawie straciła wyobrażenie o oszczędności i pracy, że powtarzać je świętym jest obowiązkiem.

[Nr. 4. Aleksander Morgenbesser. Zwycięztwo książki. Nowela galicyjska w 24 obrazkach. 16ka. Stronic 58. Cena 12 centów.]

Z wielkim humorem opisuje nam znany zaszczytnie autor „Obrony Sokołowa“, „Myślącego burmistrza“ i innych znanych szerszej publiczności poematów życie naszej szlachty galicyjskiej, wybierając na tło obrazu zjazd jarmarczny. Z niezrównanem mistrzowstwem opisane tu najrozmaitsze wady naszych krajowców: to życie bez zastanowienia się, bez jutra, faktorstwo, hulatyki, karciarstwo, zamiłowanie w błahostkach i strojach, księgowstręt, nad którym przecież książka — powiedzmy raczej: duch narodu polskiego — tryumfuje. To wszystko bardzo dobre i piękne; a przecież nie możemy się z zakończeniem noweli zgodzić, i żaden prawdziwy Polak nie zgodzi się z niem. Czy w Białej, jak autor twierdzi, już granice języka polskiego, granice narodowości polskiej? Nie! wszakże duch narodu żyje wszędzie — ubi vult, spirat! bo tak jak myśli ograniczyć nie można żadnemi nakazami i zakazami, tak i język swobodnie buja, choć skoszlawiony często gęsto lichą wymową, a gdzie się tylko Polacy znachodzą, chociaż w mniejszości, tam jest i Polska. Nie dajmy przecież wrogom naszym podstawy do twierdzenia, że już Polski nie ma, albowiem sami Polacy twierdzą, że w miejscowości dawniej polskiej, Polska istnieć przestała.

[Nr. 5. Franciszek Grillparcer. Klasztor pod Sandomierzem, opowiadanie oparte na prawdziwem zdarzeniu, przetłumaczył Apolinary Ujejski. 16ka. Stronic 52. Cena 12 centów.]

Klasztor pod Sandomierzem — jest to historja fundacji klasztoru, opowiedziana gościom przez sa-

mego fundatora, niegdyś hrabiego a teraz mnicha Starzeńskiego, który z resztek swojej fortuny klasztor założył, aby odpokutować żonobójstwo, z zazdrości popełnione. Rzecz na pozór dosyć pojedyncza, ale posiadająca przecież pewne zalety pisarskie.

[Nr. 6. Henryk Ibsen. Upiory. Dramat w czterech aktach. Przekład Ignacego Süssera. 16ka. Stronic 80. Cena 12 centów.]

Dramat niniejszy, osnuty na tezie, że „grzechy ojców mszczą się na dzieciach“, odznacza się treścią zajmującą i niezwykłą, tłumaczenie znakomite. Mimo to powiemy otwarcie, że wrażenie całości wstrętne dla nas. Z wyjątkiem chyba pani Heleny Alving, starającej się skalaną pamięć nieboszczyka męża swego, skończonego łotra, oczyścić za pomocą fundacji dobroczynnej, uwieńczonej jego nazwiskiem — ani jedna osoba dramatu nie jest nam sympatyczną. A dopiero zakończenie w najwyższym stopniu patologiczne, przypomina nam szpital a nie tragedję. Co to za wstrętna i obrzydliwa figura, ten artysta-malarz Oswald Alving, który jako morfinista kończy w obłąkaniu! Nie takichto efektów scenicznych zapotrzebowali dawniejsi mistrzowie sceny, a wszystko było o wiele naturalniejsze i piękniejsze. Ale teraz kierunek wstrętny i obrzydliwy Ibsenów, Zolów, Tołstojów stał się panującym i rugować zaczyna święte ideały Szekszpirów, Lessingów i Szyllerów! Nie wiemy, jak długo jeszcze ten kierunek potrwa, który uważamy za zgubny a który się wzmaga z dnia na dzień. Ale „Biblioteka powszechna“ musi pomieszczać wszystko, musi reprezentować wszystkie istniejące kierunki literatury, inaczej nie zasłużyłaby na swoją nazwę, i z tego też powodu wyrażamy głęboką naszą wdzięczność wydawcy „Upiorów“, że nas i tym utworem literackim obznajamia.

[N. 7. Alojzy Żółkowski. Anegdoty i fraszki humorystyczne z „Momusa“ i „Potpourri.“ 16ka. Stronic numerowanych 48. Cena 12 centów.]

Anegdoty i fraszki śp. Żółkowskiego, — to skarbonka doświadczeń praktycznych naszych ojców i dziadów; i teraz jeszcze, choć się wiele zmieniło na świecie a pokolenie obecne wydelikaciało nie do po-

jęcia, — to niezawadza, przypomnieć mu, że prawdziwy humor w Polsce jeszcze nie wymarł, i że świat, w którym obecnie żyjemy, jeszcze nie tak zepsuty i zły ze wszystkiem, jeśli się w ogóle z czego naśmiewać można. Niektóre z tych żartów stały się już nawet przysłowiowemi i przeszły na potomność, jak np. dowcip „o chudej farze, w której sam pleban dzwoni“.

[Nr. 8. i 9. William Szekszpir. Romeo i Julia, tragedja w pięciu aktach. Przekład Juliana Korsaka. 16ka. Stronic numerowanych 100. Cena 24 centów.]

Mistrza mistrz przetłumaczył. Któżby nie znał bodaj z opowiadania głośnej tragedji Szekszpira? Komuż nieznane miłośne dzieje Romea i Julii upiększające walki stronnictw Montecchich i Kapuletich. Komuż nieznana śmierć tragiczna obojga kochanków, łącząca stronnictwa rozwaśnione? Walki stronnictw i walki miłośne przedstawił nam angielski mistrz Szekszpir a odźwierciedlił i odtworzył językiem swojskim i wierszem czarującym wdziękiem swoim i siłą polski mistrz Julian Korsak.

[Nr. 10. Juliusz Stinde. Mituś i Matuś, nowela. Przełożyła M. z N. A. 16ka. Stronic numerowanych 51. Cena 12 centów.]

Rzecz na pozór dosyć pojedyncza ulubionego humorysty. Mituś i Matuś to para kociąt, stających się powodem rozmaitych zabawnych nieporozumień, które się jednak szczęśliwie kończą połączeniem dwojga par kochających i przejednaniem starego kapitana Wajdena. Humor Stindego swojski, niewybredny.

[Nr. 11. Szczęsny Zahajkiewicz. Powinszowania dla dzieci i młodzieży. 16ka. Stronic 42. Cena 12 ct.]

„Jest to coś na kształt niemieckich „Briefstellerów,“ nieprzebrana skarbnica dla ludzi o tępym umyśle, którzy bez pomocy formularza wydrukowanego, nie byliby w stanie słówka samoistnie napisać, — ale że takich niestety jest o wiele więcej, aniżeli ludzi samoistnie myślących i piszących, to też książeczka Zahajkiewicza niezrównane wyświadczyć im może przysługi.

[Nr. 12. Molière. Grzegorz Fafuła (George Dandin), komedja w trzech aktach, tłumaczona przez

Franciszka Kowalskiego. 16ka. Stronic 56. Cena 12 ct.]

„Tu l'as voulu, George Dandin,“ czyli po polsku: „Obrałeś się za grzyb, wleź w kosz“ — jestto frazes stereotypowy francuzki. Tłumacz zlokalizował sławną komedję Molièra, a nie tłumaczył. Mimoto robi ona dobre wrażenie lekkością swoją. Treść w kilku słowach da się ująć. Grzegorz Fafuła (George Dandin), wieśniak bogaty ożenił się dla splendoru z panną Klaudyną Gapiomiejską, która go w spółce z kochankiem Kordulewiczem oszukuje, aż ostatecznie do muru przyparty, sam małżonek się przyznaje, że

„Komu żoną złośliwa została kobieta,
Najlepszy myślę sposób pozbycia się żmii,
Skoczyć w wodę i kamień przywiązać do szyi.“

[Nr. 13. Ignacy Chodźko. Obrazy litewskie. Pierwsza serja. 16ka. Stronic 114. Cena 12 centów.]

Pierwsza serja „Obrazów litewskich“ obejmuje 3, a mianowicie: „Domek mojego dziadka,“ „Boruny“ i „Śmierć mojego dziadka.“ Każdy z tych obrazków nibyto stanowi rzecz odrębną; łączą je atoli wspomnienia z lat najmłodszych, obracające się głównie w około osoby dziadka autora, którego domostwo i pobożny sposób życia opisuje pierwszy obrazek; w „Borunach“ widzimy odźwierciedlone czasy szkolne; w trzecim obrazku śmierć dziadka. Pierwsza serja „Obrazów litewskich“ bardzo zajmująca i charakterystyczna, szczególnie w opisach wychowania kościelnego w szkołach z drugiej połowy 18go stulecia.

[Nr. 14—15. Cycero. Cztery mowy przeciw Katylinie. Przekład E. Rykaczewskiego. Za zezwoleniem „Biblioteki Kórnickiej.“ 16ka. Stronic numerowanych 79. Cena 24 centów.]

Marek Tulliusz Cycero, konsul rzymski i nieposzlakowanej cnoty republikanin, sławę swoją głównie zawdzięcza energicznemu wystąpieniu i prześladowaniu niesumiennego spiskowca Katyliny i mowom przeciw temuż wygłaszanym. Mowy rzeczone, prawdziwe arcydzieła sztuki retorskiej, w wzorowym przekładzie Rykaczewskiego wraz z wstępem i obja-

śnieniami stanowią treść niniejszej książki, która się zaleca do użytku nietylko młodzieży szkolnej, ale i stąrszych.

[Nr. 16. Guy de Maupassant, nowele. Przekład Ernesta Leona Liliena. 16ka. Stronic 65. Cena 12 ct.]

Nowele Maupassanta, autora, który w ostatnich czasach rozgłośnym się stał obłąkaniem swojem, dziwne niezmiernie wywołują wrażenie. Widzimy w nich pewien szał, pewną nerwowość, którą trudno nam psychologją wytłumaczyć, którą raczej wytłumaczamy sobie nerwowem usposobieniem autora. Na przykład taki „Tchórz,“ wicehrabia Józef de Signoles, który znany z rozlicznych pojedynków na pistolety, przeciwnika na pistolety wyzywa, a potem sobie życie odbiera ze strachu, przed kim? przed swoją nerwowością chyba; albo „Klejnoty?“ Tutaj charakter głównego działacza, p. Lantina, także nie tłumaczy nam dostatecznie szalonej radości, jakiej doznał, gdy mu za piękne klejnoty nieboszczki żony wypłacono wcale pokaźną sumę, choć pierwotnie wściekał się na myśl, że te klejnoty pochodzą może od kochanka. „Berta,“ problemat więcej patologiczny, niż psychologiczny, usiłujący wykazać wpływ małżeństwa na obłąkanych, niekoniecznie przyjemnie oddziaływa na czytelnika. „Przechadzka“ i „Czart,“ — to już rzeczy więcej do życia rzeczywistego zbliżone, z życia wzięte. I tu niepowiemy jednak, żeby wrażenie, jakie wywierają, należało do zachwycających, szczególnie w „Czarcie,“ malującym interesowność i łapczywość niewykształconych warstw. Tłumaczenie pana Liliena gładkie — czyta się z przyjemnością.

[Nr. 17. Sebastjan Klonowicz. Ziemie czerwonej Rusi (Roxolania.) Przekład Ludwika Kondratowicza. Za zezwoleniem rodziny śp. Ludwika Kondratowicza. 16ka. Stronic numerowanych 65. Cena 12 ct.]

Znany autor „Worka Judaszów“ z powodu „Roxolanii“ swojej uważany być może za duchowego poprzednika twórcy „Pieśni o ziemi naszej.“ Utwór Klonowicza jednak obszerniejszy i bardziej wyczerpujący, a wykazujący cechy 16go stulecia w mitologicznych zwrotach i okresach, przedstawia nam się ponadto jeszcze w udatnej formie tłuma-

czenia Syrokomli, mogącego się obejść i bez obligatorskich pochwał. Uczynimy od siebie tylko wzmiankę, że oprócz biograficznego wstępu, napisanego przez tłumacza i oprócz objaśniających uwag i notatek — edycję tę zalecają niepospolicie czystość druku i taniość.

[Nr. 18—19. Henryk Ibsen. Wróg ludu, dramat w 5 aktach. Przekład Ignacego Süssera. 16ka. Stronic 123. Cena 24 centów.]

Wróg ludu — to illustracja przysłowia, że prawda w oczy kole.“ Dr. Stockman, lekarz jakiegoś zakładu kąpielowego w Norwegji, odkrył w nim zaraźliwe bakcyle i odkryciem tem opublikowanem ustnie w najszerszych kołach, szkodzi reputacji zakładu, na którego czele jako dyrektor stoi jego brat — burmistrz miasta. Interesa przeciwne ścierają, namiętności zaogniają się. Kończy się rzecz na tem, że doktor traci posadę lekarza kąpielowego i na zgromadzeniu publicznem ogłoszonym zostaje wrogiem ludu. Nie możemy pochwalić jego nieprzyjaciół; zbyt wielka ich dwulicowość. Ale i doktor sam, czyż tak bardzo pochwały godzien? Czytelnik bezstronny powie, że nie! Dla idei — być może prawdziwej, być może także błędnej — naraża on z niesłychanym uporem ogół na nieobliczone straty, naraża rodzinę na niepewną przyszłość, a osamotniony i opuszczony przez wszystkich, z wyjątkiem przyjaciela kapitana Holstera — postanawia jeszcze walkę na noże podjąć przeciwko ogółowi. Z jakim rezultatem w przyszłości? Powiemy otwarcie, że z żadnym! Chcąc bowiem zwyciężyć w najdrobniejszej nawet sprawie, trzeba koniecznie stronnictwo mieć za sobą.

[Nr. 20. Cycero. Mowa za prawem Maniliuszowem. Przekład E. Rykaczewskiego. Za zezwoleniem „Biblioteki Kórnickiej“. 16ka. Stronic 51. Cena 12 ct.]

Jest to pierwsza mowa sławnego oratora, wygłoszona w myśl wniosku Maniliusza, obdarzającego Kneja Pompeja nieograniczoną władzą w dowództwie nad flotą przeciw Mitrydatowi i Tygranesowi. Przekład, również jak poprzedzający mów przeciw Katylinie znakomity.

Sambor, 10. Lutego 1892.

G. Kohn.

Sprawozdanie z czynności moich.

Z 15go rocznika mego wydawnictwa samborskiego oddaję niniejszem na cele dobroczynne samborskie 50 złr., a mianowicie 25 złr. dla Bursy samborskiej a tyleż dla Towarzystwa dam dobroczynnych pod wezwaniem Św. Wincentego à Paulo w Samborze. Straty chwilowe zmusiły mnie do chwilowego uszczuplenia rozmiarów wydawnictwa, co sobie jednak przy następnem wydawnictwie powetować obiecuję.

Do strat, które atoli bez dotkliwszych skutków dla wydawnictwa przeszły, zaliczam także konfiskatę zarządzoną z powodu cytatu z „Wernyhory" Michała Czajkowskiego, str. 41. i 42., konfiskatę zniesioną równobrzmiącemi wyrokami sądów: Samborskiego i Wys. c. k. sądu krajowego wyższego we Lwowie.

Sambor, 29. Lutego 1892.

G. Kohn,
redaktor i wydawca „Roczników Samborskich."

Spis przedpłacicieli.

Biała i powiat: Dr. Jan Cieszyński, Czytelnia polska, Dr. Bernard Ichheiser, Krysta, Dr. E. Stiasny i Stowarzyszenie wzajemnej pomocy w Białej, Dr. Gąsiorowski, Dr. Nowak i Antoni Polaszek w Oświęcimie.

Bobrka: Wilhelm Jonasz, Zenon Rawicz Rojek, Antoni Szlomkiewicz i Longin Tóth w Bóbrce.

Bohorodczany: Józef Pańciewicz w Bohorodczanach.

Borszczów i powiat: Dr. M. Komeriner, Michniewski, Dr. Maksymilian Mosler, Karol Mühlner, c. k. Starosta, Rarogiewicz, Rawski, Ścisłowski, Teofil Witosławski i ks. Franciszek Wołoszyński w Borszczowie, Tomasz hr. Dzieduszycki w Korolówce i Józef Stokłosa w Skale.

Brody: Franciszek Adlof, Bursztyn, ks. Zygmunt Świstelnicki, Spiridion Adam Telichowski, Stanisław Tokarski i Antoni Witosławski, burmistrz w Brodach.

Brzesko i powiat: Wincenty Łobos, Dr. Ludwik Parvi i Edmund Romer, c. k. Starosta w Brzesku, ks. Lacroix w Radłowie.

Brzeżany: Antoni Dzbański, Karol Morwitz i Franciszek Wolski w Brzeżanach.

Buczacz i powiat: Dr. I. Ausschnitt, Mieczysław Burzyński, Janko, Zygmunt Jasiński, Dr. Edward Krzyżanowski, Marcinkiewicz, Dr. Fabius Nacht, Pfau, Izydor Rathner, Dr. Emanuel Reis, Emil Schutt, c. k. Starosta, Sokal, Stojowski, Konstanty Stupnicki i Wydział powiatowy w Buczaczu, Jan Ferrari, Marjan Glazarewicz, W. Lifschitz, Emil Safrin i Leonard Smolik w Monasterzyskach, Dr. Jan Bołoz Antoniewicz w Skomorochach, Ludwik Antler w Sorokach i Alfred Gasperski w Żyżnomierzu.

Chrzanów: Władysław Dolais, Dr. Antoni Gaszyński, Dr. Pawlas († w Styczniu 1892, l. 45. lat), Zygmunt Brochwicz-Rogoyski, c. k. Starosta, Kamila Sporyszowa i Zarząd Towarzystwa pedagogicznego w Chrzanowie.

Cieszanów i powiat: Michał Gilewicz, Dr. Jacek Jabłoński i Jan Strzelecki w Cieszanowie, J. O. ks. Ludwik Łodzia Poniński, c. k. emerytowany Starosta i Radca Namiestnictwa w Horyńcu, J. Fryser, Józef Kapko i ks. Jabłonowski w Lubaczowie.

Czerniowce (na Bukowinie): Jan Kamiński, Frydryk Kuhnen, Władysław Sołtyński, Antoni Sworakowski i Ferdynand Syrzistie, c. k. Radca rządu krajowego w Czerniowcach.

Czortków: Bieńkowski, Hołubowski, Juliusz Niewiadomski, c. k. Starosta i Dr. Stöckl w Czortkowie.

Dąbrowa: Trzeciecki w Dąbrowie.

Dolina: Józef Czarnek i Dr. Józef Dobrowolski w Dolinie.

Drohobycz: S. A. Apfel († 1891 $^{14}/_{12}$ l. 57 lat), Dr. Natan Apfel, Dr. Jakub Fruchtman, Ignacy Wierzbicki, Dr. Władysław Wolski i Franciszek Zych w Drohobyczu.

Gorlice i powiat: Justyn Czapelski, Czeżowski, c. k. Starosta, Wilhelm Kahl, Dr. Neuman i Dr. H. Robinsohn w Gorlicach, Ludwik Klemensiewicz w Bieczu.

Gródek: Dmuchowski, burmistrz, Adolf Henze i Świszczowski w Gródku.

Grybów: Czytelnia, Alojzy Muszyński i Jan Zacharjasiewicz w Grybowie.

Horodenka: ks. Kosiński, ks. Nowobielski, Robacki, ks. Edward Seńków, Hieronim Zahradnik, Tytus Zulauf i Jan Sas Żurakowski w Horodence.

Husiatyn i powiat: ks. Bojarski, Kurowski i ks. Szamocki w Husiatynie, Norbert Lorsch, emerytowany c. k. Starosta w Kopeczyńcach.

Jarosław: Dr. Emil Blumenfeld, Damask, Emanuel Dworski, Dr. Władysław Grabowski, Dr. Zygmunt Meisels, Dr. Julian Ruczka i Dr. Maksymilian Segal w Jarosławiu.

Jasło: Dr. Adamski, Dr. Chwalibóg, Dr. Feliks Gaszyński, Jakub Pollak, Karol Prochaska i Klemens Sieńkiewicz w Jaśle.

Jaworów: Dr. Zygmunt Bendel, Sabina Bernstein, Dr. Aleksander Hibl, Ferdynand Krischke i Ferdynand Paar, burmistrz w Jaworowie.

Kałusz i powiat: Baczyński, Przestalski, Leon Skrowaczewski i Dr. Wittlin w Kałuszu, Stanisław Komornicki w Zawadce.

Kamionka Strumiłowa i powiat: Edward Czermak, Ludwik Lis i Jan Szawłowski w Kamionce Strumiłowej, Marceli Tustanowski w Busku i Teodor Jaśkiewicz w Radziechowie.

Kołomyja: Seweryn Chrząszczewski, Józef Funkenstein, Dr. Głaczyński, Howorka, Wilhelm Kuhnen, Machnicki, Makarewicz, Dr. Maramarosz, Bohdan Mardyrosiewicz, Dr. Milgrom, Dr. Piaskiewicz, Dr. Jakub Rittigstein, Rybczyński, Dr. Ezechiel Schuster, Dr. Gabriel Sysak, Salamon Wieselberg († 1892 w Lutym l. 72 lat) i Dr. Łazarz Zipser w Kołomyi.

Kosów: Grzegorz Beckman, Bursa, Włodzimierz Łuszpiński, Hipolit Sabat, c. k. Starosta i Dr. Tarnawski w Kosowie.

Kraków: Abderman, Dr. Adamkiewicz, Bociański, Emil Borkowski, redaktor i wydawca „Djabła“, Estreicher, Naftali Herzig, Dr. Leon Horowitz, Dr. Michał Ichheiser, Jan Lipka, W. Niwicki, Dr. F. Piekosiński, Resch, Józef Sare, Bernard Thieberg, Dr. Maurycy Wechsler, Dr. Bronisław Wolff i Dr. Zoll w Krakowie.

Krosno: Franciszek Daniszewski, Jaciewicz, Kadyi, August Lewakowski († 1891 12/9 l. 59 lat), Dr. Mazurkiewicz i Dr. Najedło w Krośnie.

Limanowa: Herman Atlas, Ludwik Dobrowolski, Zygmunt Mars i Wincenty Potocki w Limanowej.

Lisko i powiat: Karol Franz, c. k. Starosta, Dr. Freysinger i Antoni Kościński w Lisku, Walter w Ustrzykach dolnych i Edward Frippel, burmistrz w Lutowiskach.

Lwów i powiat: Bank kredytowy, Dr. Józef Blumenfeld († 1891 15/10 l. 67 lat), Dr. Salamon Bund, Dr. Emil Byk, Józef Chołodecki, Dr. Adam Cząstecki, Dr. Czeszer, Dominik Derdacki, Dr. Franciszek Dębicki, Diamand, Dr. Goldman, Dr. Gottlieb, Grabiński, Dr. Gross, Dr. Robert Hefern († 1891 16/11 l. 79 lat), Dr. Herschman, Dr. Holzer, Samuel Horowitz, Dr. Horvath, Józef Howorka, Dr. Jekeles, Klipunowski, Efraim Korman, Karol Kostikow, Wł. Kostro, Dr. Edward Lilien, ks. Jakub Mardyrosiewicz, Jerzy Mayer, Dr. Obtułowicz, Jakub Piepes, Dr. Edwin Płażek, c. k. Radca Namiestnictwa, D. Posner, Juliusz Reiss, Zygmunt Richtman, Dr. Schaff, Ksawery Sielecki, Dr. Skałkowski, Karol Sklepiński, Dr. Ernest Till, Dr. Weiss, Jan Welichowski, Dr. Franciszek Wolski († 1891 23/11 l. 86 lat), Liberat Zajączkowski i Franciszek Zima we Lwowie, Bolesław Andruszewicz w Barszczowicach, Drowa Akierowa i Miłaszewski w Szczercu, Zygmunt Groblewski w Winnikach.

Łańcut i powiat: Jan Cetnarski, burmistrz miasta Łańcuta, Alina Kahane, Dr. Walenty Szpunar i Adam Wolski w Łańcucie, Aleksander Czepielewski, Jan Mazepa i Jan Świętecki w Przeworsku.

Mielec: Dr. Brandt, Droba, ks. Piotr Kapała, Matejko, Andrzej Pawlikowski, Schabbus i Sroczyński w Mielcu.

Nisko: Mieczysław Kaliniewicz w Nisku.

Nowy Sącz i powiat: Dr. Mieczysław Chlebowski, Juliusz Łempicki, Józef Pisz († 1891, l. 70 lat), Tadeusz Ritter († 1891, 15/9, l. 26 lat), Karol Sabuda, Dr. Schornstein, Alojzy Szklarski, c. k. Prezydent Sądu i Dr. Wąsikiewicz w Nowym Sączu, Ambroziewicz, Dr. Leopold Gawełkiewicz i Dr. Meissner w Starym Sączu.

Nowy Targ: Dr. Geissler i Gmina w Nowym Targu.

Podhajce: Michał Borowski, burmistrz miasta, Franciszek Kolankowski i Dr. Maurycy Lidechower w Podhajcach.

Przemyśl: Dr. Baumfeld, Dr. Oswald Blumenfeld, Dawid, Dr. Doliński, Michał Dornwald, Dr. Aleksander Dworski, burmistrz miasta Przemyśla, ks. Józef Fałat, Fried, Franciszek Gamski, Dr. Bernard Gans, Teofil Herlos, Ludwik Hibl, Dr. Hillel, A. R. Janeczek, Celestyn Jaworski, F. Kwaśniewski, F. Majerski, Dr. Rosenbach, Andrzej Skala, Dr. Skórski, Dr. Smutny i Dr. Tarnawski w Przemyślu.

Rawa ruska i powiat: Władysław Gadziński, Dr. Natan Kibitz, Mayer, Szumlański, c. k. Starosta, Wilczyński i Hipolit Zawzięty w Rawie ruskiej, Rudolf Düll, Michał Janicki i B. Kibitz w Uhnowie.

Rohatyn: Józef Drozd, Władysław Manasterski i Matkowski w Rohatynie.

Pow. ropczycki: Fr. Mayerberg w Sędziszowie.

Rudki i powiat: Czytelnia rudeńska, ks. Kamiński, Kazimierz Kurek († 1891 19/11 l. 49 lat), Albin Świtalski, c. k. Starosta i Adolf Terenkoczy w Rudkach, Józef Biliński, Dr. Jakliński, Ruxer i Wąsowski w Komarnie.

Rzeszów: Dr. Als, Dr. Barzycki, Edward baron Brunicki, c. k. burmistrz rządowy, Dr. Fechtdegen, Zygmunt Głębocki, Kalinowski, O. Metody bernardyn, Dr. Reich i Dr. Zbyszewski w Rzeszowie.

Sambor i powiat: Dr. Biegelmayer, ks. Jan Dornwald, Juliusz Drak, Michał hr. Dzieduszycki, Adam Głogowski, Karol Hanik, Dr. Jirzyczek-Maciejowski, Wilhelm Kasparek, G. Kohn, Konwent OO. Bernardynów, Dr. Ignacy Petelenz, Przetocki, Józef Przybylski, Dr. Władysław Skalski, Władysław Skulicz, Dr. Witz, Jan Zacharski i Eustachy Zajączkowski w Samborze, Dr. Ludwik Dolański w Rakowej i Ludwik Balicki w Wykotach.

Sanok i powiat: Dr. Goldhamer, Dr. Iskrzycki, Ludwika Kahanówna, Marcelina Lisówna, Alojzy Schneider, Staruszkiewicz, Leon Studziński, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa i Ludwik Świerczyński w Sanoku, Dr. Krzyszkowski, Anna hr. Potocka i Ludwik Rzewuski w Rymanowie.

Skałat i powiat: Dr. Biliński, Stanisław Lang, Dr. Teofil Sozański, c. k. Starosta i Towarzystwo zaliczkowe w Skałacie, St. Kądzielski, Aleksander Kruh, Emil May, Dr. Isaak Metall, Herman Ostersetzer, Schwager i Robert Wiesel w Podwołoczyskach.

Śniatyn i powiat: Józef Arway, c. k. Starosta i Dr. Wilhelm Rozenheck w Śniatynie, Adolf Schapira w Zabłotowie.

Sokal i powiat: Arendarczyk, Bruno Eitelberg, Rauch, Bronisław Sokalski, ks. Justyn Szaflarski, Franciszek Szymusik, Dr. Wejda, burmistrz miasta i Eugeniusz Wysoczański w Sokalu, Adolf Gross i Mieczysław Musiał w Bełzie, Nuchem Reiss w Budyni, Feiwel Taube w Tuczkowie i Majer Abgott w Żużelu.

Stanisławów: Kajetan Kopacz, Majewski, Piotr Sedelmayer († w Lutym 1892, l. 48 lat), Teodor Stachiewicz, Dr. Walery Szydłowski, burmistrz miasta, Juliusz Turczyński i Ignacy Zdrassil w Stanisławowie.

Staremiasto: Andrzej Aleksiewicz, Jerzy Koudelka i Żurakowski w Staremmieście.

Stryj i powiat: Dr. Filip Fruchtman, Leon Gaertner, J. Horoszkiewicz, Józef Kosterkiewicz, Konstanty Lechicki, Manasterski, c. k. Starosta, Opolski i Wilhelm Schayer w Stryju, Dr. Gabel, Dr. Michalski i Bronisław Nartowski w Skolem.

Tarnobrzeg: Michał Bartoszewski, Karol Fetter, c. k. Starosta, Dr. Reben, Franciszek Ries i Dr. Winkler w Tarnobrzegu.

Tarnopol: Dr. Delinowski, Teofil Dujanowicz, Friedman, Jakub Gall, Hauswald, Józef Ingwer, Emil Michałowski, Antym Nikorowicz, Ludwik Piątkiewicz, J. Roguski, Bernard Schütz, Alfred Silkiewicz, Dr. Trzcieniecki i J. Winiarz w Tarnopolu.

Tarnów: Maurycy Adler, Dr. Dundaczek, Dr. Mieczysław Gałecki, Dr. Ludwik Glaser, Dr. E. Goldhamer, Franciszek Habura, Dr. Lerner, Dr. Merz, Leopold Płaziński, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa, Dr. Ringelheim, Karol Rudolf, Dr. Wiktor Schancer, Dr. Stanisław Stojałowski i Vayhinger w Tarnowie.

Tłumacz i powiat: Emil Jahn w Tłumaczu, Krasowski, Szelewski i Wichański w Tyśmienicy.

Trembowla: Berchard, *Dr*. Grünhaut, ks. Kaliniewicz, Jan Leśniański, *Dr*. Julian Olpiński, burmistrz miasta, Jerzy Piwocki, c. k. Starosta i Alfred Welles w Trembowli.

Turka: Lebiocki, Władysław Łubkowski, Hieronim Morawski, c. k. Starosta, Wiktor Pietsch, Schechter i Teliszewski w Turce.

Wadowice: Dr. Iwański, burmistrz miasta, *Dr*. Stanisław Łazarski i Wilczyński w Wadowicach.

Wiedeń: Bernard Kohn we Wiedniu.

Wyżnica (na Bukowinie): Józef Rudkowski w Wyżnicy.

Zaleszczyki i powiat: Frank, Geringer, Antoni Gross, Szymon Kajetanowicz, *Dr*. Franciszek Sobolewski i *Dr*. Emilian Stoklasa w Zaleszczykach, Mandyczewski w Kasperowcach.

Zbaraż: ks. Marcin Krupiński, Leopold Kukawski, Michał Paryłowski i Antoni Petter w Zbarażu.

Złoczów i powiat: Dr. Billet, burmistrz miasta, *Dzundza*, Garfein, *Dr*. Misky, Wilhelma Niedźwiecka i *Dr*. Stanisław Wesołowski w Złoczowie, Antoni Kofler, J. Münz, ks. Marcin Piątkowski i *Dr*. Reis w Olesku, Leon Willner w Zborowie.

Żółkiew i powiat: Józef Hejda, ks. Karol Kasel i Tadeusz Ponikło w Żółkwi, ks. Babik, Stanisław Kruszelnicki i Michał Sawicki w Kulikowie.

Pow. żydaczowski: Antoni Stecher w Mikołajowie.

Żywiec: Bronisław Sądecki, Józef Stawski i Andrzej Winiarski w Żywcu.

Treść:

Str.

Andruszewicz Bolesław, Echa z czarnych dni, ustępy z poematu . . . 85
Antonowiczówna Janina, Do dziewczęcia, wiersz 16
Barański Adam, Jak zostałem porządną osobą, humoreska 105
Bytkowski Zygmunt, Na trzeci dzień Maja 1891, wiersz 17
Czernecki Józef, Seume jako poeta, rozprawa (z portretem Seumego) . 88
Kalinowski Kazimierz, Do klasztoru, wiersz . . 14
Kohn G., Mój stosunek literacki z śp. Władysławem Zawadzkim, pośmiertne wspomnienie (z ryciną tytułową) . . . 5
" " Odpowiedź na wiersz Kalinowskiego: „Do klasztoru“ 15
" " Głosy niemieckich poetów, sympatyzujących z Polską, o konstytucji 3go Maja, rozprawka literacka 19
" " Z powodu śmierci Pawła Stalmacha, wiersz 104
" " Sześć dni pobytu w Pradze, szkice piórem i sylwetki z podróży . . . 109
" " Bibliografia 168
" " Sprawozdanie z czynności moich . . 215
Korngutówna Aniela, Wyrwana karta, szkic powieściowy 153
Lisówna Olga, Cisza nocy letniej, wiersz . . . 12
Ludomir Zygmunt, Wywłaszczenie, przekład z B. G. Szwaba (z winietą) 125
Młot Zenon, „Jam jest“, wiersz 42
Morawski Szczęsny, Z czasów Chmielnickiego i Szwedów, reminiscencje historyczne 43
Sedlaczkówna Janina, Wróżby, obrazek sceniczny 23
Szymusik Franciszek, Szczepan Dzierżba, opowiadanie na tle historycznem . . . 128

Str.
Szymusik Franciszek, Powrót do miłości (z Horacego) 151
" Zazdrosny (z Horacego) 152
Telakowski Aleksander, Czy pamiętasz? wiersz 13

Sprostowanie pomyłek:

Na str. 42 mylnie podano, jakoby wiersze Zenona Młota pod zbiorowym tytułem: „Ciernie" się już okazały w druku.

Na str. 154. w. 16. czytaj zamiast niastety, niestety.

Dla publicznej wiadomości.

Uwiadamiam niniejszem abonentów mego wydawnictwa samborskiego, że narodowe dzieło:

„Polska w świetle niemieckiej poezji“

pod datą 26. Października 1891. opuściło prasę. Obejmuje wyżwymienione dzieło 20½ arkusza ścisłego druku. Ocenione zostało w „Gazecie Przemyskiej,“ „Gazecie Polskiej Czerniowieckiej,“ „Kurjerze Lwowskim,“ „Przeglądzie Lwowskim,“ „Ojczyznie“ i „Nowinach Literackich.“

Abonenci „Roczników Samborskich“ jako współwłaściciele i współwydawcy, w każdej chwili, jak długo zapas starczy, nabyć je mogą za 1 złr. Dla nabywających „Polskę w świetle niemieckiej poezji“ z osobna, cena podwójna ustanowiona.

Oprócz tego zawiadamiam szanowną publiczność, że ogromna moc materjału literackiego, znalezionego w ostatnich czasach, zniewala mnie do kontynuowania pracy, która, jeśli okoliczności pozwolą, obejmie jeszcze dwa tomy „Uzupełnień.“ Cena każdego tomu dla abonentów „Roczników Samborskich“ pozostaje ta sama, jak i dzieła: „Polska w świetle niemieckiej poezji.“

Czasu wyjścia nie oznaczam jednak z góry, ponieważ nagromadzenie i uporządkowanie materjału z rozlicznemi trudnościami połączone.

Sambor, 1. Lutego 1892.

G. KOHN,
redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“